

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Jan Paweł II w Polsce – reportaż
PAWŁA ADAMSKIEGO

Dyskusja o Gdańskim Klubie Politycznym

DARIUSZ FILAR – Być liberałem

LECH MAŻEWSKI – Czy PRL jest
państwem totalitarnym?

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI – Religia a
ruch społeczny „Solidarność”

JANUSZ LEWANDOWSKI i MACIEJ
PŁAŻYŃSKI o nowej przedsiębiorczości

ALVIN TOFFLER – [----] Trzecia fala

WYDAWNICTWO

LITERY

1988

10

SPIS TREŚCI

<i>Janusz Lewandowski</i>	
Gdańskie aktywa /liberałowie i przedsiębiorcy/ ..	3
<i>Dyskusja redakcyjna o Gdańskim Klubie Politycznym</i>	
<u>Wszyscy mamy prawo do polityki</u>	9
Dokumenty	19
<i>Dariusz Filar</i>	
Być liberałem	22
<i>Rozmowa z Maciejem Płażyńskim</i>	
Namiastka sensu	33
<i>T.A.</i>	
Skorumpowani?	43
<i>Paweł Adamski</i>	
Nie lękajcie się	46
<i>Ireneusz Krzemiński</i>	
Religia a ruch społeczny "Solidarność"	84
<i>Lech Mażewski</i>	
Czy PRL jest nadal państwem totalitarnym?	100
<i>Mówi Zbigniew Brzeziński</i>	
"Ewolucyjne zmiany są możliwe"	117
<i>Alvin Toffler</i>	
"Trzecia fala" /fragmenty usunięte przez cenzurę/	128
<i>Jacek Kozłowski</i>	
Z prasy zachodniej: O totalitarnym kłamstwie i kapitalistycznym egoizmie	138
<i>Stanisław Iranek</i>	
Czy Polacy są głupi, brudni i leniwi?	149
Czy polityka jest rzeczą brudną, złą i niemoralną?	153
PRZEGLĄD POLITYCZNY 1-10: indeks zawartości	
	158

Janusz Lewandowski

GDAŃSKIE AKTYWA /LIBERAŁOWIE I PRZEDSIĘBIORCY/

Dzisiejsze spotkanie ma stworzyć okazję dla wspólnej narady środowisk, które wyłamują się z ogólnego kręgu niemocy i rezygnacji. Powstanie tych środowisk dowodzi, że obiegowa ocena naszej obecnej sytuacji w Polsce w kategoriach politycznego pata, społecznej apatii i gospodarczej równi pochyłej, jest niepełna, o ile nie krótkowzroczna - tak jak częściowo omyłne, na szczęście, okazały się alarmistyczne diagnozy sformułowane u schyłku lat siedemdziesiątych. Wtedy w bezsprzecznie chorym organizmie społecznym kryły się zarodki Sierpnia, przesłanki moralnego i organizacyjnego fenomenu "Solidarności" i kiedy Historia nagle przyspieszyła tempa, zatamizowana masa ludzka objawiła niespodziewany dynamizm, kreatywność, wyłoniła elity przywódcze i umysłowe - inna rzecz /spieramy się o to do dzisiaj/, czy było to wszystko na miarę ówczesnego wyzwania historycznego. Stan wojenny zablokował główną formułę tego ruchu i wypalił część energii społecznej w ulicznych czy fabrycznych protestach i daremnym wysiłku budowy "podziemnego społeczeństwa". Ale wygasanie ambicji zbiorowych i schyłek podziemia nie oznaczał "normalizacji" - w sensie instytucjonalnego i duchowego cofnięcia do punktu wyjścia, wedle klasycznego i tragicznego zarazem wzoru Czechosłowacji po roku 1968.

Zabrakło kilku przesłanek tak pojętej normalizacji, w tym odpiły elity przywódczych i inteligencji twórczej za granicę. Fala emigracyjna była wprawdzie i jest nadal silna, ale tutaj, na Wybrzeżu Gdańskim, pozostał cały zastęp ludzi, którzy w latach 1980-81 odegrali jakąś rolę publiczną, wykreowali na lokalne i środowiskowe autorytety, co stało się dla nich w późniejszym okresie istotnym zobowiązaniem. Pokolenie "Solidarności" poszukiwało sposobu na życie w nowych warunkach, ograniczone niekiedy "berufsverbotem", częściej spętane dobrowolnym udziałem we froncie "odmowy", moralną autocenzurą i nieformalnymi kodeksami środowiskowymi, rygorystycznie rozgraniczającymi przestrzeń kolaboracji i niekolaboracji. Ten potencjał ludzki tworzył własną przestrzeń życiową w szczelinach systemu, wywierał ciśnienie na poszerzenie "polskiej normy", przewartościowywał doświadczenie "Solidarności" i przedsolidarnościowej opozycji. Dziś, z perspektywy końca 1987 roku, można już podsumować, co z tego wynikało.

Tekst wygłoszony w grudniu 1987 w siedzibie Gdańskiego Towarzystwa Naukowego podczas spotkania na temat "nowej przedsiębiorczości".

Nastąpiło istotne wzbogacenie mapy ideowej i społeczno-gospodarczej Wybrzeża. Zwróć uwagę na dwa zjawiska spośród wielu, zjawiska będące naszym atutem w nierównej grze o znośniejsze jutro.

Pierwszym z nich są narodziny gdańskiego środowiska liberalnego, czyli ruchu umysłowego, formacji ideowej, wprowadzającej do obiegu myślowego idee, postacie i tradycje praktycznie dotąd u nas nieznanne. Drugie zjawisko zyskało już sobie etykietkę "nowej /względnie 'młodej' / przedsiębiorczości", jako wyodrębniający się składnik niepaństwowego sektora gospodarczego, uaktywnionego na Wybrzeżu po Sierpniu. Oba te zjawiska mają wspólny zbiorowy podmiot: pokolenie "Solidarności".

Środowisko gdańskich liberałów nie ma jasnego rodowodu, a jeszcze trudniej znaleźć w sennym życiu intelektualnym Trójmiasta jakieś podłoże sprzyjające jego narodzinom. Istnieje gładka formuła wyjaśniająca ten fenomen: zainteresowanie liberalizmem w Gdańsku jako refleks ogólniejszej mody, idącej od Zachodu, zaznaczającej się równocześnie w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu... Ale ta formuła, wbrew pozorom, nie wyjaśnia niczego. Liberalny ferment miał tutaj swe źródło w osobistych przewartościowaniach i poszukiwaniach grupki dawnych działaczy NZZ-u i ekspertów "Solidarności", dalszym katalizatorem środowiska było wspólne pismo, później dopiero rzecz stała się modną... Mniejsza zresztą o genezę. Cieszy fakt zaistnienia tego środowiska, na tyle dziś zwartego i licznego, iż zdolne jest wystawić pełną reprezentację piłkarską /tudzież rezerwowych i kibiców/ przeciw Ruchowi Młodej Polski - formacji zakotwiczonej w Gdańsku od lat dziesięciu.

Zasługą lokalnych liberałów jest przywołanie - poprzez tłumaczenia i omówienia - niezwykle bogatej i brzemiennej dla dziejów Europy tradycji myślowej Locke'a, Monteskiusza, Smitha, Tocqueville'a, J.S.Milla oraz ich XX-wiecznych kontynuatorów; tradycji, której nieznanomość jest swoistym kalektwem i ogromnym zubożeniem kultury politycznej narodu. Liberalizm to coś więcej aniżeli doktryna. To zarazem system wartości i zasób mądrości, wynikłej z długiego procesu historycznego, gromadzonej na drodze prób i błędów w toku budowy nowożytnego, wolnego i pluralistycznego społeczeństwa. Locke systematyzował doświadczenia XVII-wiecznej opozycji parlamentarnej w Anglii, przygotowując - jako ideolog Wigów - bezkrwawy kompromis polityczny z roku 1688; mądrość Wigów spożytkowana została z kolei jako oręż ideowy Rewolucji Amerykańskiej i przefiltrowana przez doświadczenie amerykańskie, wsparta ekonomią klasyczną, stała się zapleczem ideowym europejskiego konstytucjonalizmu i rewolucji wolnorynkowej pierwszej połowy XIX wieku. Była to więc refleksja towarzysząca - uogólniająca i zarazem programująca - narodziny cywilizacji zachodniej, zbudowanej na fundamentach gospodarki rynkowej i demokracji parlamentarnej. Budowla instytucjonalna wniesiona pod patronatem liberalnym istnieje w swych zasadniczych zarysach nadal, chociaż liberałowie przegrali dawno "wojnę słów", zagubieni w ideologicznym tyglu Europy. Szczególnie w latach sześćdziesiątych naszego wieku, przelewająca się przez uniwersytety Zachodu fala buntu i kontestacji sugerować mogła silną deprecjację liberalnego systemu wartości wśród tych, którzy mieli być depozytariuszami tej tradycji obywatelskiej i gwarantami jej ciągłości. Zdawać się zatem mogło, że budowla instytucjonalna wolnego społeczeństwa jest już tylko pustą cytadelą, broni się swoimi murami, ale nie ożywia jej

awny ethos obywatelski...

Dzisiaj, z perspektywy końca lat osiemdziesiątych, widzimy rzecz inaczej. Liberalizm przeżywa swój renesans na Zachodzie i jest odkrywany na Wschodzie. Rehabilitowany jako system wartości wzmocnił znaczenie swą siłą perswazyjną poprzez sukcesy "reaganomiki" i "thatcheryzmu". Hayek czy Aron z intelektualnych outsidersów przelstoczyli się w myślicieli modnych i wpływowych. Wszystko to świadczy o tym, że liberalizm nie należy do archiwum myśli ludzkiej, że się bynajmniej nie zdeaktualizował ani jako trzeźwa sztuka organizacji wolnego społeczeństwa, ani jako ideologiczna sankcja wolnego rynku, ani jako filozofia obywatelska. Fundamentalną zdobyczą liberalizmu było zaprojektowanie takiego wzoru życia publicznego, który mógł się dalej ewolucyjnie zmieniać; miał zaprogramowaną w sobie niezwykłą dynamikę gospodarczą i społeczną oraz zdolność płynnego dopasowania do tego ram politycznych. Pisał Ortega y Gasset: "Liberalizm miał pewną rację i tę trzeba mu przyznać *per saecula saeculorum*. Ale nie miał całej racji i to właśnie, co było w nim niesłuszne należy odrzucić. Europa musi zachować istotę liberalizmu. Jest to warunek konieczny do tego, by go mogła przeżywić".

Gdańscy liberałowie pojawili się we właściwym momencie i za ich między innymi sprawą elementarne rozumienie tej tradycji, a nawet zdrowa moda na liberalizm stała się udziałem młodej inteligencji Wybrzeża. Co więcej, tutejszy przekaz liberalny, zawarty choćby na łamach "Przeglądu Politycznego", wyróżnia się korzystnie na tle quasi-felietonowej, niejednokrotnie spłaszczonej i natrętnej manieri, w jakiej ten styl myślenia dawkowany jest obecnie w Polsce. Obawiam się, że na przykład aktualny felietonista "Ładu" piętrzy jedynie nowe uproszczenia na cmentarzystku zużytych schematów myślowych; urabia inny wariant magicznego myślenia. Uczciwa edukacja liberalna musi ujawniać meandry, ograniczenia i wewnętrzne napięcia tego stylu myślenia, wtedy tylko będzie zgodna z jego najlepszą, niesekciarską i niezdogmatyzowaną tradycją - jest to szczególnie potrzebne, gdy próbuje się myśleć liberalnymi kategoriami o współczesnych problemach naszego kraju.

Funkcjonowanie wedle reguł środowiska intelektualnego, a więc samo dyskutowanie i upowszechnianie idei, nie zadawała już, jak się zdaje gdańskich liberałów. Tu dygresja: rola środowisk intelektualnych nie zawsze bywa doceniana, więc pragnę podkreślić, że niezależnie od treści przekazu ideowego, każda taka grupa tworzy wyłom w otaczającej nas masie proletariatu umysłowego, którego myślenie o rzeczywistości przyjmuje postać odruchów, uprzedzeń i bezkrytycznych sądów. Ruch umysłowy jest więc ważny, ale zarazem pora na liberalizm praktyczny, współudział w modelowaniu tej hybrydy, jaka przy wtórze radzieckiej "pierestrojki" zaległa się w Polsce lat osiemdziesiątych. Temperamenty polityczne mają szansę pokazania się w koalicyjnym Gdańskim Klubie Politycznym im. Lecha Bądkowskiego. Nie może zabraknąć liberalnego głosu w oczekiwanej debacie konstytucyjnej /zbliża się okrągła rocznica Konstytucji 3 Maja/. Dyskusję ekonomiczną już teraz ożywiają hasła bliskie sercu liberała: przedsiębiorczość, konkurencja, prawa własności, rynek kapitałowy - wcześniej wyklęte, teraz trafiają do oficjalnego słownika reformy. Książkowe twory Oskara Langego, zapładniające wizje reformatorskie z roku 1956, przywołane jeszcze w roku

jest jej dziełem, przy czym szczególną inwencję wykazują młodzi informatycy i plastycy. Poszerzenie spektrum wyborów życiowych jest prawdziwą szansą dla tego "pokolenia straconych szans".

Ale i tu mały znak zapytania: ile rzadkich talentów nie zostanie w ogóle wypróbowanych, ile ujawnionych zadatków nie zostanie rozwiniętych, gdyż pojawia się kusząca alternatywa gospodarcza? Czy nieprzeciętnie zdolna absolwentka powinna robić doktorat, węgetując finansowo na uczelni, czy ma zdobywać ostrogi w księgowości - fachu rozchwytywanym na młodym rynku? Jej sprawa, czy nasza sprawa? W tym punkcie nie jestem ortodoksyjnym liberałem, wątpię, czy barometr rynkowej popłatności wskazuje optymalną alokację zasobów ludzkich...

Żywiół gdańskiej przedsiębiorczości kryje w sobie dramaty jednostkowe. Nie jest to bezbolesna transformacja społeczna i ma swoje ciemne strony, rodmuchiwane gorliwie przez oficjalną propagandę w ramach ekonomicznej antyedukacji i manipulowania opinią publiczną. Słabości młodych firm są doskonale znane obecnym dzisiaj na sali animatorom tego ruchu. Są to w większości bóle porodowe, spotęgowane chorobą całego organizmu gospodarczego i chwiejną polityką ekonomiczną państwa. Młode firmy zachowują się dość racjonalnie w danym sobie, nieracjonalnym otoczeniu, które wnosi do ich funkcjonowania wiele gospodarczych paradoksów, niewytłumaczalnych na przykład dla obserwatorów zagranicznych, zapytujących w swej niewinności o kredytowe i fiskalne formy opieki rozciąganej przez państwo nad młodymi przedsiębiorstwami. Niespełnionym, jak na razie, postulatem niepaństwowej gospodarki, postulatem maksymalistycznym jest "nie przeszkadzać"!

Nie jest to zjawisko rzędu amerykańskiej Silicon Valley i malkontenci znajdują w nim zawsze coś dla siebie /hochsztaplerski styl działania kilku spółek i spółdzielni rzutuje na reputację całej reszty/. Ale z drugiej strony, ileż tu zdrowia, energii i dynamiki w porównaniu ze zramolałym sektorem państwowym! Jaka szkoła przedsiębiorczości i sztuki marketingu - wszędzie tam, gdzie załazi "rynek konsumenta" zwiastują selekcję i premiowanie lepszych, gdzie zdrowa konkurencja rozpoczyna swoją oczyszczającą robotę. Pękają przy okazji bariery psychologiczne, narosłe całymi latami. Okazuje się, że niezależna firma konsultacyjno-ekspercka może gwarantować lepszą jakość usług i bywa znacznie elastyczniejszym doradcą aniżeli biurokratyzowany instytut naukowy. Początkująca spółka /"Modem"/ może ożywić wnętrza hali "Olivii", organizując z rozmachem i polotem ogólnopolską giełdę komputerową - imprezę dochodową, co najważniejsze. Być może, zbędne okaże się sztuczne windowanie udziału kapitału państwowego lub spółdzielczego w spółkach, by nadać im status "j.g.u.", rozmyślnie eksponowany później w ogłoszeniach handlowych i listownikach, gdyż ułatwia życie w dzisiejszych warunkach. Oprócz kwestii formalnych jest to kwestia oswojenia się dyrektorów, kwestorów i księgowych z rachunkami kontrahentów prywatnych - tacy potentaci, jak "Computer Studio Kajkowscy" torują drogę innym.

Wzbogacenie mapy Wybrzeża o wspomniane dwa zjawiska - środowisko liberałów i młodą przedsiębiorczość - nazywam naszymi aktywami, gdyż upatruję w tym uzupełniające się wzajemnie zadatki na znośniejszą przyszłość; nie tyle w rachubie na kolejną społeczną eksplozję, taką jak Sierpień 1980, ile w poszukiwaniu budulca sensownej ewolucji.

Nie da się z góry przesądzić, który z żywych w swym autentyzmie kierunków ruchliwości społecznej i która z form społecznej samoorganizacji, reprezentowanych dziś w Polsce podda się najlepiej historycznej weryfikacji. Wiadomo tylko, że właśnie poprzez wzbogacanie i różnorodność form, Historia otrzymuje swoją szansę. Można też przypuszczać, znając trendy cywilizacyjne, że pobudzenie niepaństwowej przedsiębiorczości i ogólne odetatyzowanie świadomości zbiorowej otwiera nas ku przyszłości. Czy jednak ta praca dla przyszłości wyda zamierzone owoce, to zależy w dużej mierze także od rządzących Polską. Czy zechcą i potrafią szukać na pewnych polach rzetelnego, życiodajnego kompromisu ze społeczeństwem, czy zwycięży jeszcze raz logika niszczenia?

Gdańscy liberałowie nie zadawają się już samym dyskutowaniem idei. Pokolenie nowej przedsiębiorczości, w swym post-solidarnościowym nurcie, nie zadawała się wycofaniem w prywatność, zastygnięciem w obronie standardu życia. Dochodzimy do wspólnego dla obu środowisk pytania o sens i formy działalności publicznej. W dzisiejszej Polsce jest to bardzo ważne pytanie - bo, z jednej strony, kusi unikalna okazja, ale, z drugiej strony, nie mamy żadnych gwarancji, że rezultaty naszych działań okażą się zgodne z zamierzeniami. Świadomi ryzyka kryjącego się na dale w działalności publicznej, inicjatorzy dzisiejszego spotkania odpowiadają na pytanie o sens takiej działalności twierdząco.

Na przekór ogólnej rezygnacji, której sojusznikiem jest rosnący ciężar życia w Polsce, należy kreować różne formy samoorganizacji i samostanowienia. Wypełniają one zgnaną próżnię, jaka rysuje się powyżej poziomu rodziny i grupowych koterii, regenerują żywą tkankę "społeczeństwa obywatelskiego" i są narzędziem społecznej samoobrony - zwiększają szansę, że takie zjawiska, o których mówiłem, nie będą efemerydami, zwrotnymi koncesjami władzy w obliczu kryzysu, że nie wkomponują się w ogólny krąg niemocy. Nadszedł czas stowarzyszeń, klubów i fundacji i wokół takich inicjatyw, takich problemów, pragniemy skupić głosy w dzisiejszej, oby nieakademickiej dyskusji.

JANUSZ LEWANDOWSKI

WSZYSCY MAMY PRAWO DO POLITYKI

Dyskusja redakcyjna o Gdańskim Klubie Politycznym im. Lecha Bądkowskiego

Dnia 2 listopada 1987 r. w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku złożony został wniosek o dokonanie rejestracji Gdańskiego Klubu Politycznego im. Lecha Bądkowskiego. W przedstawionej poniżej rozmowie uczestniczą czterej spośród jego założycieli identyfikujący się z gdańskim środowiskiem "liberalnym".

JACEK KOZŁOWSKI: Myślę, że naszą rozmowę powinniśmy zacząć od odpowiedzenia na pytanie skąd wzięta się idea Klubu właśnie teraz, skąd przekonanie o szansie niezależnego działania w tej właśnie formie i w tym czasie?

PIOTR KAPCZYŃSKI: Klub ma działać na zasadzie stowarzyszenia. Utworzony został przez dwa niezależne środowiska: "Polityki Polskiej" i "Przeglądu Politycznego" oraz przez osoby zaangażowane w niezależną działalność społeczną lecz nie związane z jakimś konkretnym środowiskiem czy orientacją. To, że zdecydowaliśmy się na utworzenie Klubu, nie oznacza, że uważamy, iż jest to jedyna czy też najlepsza forma działalności publicznej. Stąd większość jego założycieli jest też aktywna na innych polach i zamierza tę działalność kontynuować. Niemniej sądzę, że forma Klubu ma pewne walory, które warto w przyszłej działalności wykorzystać. Jest to przede wszystkim możliwość organizowania debaty, wymiany poglądów, dyskusji. W porównaniu z np. działalnością samokształceniową są tutaj większe szanse na rozmaitość poglądów, ludzi, tematów, większy przepływ informacji. Ponadto Klub nie jest nastawiony tylko do wewnątrz, ale również na zewnątrz. Ma większe możliwości kształtowania opinii publicznej i wprowadzenia w obieg nowych zagadnień i tematów. Pismo ma co prawda podobne możliwości, ale w warunkach niezależnego obiegu pomiędzy autorem, redakcją a czytelnikiem jest taki dystans fizyczny i czasowy, który wyklucza między nimi dialog.

Nieprzypadkowo dopiero teraz mamy do czynienia z próbami tworzenia i rejestrowania stowarzyszeń. Poprzednio władze na takie przejawy aktywności publicznej reagowały przy pomocy resortu spraw wewnętrznych. Stąd też niezależna aktywność społeczna i polityczna była niejako skazana na formy niejawne, konspiracyjne. Na działania niejawne zdecydowaliśmy się ze świadomością związanych z nią kosztów. Nie tylko tak oczywistych jak więzienie - było ono kosztem skalkulowanym i dla wszystkich widocznym. Chodzi także o zagrożenia nie tak łatwo dostrzegalne, wynikające m.in. z niemożności funkcjonowania opinii publicznej w warunkach konspiracyjnych.

Nie wiadomo w tym momencie, czy władze zarejestrują Klub lub inne analogiczne inicjatywy mogące stać się instytucjonalnym wrazem pluralistycznego charakteru naszego społeczeństwa. Jednak niezależnie od decyzji władz dostrzegamy sens podejmowania podobnych inicjatyw. Raz ze względu na potrzebę wytestowania rzeczywistych intencji władzy /choć jest to wtórna motywacja/, a dwa, ze względów - najkrócej mówiąc - politycznych, o których będziemy jeszcze mówić.

J.K.: Kontynuując to pytanie można zastanowić się nad obiektywnymi warunkami, nad ogólną sytuacją polityczną w Polsce. Czy rzeczywiście sytuacja ta na tyle zmieniła się w 1987 r., że realne stałyby się legalne i rzeczywiście niezależne działania stowarzyszeń?

P.K.: Myślę, że zarówno po stronie władzy jak i społeczeństwa istnieje zgodność co do generalnej oceny sytuacji. Dotychczasowe sposoby organizowania życia gospodarczego, politycznego i społecznego uległy, mówiąc eufemistycznie, zużyciu. Z tą diagnozą wyrażaną w różnej formie, mniej lub bardziej dosadnie, możemy się spotkać właściwie na każdym kroku: na ulicy, w sali wykładowej, w bibule i w telewizji. Istnieją natomiast różnice co do oceny przyczyn tego stanu rzeczy i ewentualnych dróg wyjścia z niego.

DONALD TUSK: W ostatnich dwóch latach daje się zaobserwować pewien dość dynamiczny proces, na który składają się dwa zjawiska. Pierwsze to niewątpliwie uelastycznienie władzy i dość daleko posunięta liberalizacja systemu. Wyraża się m.in. w wyraźnym ograniczeniu represji względem osób i grup niezależnych i nonkonformistycznych. Jest wielce prawdopodobne, że próba zorganizowania legalnych, jawnych form niezależnej aktywności publicznej cztery lata temu zakończyłaby się więzieniem, tymczasem założyciele klubu politycznego, w sposób oczywisty opozycyjnego, są - jak na razie - na wolności. Z tego powodu dzisiejsza sytuacja sprzyja podejmowaniu takich inicjatyw ze względów, nazwijmy to tak, technicznych. Obecna władza przynajmniej deklaruje intencje porozumienia z szerokimi odłamami społeczeństwa i chęć przeprowadzenia daleko idących zmian systemu sprawowania władzy. Abstrahując od oceny szczerości tych intencji /budzą one uzasadnione wątpliwości/, jak najbardziej sensowne jest wykorzystywanie takiego sprzyjającego klimatu. Jest i drugie zjawisko, polegające na dość już powszechnym przekonaniu w społeczeństwie i jego elitach opozycyjnych, że dotychczasowe formy działania niezależnego, wykształcone w okresie stanu wojennego przestają dziś wystarczać, stają się **coraz mniej funkcjonalne. Mała wydajność, że się tak wyrażę, konspiracji**, idzie w parze z powolnym zanikaniem jej prestiżu społecznego, co potwierdzają ankiety socjologiczne i co wiąże się automatycznie ze zmniejszeniem jej znaczenia politycznego. Równoległe w ostatnich latach nastąpiło przewartościowanie koncepcji politycznych opozycji, czy niektórych znaczących jej odłamów, ujawnił się też jej pluralistyczny charakter. Pluralizm ten dotyczy zarówno inspiracji ideowych, jak i postaw politycznych czy form organizowania się. Zniknąć zaczęła wiara w szybkie i jednorazowe załatwienie polskiego problemu, a nośne propagandowo opisywanie układu społecznego w Polsce jako frontu, po którego przeciwnych stronach znajdują się zła władza i zniewolone społeczeństwo usiłujące ją obalić, okazało się wcale nie takie prawdziwe a politycznie jałowe. To przewartościowanie wynika po części z doświadczenia stanu wojennego, wskazującego, że myślenie wyłącznie w kategoriach konfrontacji znakomicie utrudnia wypracowywanie koncepcji pozytywnych, konstruktywnych.

Ten nowy sposób widzenia prezentują dość dynamiczne grupy opozycyjne, które określa się często - co jest dużym uproszczeniem - nową polską prawicą, jest on jednak wyraźny również w innych postsolidarnościowych formacjach. Wynika on z konstatacji, że Polska jest w tej chwili krajem, w którym trzeba próbować prowadzić politykę, a nie tylko organizować bunt.

Pierwszorzędną sprawą - taką preferencję uznaje nasze środowi-

WSZYSCY MAMY PRAWO DO POLITYKI

Dyskusja redakcyjna o Gdańskim Klubie Politycznym im. Lecha Bądkowskiego

Dnia 2 listopada 1987 r. w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku złożony został wniosek o dokonanie rejestracji Gdańskiego Klubu Politycznego im. Lecha Bądkowskiego. W przedstawionej poniżej rozmowie uczestniczą czterej spośród jego założycieli identyfikujący się z gdańskim środowiskiem "liberalnym".

JACEK KOZŁOWSKI: Myślę, że naszą rozmowę powinniśmy zacząć od odpowiedzenia na pytanie skąd wzięta się idea Klubu właśnie teraz, skąd przekonanie o szansie niezależnego działania w tej właśnie formie i w tym czasie?

PIOTR KAPCZYŃSKI: Klub ma działać na zasadzie stowarzyszenia. Utworzony został przez dwa niezależne środowiska: "Polityki Polskiej" i "Przeglądu Politycznego" oraz przez osoby zaangażowane w niezależną działalność społeczną lecz nie związane z jakimś konkretnym środowiskiem czy orientacją. To, że zdecydowaliśmy się na utworzenie Klubu, nie oznacza, że uważamy, iż jest to jedyna czy też najlepsza forma działalności publicznej. Stąd większość jego założycieli jest też aktywna na innych polach i zamierza tę działalność kontynuować. Niemniej sądzę, że forma Klubu ma pewne walory, które warto w przyszłej działalności wykorzystać. Jest to przede wszystkim możliwość organizowania debaty, wymiany poglądów, dyskusji. W porównaniu z np. działalnością samokształceniową są tutaj większe szanse na rozmaitość poglądów, ludzi, tematów, większy przepływ informacji. Ponadto Klub nie jest nastawiony tylko do wewnątrz, ale również na zewnątrz. Ma większe możliwości kształtowania opinii publicznej i wprowadzenia w obieg nowych zagadnień i tematów. Pismo ma co prawda podobne możliwości, ale w warunkach niezależnego obiegu pomiędzy autorem, redakcją a czytelnikiem jest taki dystans fizyczny i czasowy, który wyklucza między nimi dialog.

Nieprzypadkowo dopiero teraz mamy do czynienia z próbami tworzenia i rejestrowania stowarzyszeń. Poprzednio władze na takie przejawy aktywności publicznej reagowały przy pomocy resortu spraw wewnętrznych. Stąd też niezależna aktywność społeczna i polityczna była niejako skazana na formy niejawne, konspiracyjne. Na działania niejawne zdecydowaliśmy się ze świadomością związanych z nią kosztów. Nie tylko tak oczywistych jak więzienie - było ono kosztem skalkulowanym i dla wszystkich widocznym. Chodzi także o zagrożenia nie tak łatwo dostrzegalne, wynikające m.in. z niemożności funkcjonowania opinii publicznej w warunkach konspiracyjnych.

Nie wiadomo w tym momencie, czy władze zarejestrują Klub lub inne analogiczne inicjatywy mogące stać się instytucjonalnym wrazem pluralistycznego charakteru naszego społeczeństwa. Jednak niezależnie od decyzji władz dostrzegamy sens podejmowania podobnych inicjatyw. Raz ze względu na potrzebę wytestowania rzeczywistych intencji władzy /choć jest to wtórna motywacja/, a dwa, ze względów - najkrócej mówiąc - politycznych, o których będziemy jeszcze mówić.

ki państwowej.

Sądzę, że na dłuższą metę jest to jedyna szansa pokojowych i stopniowych zmian w Polsce.

J.K.: Zgodziłbym się z takim postawieniem sprawy, choć kwestią otwartą pozostaje, czy władza zdaje sobie sprawę z tych konieczności. Myślę, że trochę inaczej sytuacja wyglądała jesienią 87, kiedy idea Klubu zaczęła się konkretyzować, a więc przed referendum. Władza deklarowała mniej lub bardziej oficjalnie chęć przeprowadzenia liberalizujących zmian w sferze politycznej, dosyć głośno mówiono o dopuszczeniu działalności klubów dyskusyjnych i stowarzyszeń mogących stać się formą publicznej legalnej aktywności opozycji. Początek roku, a wcześniej groteskowe sformułowanie pytań referendum dają mniej podstaw do optymizmu. Władza jakby wycofywała się z liberalnych obietnic. Przykładem tego są choćby proponowane zmiany w ordynacji wyborczej do rad narodowych, które dość istotnie reformują procedurę głosowania, nie zmieniają jednak praktycznie w żadnym stopniu sposobów dobierania kandydatów. Są więc kolejnym posunięciem pozornym. Wydaje się więc, że władza w sferze politycznej zamierza w dalszym ciągu utrzymać pełny monopol.

D.T.: Próba założenia Klubu, niezależnie od jego rejestracyjnych losów jest właśnie próbą przełamania tego monopolu. O takich inicjatywach dobrze byłoby myśleć i rozmawiać nie tylko w kontekście zamiarów i posunięć władzy. Myślę, że istotniejsze dla uczestników Klubu w chwili jego zakładania były przyczyny natury subiektywnej, a nie te wymuszone okolicznościami zewnętrzными. Potrzeba utworzenia legalnej, jawnej organizacji o charakterze politycznym nie wynikała wyłącznie z "odwilżowej" koniunktury. Częściowym adresem takiej inicjatywy jest oczywiście władza, ale podstawowym pozostaje społeczeństwo czy ściślej opozycja. Pomysł ten m.in. służyć miałby ufuncjonowaniu działalności publicznej niezależnych środowisk, ich profesjonalizacji. Niezależnie od tego, czy proces korzystnej ewolucji ulegać będzie zahamowaniom czy nawet załamaniom, miejsce na niezależną, racjonalną i - mam nadzieję - skuteczną politykę w Polsce będzie. Jeżeli stawiamy, w dość dalekim planie perspektywnym, na korzystną ewolucję, a nie na gwałtowne przesilenie, jakiś zamach stanu czy powstanie, to niezależnie od dzisiejszych kłopotów i trudności i od niekonsekwencji tej władzy, musimy podejmować inicjatywy obywatelskie, służące w sposób odpowiedzialny społeczeństwu. Konieczne jest w takim przypadku widzenie polityki jako pracy, a nie walki tylko.

Pojmowanie polityki niezależnej nie jako przede wszystkim organizowanie buntu czy starcia staje się palącą potrzebą. Trudniej oczywiście szukać krętych ścieżek niż pola walki. Mówiłeś tu o ordynacji wyborczej. Wszyscy domagamy się jej demokratyzowania, ale gdyby wyobrazić sobie rzeczywście wolne wybory np. na szczeblu lokalnym, to powstaje natychmiast problem, kto chce i kto powinien kandydować, by w sposób odpowiedzialny i sensowny rządzić w swym regionie. Według mojej oceny brak takiej kadry ludzi. Etyka walki z komunizmem jest prosta - nie może jednak zastąpić politycznego przygotowania do sprawowania władzy na wszystkich jej szczeblach.

J.K.: Myślę, że trzeba tu mocniej zwrócić uwagę na tę ewolucyjną wizję zmian Polski, o której wspominałeś. Zakładając Klub uznaliśmy opcję ewolucyjną za realną i uprawnioną. Forma klubowa działalności politycznej jest chyba adekwatna do tego generalnego założenia. Nakierowana jest raczej na elitarną dyskusję,

nie na pobudzenie mas, na refleksję polityczną raczej, niż na bezpośrednią działalność polityczną. Z drugiej strony jest swobodnym sondażem, pierwszym krokiem w kierunku takiej działalności, w otwarcie i z pełnym przekonaniem nazywanej polityczną.

MAREK ZAJĄKAŁA: Odnosi się wrażenie, że ewolucyjny proces przemiany systemu komunistycznego, doszedł do granicy krytycznej. Wiele swobód w rozmaitych dziedzinach życia społeczeństwo uzyskało lub uzyskuje, a swobody polityczne stanowią swego rodzaju barierę nie do przekroczenia dla władzy. Wyzbycie się absolutnej kontroli w tej dziedzinie jest dla niej w tej chwili nie do pomyslenia, nie do przyjęcia. Mimo deklaracji, mimo wskazywania na konieczność przemian w funkcjonowaniu politycznym państwa, wszystko, ła co władza się zdobyła, to formuła PRON-u, jakichś instytucji zależnych, sterowalnych. Rada Konsultacyjna jest tego potwierdzeniem.

Wyraźne jest także zablokowanie w społeczeństwie, trwanie przy etyce walki wyrosłej z "Solidarności". Dla mnie jednym z najważniejszych motywów powołania Klubu było wskazanie zarówno władzy, jak i - bardziej nawet - społeczeństwu, faktu, że sfera polityki jest sferą, z której społeczeństwo nie może zrezygnować, jeżeli kraj ten ma zacząć funkcjonować normalnie. Każdy obywatel ma prawo, a niektórzy wręcz odczuwają to jako moralny obowiązek, by zajmować się polityką. Mówiliście tu o koncepcji elitarnego działania Klubu. Współodpowiedzialność za zmiany kształtu politycznego kraju, w którym znacznie szybciej rośnie zakres swobód ekonomicznych niż politycznych, spoczywa na pewnej grupie ludzi i to wyzwanie ci ludzie chcą - czy muszą - podjąć.

J.K.: Klub a władza to jedna relacja. Warto jeszcze wrócić do drugiej, gdzie punktem odniesienia jest społeczeństwo, opozycja czy "Solidarność". "Przegląd Polityczny", całe nasze środowisko, a także Klub jako taki w swej deklaracji silnie powołuje się na dziedzictwo "Solidarności". Dla nas jest ono i dziś bardzo ważne, związki z nim wydają się nam oczywiste. Czy jednak w sytuacji, gdy w dalszym ciągu, mimo powolnego odblokowywania wielu sfer życia, głównie w gospodarce i kulturze, władza nie tylko odmawia podjęcia dialogu z "Solidarnością" czy jej przedstawicielami, ale wciąż próbuje, z różną skutecznością, niszczyć ją i dezawuować, nasze powoływanie się na to dziedzictwo nie staje się sprzeczne z dążeniem do legalizacji Klubu? Jak oceniać wszelkie przedsięwzięcia legalizacyjne, również Klub. Pamiętamy przecież nie tak dawną wrzawę i kontrowersję wokół "Res Publik", a także ostatnie dyskusje na temat nadrzędności jednolitego charakteru "Solidarności" i opozycji w ogóle.

D.T.: Trzeba by sobie wpięrow objaśnić, co się rozumie przez pojęcie dziedzictwo "Solidarności". Przecież nawet władza w propagandzie często się na tradycję Sierpnia powołuje. Kłopoty z precyzyjnym określeniem tego terminu wynikają z charakteru "Solidarności" - pluralistycznego i wyrażającego wszystkie właściwości narodowe i społeczne aspiracje Polaków. Jeżeli więc mówimy o doświadczeniu Sierpnia czy "Solidarności" czy dziedzictwie politycznym, to zdajemy sobie sprawę, że możemy przez to rozumieć co innego, niż inni, też na tę tradycję się powołujący. I specjalnie mnie to nie niepokoi. Nasza aktywność publiczna wyrasta wprost z tamtych doświadczeń, przedsierpniowych, z okresu "Solidarności" czy konspiracji stanu wojennego. Nie chcemy i nie moglibyśmy tych doświadczeń ze swych życiorysów wymazywać. Można oceniać konkretne osoby, instytucje czy posunięcia polityczne, można różnie widzieć miejsce i rolę związku zawodo-

wego w Polsce, ale jest to oczywisty wynik różnorodności i pluralizmu od początku właściwych dla tego wielkiego ruchu. Osobiście nie widzę takich autorytetów, instytucjonalnych czy personalnych, które byłyby uprawnione do określania, kto mieści się w tym szerokim nurcie, a kto już nie.

P.K.: "Solidarność" na pewno stanowi część naszej biografii, był to bardzo ważny okres dla nas wszystkich. Truizmem jest stwierdzenie, że i dziś bliskie są nam ideały "Solidarności", niemniej widzimy sens również innych działań niezależnych, które nie legitymizują się deklarowaniem, że stanowią bezpośrednią kontynuację "Solidarności". W interesie społecznym leży budowanie już dziś pewnej infrastruktury społecznej i politycznej, która jest niezbędna w procesie przekształcania tego państwa. Obok działań czysto rewindykacyjnych, związkowych, koncentrujących się na samoobronie społecznej, które w sytuacji kryzysu są oczywiście uzasadnione nie tylko racjami moralnymi czy humanitarnymi i socjalnymi, ale także politycznymi /ich efektem jest wytworzenie silnej presji społecznej, całego - bardzo ważącego - układu politycznego, ograniczającego arbitralność komunistycznych rządów/, więc obok tych działań należy równolegle podejmować inicjatywy innego typu. Sądzę, że potencjał społeczny jest tak duży, że do pomyslenia jest bardzo szeroki i różnorodny wachlarz działań, które nie zawsze byłyby możliwe do realizowania w nurcie związkowym.

J.K.: To prawda, że różnorodność nie musi stanowić zagrożenia, nie musi prowadzić do antagonizmów, lecz może stanowić coś pozytywnego. Wręcz pożądane jest w naszej sytuacji bogactwo form i kierunków działania, realizowanych na rozmaitych płaszczyznach: politycznej, gospodarczej, kulturalnej czy związkowej. Wszystkie one uprawnione są do powoływania się na dziedzictwo "Solidarności". Z drugiej strony istnieje oczywiście konieczność i potrzeba kontynuowania działania NSZZ "Solidarność", działania związkowego, ale nie muszą tego robić wszyscy.

D.T.: Pomysły typu kluby czy towarzystwa nie stanowią alternatywy dla "Solidarności", ale jej uzupełnienie. Ze względu na ich formę i często wyraźnie sprecyzowany styl politycznego myślenia, a także wyraźne idee i polityczne inspiracje, dobrze się staje, że ich uczestnicy biorą za nie odpowiedzialność wyłącznie na siebie, nie posługując się bardziej uniwersalnymi szyldami.

P.K.: Jesteśmy zgodni co do tego, że należy się domagać przywrócenia "Solidarności" prawa do legalnego działania - jest to postulat jak najbardziej uzasadniony. Dostrzegamy równocześnie potrzebę zagospodarowywania tych pól społecznych, które są dla nas dostępne. Podobne zresztą próby przejścia do działań jawnych i legalnych podejmuje sama "Solidarność". Rewolucja rozumiana jako gwałtowne przesilenie wydaje się nam mało prawdopodobna i celowa ze względów geopolitycznych, które w dzisiejszych czasach wykluczają jej powodzenie. Jesteśmy również świadomi kosztów związanych z wszelkimi gwałtownymi zmianami, kosztów często przewyższających ewentualne zyski. Rewolucja ma tylko wówczas sens, gdy jest przygotowana infrastruktura przyszłego ładu: intelektualna, społeczna, gospodarcza czy instytucjonalna; wówczas rewolucja staje się właściwie kwestią techniczną, podejmowaną celowo i świadomie, a nie buntem.

Ewolucja skazuje nas na kompromis, któremu na przeszkodzie stoją ewidentne sprzeczności interesów: ekonomicznych, prestiżowych, politycznych, których nie da się wyeliminować. Tu widziałbym miejsce na refleksję polityczną, intelektualne poszukiwania - to byłoby właśnie jedno z zadań Klubu - takich wartości, pojęć,

plaszczyn, które mogłyby stawać się wspólne, a przynajmniej czytelne, dla różnych grup społecznych mających właśnie sprzeczne interesy, w tym również dla władzy. Jest to oczywiście kwestia właściwego rozumienia interesu państwa, społeczeństwa, narodu. Dopiero z perspektywy jakichś wspólnych wartości, podobnego ich rozumienia, do pomyślenia jest obopólny historyczny kompromis.

M.Z.: Czy nie jest zbyt optymistycznym podejście, zakładając dobrą wolę władzy w poszukiwaniu consensusu w sferze wartości? Czy nie nacisk społeczny, bardziej niż wola władzy jest siłą mogącą przynieść pożądane przez nas zmiany?

P.K.: Liczenie na skuteczność samego nacisku społecznego, czystej presji musi prowadzić do rozwiązań siłowych. Pozostają wtedy tylko sprzeczne interesy i relacje sił. Sądzę, że pewne wspólne wartości już funkcjonują: "Solidarność" zawsze starała się kierować również interesem istniejącego państwa, narodu, jakimś realizmem, zaś w stanie wojennym władza ograniczała się w swej agresji, również mając w jakimś stopniu na uwadze interes państwa i społeczeństwa. "Solidarność" stara się zachować pewne reguły gry /o ile to tylko jest możliwe/, unikając stosowania przemocy czy poszukując wszędzie możliwości praworządnego działania.

Oczywiście sama refleksja polityczna, sama praca intelektualna nie doprowadzą nas do kompromisu. Jest to możliwe przez stwarzanie pewnych faktów politycznych. I nie chodzi tu o dialog, jak to było w Sierpniu, przy jednym stole, ale współdziaływanie wielu elementów politycznych na siebie w sposób ciągły, na zasadzie nieustannego procesu. Nie bez znaczenia mogą być fakty stwarzane przez nas, np. Klub - przejawem zaś szukania przez drugą stronę wspólnych płaszczyzn byłaby rejestracja takiej inicjatywy. Ona sama w sobie nie stanowi jeszcze niczego specjalnie istotnego, ale każdy taki krok stwarza szanse na kilka następnych. Sukces rodzi sukces.

J.K.: Wracając do samego Klubu i jego pierwszych deklaracji. Mocno akcentuje się w nich problem państwa, szczególnie w pierwszym oświadczeniu Klubu, gdzie dyskusję i rozważania na temat reformy państwa stawia się na pierwszym planie w pracy Klubu. Jak należy rozumieć to szerokie pojęcie "reforma państwa" w konfrontacji z deklarowanym przez nasze środowisko i wyznawanym w jakiś sposób systemem wartości liberalnych? Czy nie można by się tu dopatrywać pewnej sprzeczności między klasycznym etosem liberalizmu, a pojawiającym się w tekście tak silnym, wręcz pierwszoplanowym traktowaniem państwa?

P.K.: Sądzę, że nie ma tu sprzeczności, choćby z tego względu, że reforma państwa to cel tak ogólny, że podpisać się pod nim może każdy w Polsce, włącznie z władzą. Po drugie, obojętnie, jaką przyjmiemy wizję państwa i stopień jego redukcji i ograniczenia, nie zmienia to faktu, że państwo zostanie centralną instytucją polityczną. Nie ma sprzeczności pomiędzy wypieraniem i ograniczaniem państwa w gospodarce czy jako organizatora życia społecznego a dostrzeganiem ważności tej instytucji i konieczności jej usprawniania.

J.K.: Zgadzam się z tobą. Nie jest problemem, czy zajmować się reformą państwa, czy nie; problemem jest wizja państwa, jego funkcjonowania, kompetencji - i sądę, że warto nad tym dyskutować właśnie na forum Klubu.

P.K.: Nie ma też sprzeczności pomiędzy dwiema drogami przekształceń państwa, które fałszywie można oceniać jako konkurencyjne.

Pierwsza to wspomniane "odchudzenie" państwa, czyli realizacja programu państwa-minimum, druga to demokratyzacja państwa. Myślę, że obie drogi składają się na pożądany przez nas proces, obie się warunkują. Z jednej strony mamy do czynienia z chęcią wyparcia tego państwa z tych sfer, w których ono nie spełnia zadania lub spełnia je źle, dużo gorzej, niżby robiły to np. rynek czy spontaniczna działalność społeczna, ale równocześnie jest kwestia docenienia państwa jako instytucji, która w jakimś sensie powinna być najważniejszą instytucją organizującą społeczeństwo, arbitrem, dobrem wspólnym, stojącym niejako ponad interesem poszczególnych grup. Procesy wypierania państwa i równocześnie brania zań odpowiedzialności wzajemnie się dopełniają i są nie do pomyślenia rozłączne.

J.K.: W środowiskach ludzi określających się jako sympatycy liberalizmu czy wręcz liberałowie uwidacznia się często niechęć do sformułowań typu "mocne państwo" i uczulenie na osoby czy grupy, które wskazują na konieczność wzmocnienia państwa. A ważne chyba jest to, czym państwo jest silne. Nie chodzi przecież o państwo silne środkami przymusu, ale silne consensusem społecznym, społecznym mandatem.

P.K.: Nie musiałyby ten mandat być od razu sformalizowany demokratycznymi procedurami - można sobie wyobrazić, że początkowo państwo uzyskuje warunkowy mandat społeczny z racji prowadzenia polityki odczytywanej jako zgodna ze swobodnie manifestowanymi oczekiwaniami społeczeństwa.

D.T.: Nie chodzi w każdym razie o państwo silne względem obywateli. Sądzę, że w komunizmie trapią nas dwojakiemu rodzajowi kłopoty z państwem. Jest to wszechobecność państwa, rozbuchany etatyzm, omnipotentcja a równocześnie ideologiczny charakter tego państwa /pomijam fakt, że państwo to pełni również rolę instrumentu realizacji interesu sowieckiego w Polsce/. I o czym w takiej sytuacji możemy marzyć jako liberałowie. Trzeba oczywiście myśleć o ograniczaniu wszechwładzy tego państwa, która zresztą od lat powoli maleje, myśląc równocześnie o zawiaszczeniu przez społeczeństwo i nadawaniu nowej treści tym instytucjom państwowym, które funkcjonują i nadal będą funkcjonować. Zgodzę się z każdym, kto powie, że tego państwa powinno być jak najmniej, ale zgodzę się także z tym, który twierdzi, że instytucje państwowe, które istnieją /bo muszą, albo bo nie da się ich wyeliminować/ powinny być sprawne, kompetentne, nastawione prospołecznie. Najgorzej jest tak, jak w tej chwili: państwo jest wszechobecne, lub co najmniej przerośnięte, a przy tym skrajnie niefunkcjonalne. Jest jeszcze jedno zagadnienie, które w tym kontekście trzeba poruszyć: państwo, a szczególnie takie państwo, wejdzie wszędzie tam, gdzie brak autentycznych więzi społecznych, tej swoistej naturalnej infrastruktury. Jej atrofia to dzieło komunizmu, stąd tak trudno w Polsce walczyć z molochem centralizmu.

Nie można eliminować państwa i pozostawiać próżnię, byłoby to nieskuteczne, a przy tym niebezpieczne. Trzeba więc dysponować programem zagospodarowania wolnych przestrzeni. Mnie w równym stopniu niepokoi agresywność i zaborczość tego państwa, co nieświadomość tych zagrożeń u większości ludzi. Tocqueville powiedział kiedyś, że nienawiść do tyranii nie musi jeszcze oznaczać umiłowania wolności. Coś takiego widzimy w dzisiejszej Polsce: niechęć czy nienawiść wręcz do władzy są dość powszechne, natomiast indywidualna potrzeba wolności, niezależności, samodzielnności, aktywnej odpowiedzialności są wciąż bardzo rzadkie. Znakomita większość naszego społeczeństwa nie wyobraża sobie nawet

• samodzielnego życia na wyłącznie własny rachunek, życia bez surowej i trudnej do zniesienia, ale dającej łatwe bezpieczeństwo, obecności państwa. Państwo stało się dla większości - niezależnie od tego, ilu ludzi na nie klnie - konieczną protezą.

J.K.: Protezą z jednej strony, a z drugiej czymś, za co nie bledzie się żadnej odpowiedzialności. Jest instancją, od której się żąda, wymaga, nic dziwnego zresztą, patrząc na efekty czterdziestu lat rządów komunistycznych. Stąd waga tego działania, żeby przez świadomości konieczności ograniczania omnipotencji państwa równocześnie umieć kształtować postawy odpowiedzialności za to, co rzeczywiście to państwo powinno robić, czy za jego funkcjonalność.

P.K.: To ubezwłasnowolnienie obywateli znalazło jakby swoje przedłużenie czy konsekwencje w postawach i psychice ludzi. Pojęcie państwa dość powszechnie utożsamia się z aparatem władzy, z grupą rządzącą. Ingerencje państwa, jego wszechobecność uważa się często za coś naturalnego, a w sytuacji kryzysu nawet za pożądanego. Rzadko natomiast rozumie się w kategoriach odpowiedzialności za samego siebie i za państwo. Idealne państwo w dość powszechnym odczuciu jawi się jako ojciec, może surowy, autokratyczny, ale w relacji do którego jest silna skłonność do podporządkowania się, przyzwolenie na dominację. Z kolei realnie istniejące państwo, ze względu na swoją nieudolność, niesprawność, jest źródłem frustracji i przedmiotem wrogości, jest czymś obcym. W powszechnej świadomości skutecznie zniszczono poczucie odpowiedzialności za państwo i postrzeganie go kategoriach dobra wspólnego.

Stanowi to wielkie zagrożenie dla realności jakichkolwiek zmian w Polsce i możliwe, że jest jedną z przyczyn impasu politycznego i gospodarczego. Być może istnieje takie sprzężenie, które blokuje możliwości zmian - i nie wynika to tylko z nagiej przemocy państwa, z jego siły, ale z pewnego wzajemnego zapętlenia.

M.Z.: Ale państwo to, oprócz swych funkcji opresyjnych i tendencji do zawłaszczania całej sfery życia społecznego, pełni też - w ograniczonym zakresie - rolę gwaranta narodowego interesu Polski. W takiej konfiguracji geopolitycznej zapędy do minimalizowania jego roli nie powinny iść za daleko. Łatwo jest teoretyzować, posługując się ideologią zachodniej proveniencji, ideologią liberalną, nie biorąc pod uwagę konkretnego układu w bloku. Chcąc reformować państwo, musimy cały czas mieć w pamięci ten kontekst w postaci obozu socjalistycznego i pewnych sił narodowych, które wokoło tętnią, niemieckich, rosyjskich i innych.

P.K.: Gdyby iść bardzo daleko twoim tropem, to nie byłoby racji dla kwestionowania obecnego układu.

D.T.: Tak, to przypomina tę charakterystyczną autolegitymizację władzy komunistycznej: wszyscy wiemy, że to państwo jest do niczego, ułomne, ale właśnie ono gwarantuje jakiś tam upośledzony byt narodowy.

M.Z.: Kwestionując legitymizację komunistyczną, trzeba nawiązywać do polskości państwa, w którym żyjemy, będąc świadomym z jednej strony zagrożenia wynikających z absolutyzowania polskości narodu, z drugiej zaś odrzucać sztafaż ideologiczny.

P.K.: To jest właśnie poszukiwanie sfery wspólnych wartości. Ja zgodziłbym się z tobą w tym sensie, że nasze działanie powinno być racjonalne, a nie ideologiczne czy dogmatyczne. Liberalizm wyrasta z realiów, skłania do racjonalizmu i do rozwiązywania konkretnych problemów; nie oznacza to rezygnacji z pewnych pryn-

cypiów, naczelnych wartości, ale próbuje je realizować możliwie skutecznie w aktualnych warunkach. Oczywiście pojawiają się sprzeczności pomiędzy zasadami a działaniami wynikającymi z realiów.

D.T.: Działanie ograniczające państwo nie jest równoznaczne z kwestionowaniem państwa w ogóle czy z działalnością antypaństwową. Paradoksalnie, ograniczenie tego państwa do wymiaru koniecznego, niezbędnego, nawet w klasycznie liberalnej ocenie stopnia niezbędności, jest jedynym sensownym sposobem wzmocnienia tego państwa.

P.K.: Polskość tego państwa i interes narodowy nijak nie wynikają z jego omnipotencji. Jego paratotalitaryzm zaciera charakter narodowy i uniemożliwia realizowanie interesów społeczeństwa.

D.T.: Tak, sądzę, że Stany Zjednoczone, państwo tak dalece zdecentralizowane, nie mają kompleksu słabego państwa. Wracając do Klubu; wydaje się, że koncepcja realizowania tego typu inicjatyw przybliży powstanie więzi społecznych, a następnie instytucji i takich społecznych zachowań, które są charakterystyczne dla społeczeństw obywatelskich, dla ludzi, którym państwo nie jest potrzebne do życia jak powietrze.

J.K.: Wydaje mi się, że tutaj mówimy o bardzo ważnej dla założycieli Klubu sprawie. To problem państwa, od blisko czterdziestu lat postrzeganego jako wróg /co znajdowało zresztą uzasadnienie/ i wynikające z tego myślenie, zarówno potoczne, jak i w wielu kręgach opozycji, że konieczna jest rewolucja, po której zbudujemy państwo od nowa, od fundamentów, zgodnie z jakąś idealną koncepcją. Koncepcją, którą wymyślimy po obaleniu starego państwa, już jako wolne społeczeństwo, i ten ideał wcielimy kompleksowo w życie. Jeżeli zaś przyjmuje się ewolucyjną koncepcję przemian, które zachodzą jako proces od trzydziestu ponad lat, to wykluczyć trzeba wizję budowania nowego ładu od podstaw.

D.T.: Ewolucyjna opcja implikuje pewne zasady politycznego zachowania się /koncepcja Klubu w nich się właśnie mieści/: starać się państwo ograniczać, starać się państwo kontrolować, starać się budować własne instytucje, które pomogą zagospodarować odzyskaną przestrzeń społeczną, a nie wymieniać tego państwa na inne.

J.K.: Myślę, że jest jeszcze druga sprawa, równoległa do tej, powiedzmy "państwowej". Równie ważnym problemem jak kwestia państwa jest dla założycieli Klubu fakt, że prawie powszechnie w społeczeństwie polskim pojęcia polityka i polityk nabrały cech pejoratywnych i negatywnego znaczenia emocjonalnego. Podejmując działalność w Klubie, jawnie i zdecydowanie określiliśmy ją jako polityczną, chcąc w ten sposób pokazać nasze rozumienie polityki jako niezbędnej sfery życia, którą mamy prawo i powinność uprawiać, jako istotną część wszelkiej aktywności obywatelskiej, wynikającą z poczucia odpowiedzialności za siebie, swoje środowisko, region i kraj.

Kończąc tę rozmowę powinniśmy się chyba też zastanowić, jak ocenilibyśmy odmowę rejestracji Klubu?

D.T.: Jak już na początku wspominaliśmy, ta inicjatywa jest jakąś formą testu, niezależnie nawet od intencji założycieli Klubu, po prostu siłą faktu, testu intencji władzy. Dotychczas twierdziła ona, że jest gotowa pójść na daleko idący kompromis i porozumienie z każdym, kto chce przyjąć współodpowiedzialność za państwo, kto proponuje rozwiązania pozytywne, niezależnie od jego politycznych i ideowych zapatrywań. Jeżeli - co jest bardzo

prawdopodobne - władza mówi to wyłącznie w celu propagandowym, to odmowa rejestracji będzie potwierdzeniem tego przypuszczenia. Komuniści twierdzą, że opozycja nie artykułowała dotychczas swych pozytywnych treści /co nie jest prawdziwe/, co uniemożliwiało dialog; dzisiejszy ruch stowarzyszeniowy, klubowy, towarzystw itd. jest z definicji budujący, konstruktywny - oczywiście nie na zamówienie władz, nie koniunkturalnie. Nie chodzi o tworzenie z tej swojej pozytywności jakiejś nęcącej oferty politycznej komunistom, nie stanowi ona instrumentu, lecz treść tych inicjatyw, a tylko przy okazji może okazać się sprawdzeniem dobrej woli rządzących. Odmowa rejestracji takich przedsięwzięć oznaczać może, że komuniści nie są skłonni do jakiegokolwiek kompromisu z siłami niezależnymi, chyba że pod warunkiem ich ubezwłasnowolnienia. Odmowa nie zmienia chyba naszej determinacji w kontynuowaniu tego przedsięwzięcia, gdyż nie jest ono w założeniu uzależnione od takich czy innych decyzji - będzie ta odmowa jednak znamienym świadectwem i pesymistyczną ale konkretną przesłanką dla przyszłych działań. W każdym razie nie po to zakładaliśmy klub, aby go za wszelką cenę rejestrować. Zarejestrować chcielibyśmy klub taki, jakim on jest, a nie taki, jakim ktoś chciałby go widzieć.

Gdańsk, styczeń 1988

DOKUMENTY

DEKLARACJA ZAŁOŻYCIELSKA GDAŃSKIEGO KLUBU POLITYCZNEGO IM. LECHA BĄDKOWSKIEGO

Powołujemy do życia Gdański Klub Polityczny im. Lecha Bądkowskiego. Podejmując tę decyzję kierujemy się zarówno poczuciem odpowiedzialności za bieg spraw publicznych w naszym kraju i regionie, jak też wnioskami wytykającymi z interpretacji obecnej sytuacji społecznej i politycznej Polski. Sytuacji tej nie da się opisać za pomocą jednej barwy. Zjawiskom i procesom budzącym największy niepokój towarzyszą inne - budzące nadzieje.

Doświadczamy głębokiego i ogarniającego całe życie społeczne kryzysu. Jest to kryzys: gospodarczy, polityczny i moralny. Wyraża się on m.in. w niepokojąco szerokim zasięgu postaw apatii, braku wiary w pomyślniejszą przyszłość ojczyzny. Wiele - zwłaszcza młodych - Polaków swoje życiowe nadzieje wiąże z perspektywą opuszczenia kraju.

Okres otworzony Sierpniem 1980 roku przyniósł ogółowi Polaków uświadomienie sobie prawa do udziału w życiu publicznym i wpywania na kształt państwa, ale doświadczenie stanu wojennego spowodowało upowszechnienie poglądu, że struktura obecnego systemu politycznego uniemożliwia w praktyce trwałe korzystanie z tych praw. Ideologia legitymizująca system polityczny uległa kompromitacji. Nie udało się wytworzyć żadnych skutecznych i wiarygodnych instytucjonalnych mechanizmów pozwalających na regulowanie konfliktów społecznych i politycznych oraz ograniczanie ich kosztów, chociaż opozycja polityczna o pluralistycznym charakterze stała się trwałą elementem polskiej rzeczywistości, uzyskując stosunkowo szeroki zakres tolerancji.

Narasta jednak świadomość - jak sądzimy po obu stronach linii podziału, który wyznaczyła data 13 grudnia 1981 r. - że utrzymanie dotychczasowego stanu rzeczy w kierowaniu gospodarką narodową i w relacjach między rządzącymi a rządzonymi może jedynie pogłębiać kraj w dalszym upadku i pogłębiać przepaść dzielącą nas od rozwiniętych krajów świata i naszego kontynentu. Zmiany dokonujące się w ZSRR, które obserwujemy z zainteresowaniem, stwarzają perspektywę otwarcia nowego, pomyślniejszego rozdziału stosunków polsko-radzieckich. Sprzyjają również podjęciu reformy państwa polskiego. Do Polaków należy wykorzystanie sprzyjającej koniunktury.

Uważamy, że podstawowym czynnikiem warunkującym uzdrowienie naszego życia publicznego jest przekształcenie państwa. Z obecnym jego kształtem politycznym i ustrojowym identyfikuje się jedynie część społeczeństwa. Większość - jak uważamy - odczuwa wobec niego rezerwę a nawet wrogość, doświadcza poczucia obcości. Zjawiska te wynikają z genezy tej państwowości, projektu ideologicznego, który znajdował się u jej podstaw oraz kształtował system polityczny i gospodarczy. W szerokich kręgach społeczeństwa państwo było i jest utożsamiane z czynnikiem władzy i jego ideologią. Nie dostrzega się ewolucji, którą przechodziło ono - przede wszystkim pod wpływem presji społeczeństwa - na przestrzeni historii, szczególnie po 1956 r.

Uważamy, że aktualnie istniejące państwo jest niedoskonałą, ale realną formą polskiej państwowości, mimo jej genezy i funkcji, jaką w zamierzeniu miało wypełniać. Sądzymy, że odpowiedzialne myślenie o Polsce powinno zmierzać do jego zasadniczej reformy, a nie traktowania go jako przeciwnika. Powtarzamy: dojrzały warunki do zainicjowania procesu tej reformy, a nawet więcej: obecna sytuacja zewnętrzna i wewnętrzna Polski stawia nas przed tym wyzwaniem.

Wiemy, że zadanie to trzeba widzieć jako proces, rozłożony na etapy, a nie jako jednorazowy akt. Celem tego procesu jest doprowadzenie do sytuacji, w której państwo w możliwie najlepszy sposób służyć będzie interesom Polaków, a władza czerpać będzie swój legitymizm z politycznego konsensusu oddającego faktyczny układ sił społecznych w Polsce. Tylko w takich warunkach można by liczyć na utożsamienie się społeczeństwa z państwem postrzeganym jako własne. Wiemy, że trzeba wkroczyć na drogę prowadzącą w tym właśnie kierunku. Zmiana stosunku społeczeństwa do państwa będzie niewątpliwie następowała w miarę procesu obywatelnienia.

Co można i trzeba zrobić już teraz? Społeczeństwo powinno uzyskać możliwość autentycznego uczestniczenia w życiu publicznym i podejmowania inicjatyw gospodarczych. Warunkiem tego jest uznanie przez państwo prawa do zrzeszania się obywateli w celu realizacji własnych przekonań i interesów. Praktyczna realizacja tego prawa wymaga uznania niezależnych inicjatyw i stowarzyszeń dotyczących wszystkich sfer życia społecznego. W ten sposób może kształtować się i wyrażać opinia publiczna. Niezbędnym warunkiem jest także uznanie przez państwo zjawiska opozycyjności i umożliwienie tworzenia instytucjonalnych form działania. Obszar życia publicznego toczącego się poza strukturami oficjalnymi - obszar życia niezależnego - jest tak rozległy, że nie do pomysłenia jest normalne funkcjonowanie państwa i przełamanie kryzysu gospodarczego bez uznania tej oczywistości.

Chcemy działać w tym kierunku:

1. Zajmować publiczne stanowisko w sprawach kraju, a szczególnie naszego regionu.
2. Pobudzać i wspierać inicjatywy obywatelskie o charakterze społecznym, politycznym, gospodarczym, kulturalno-oświatowym zmieniające naszą rzeczywistość.
3. Umożliwiać dyskusje i debaty publiczne.
4. Inicjować opracowania i ekspertyzy dotyczące problematyki politycznej.
5. Integrować niezależne środowiska naszego regionu.

Dla nas wszystkich - bez względu na wcześniej przebytą drogę - doświadczenie "Solidarności" jest ważnym fragmentem biografii. Odczuwamy związek z jej dziedzictwem.

Chcemy korzystać z naszych praw. Nasz Klub pragnie działać legalnie, dlatego też występujemy o jego rejestrację.

Przez wiele lat na naszym terenie prowadził działalność Lech Bądkowski ucząc postawy odpowiedzialności obywatelskiej, odwagi cywilnej, przywiązania do własnego regionu. Pragniemy kontynuować rozpoczęte przez niego dzieło, dlatego też Klub nazwaliśmy Jego imieniem.

Komitet Założycielski: Szczepan BAUM, Stefan GOMOWSKI¹, Ryszard GRUDA, Grzegorz GRZELAK, Ewa GÓRSKA, Aleksander HALL, Piotr KAPCZYŃSKI, Dariusz KOBZDEJ, Jacek KOZŁOWSKI, Arkadiusz RYBICKI, Jacek TAYLOR, Marian TERLECKI, Marek TOKARCZYK, Donald TUSK, Marek ZAJĄKATA, Andrzej ZARĘBSKI.

D E C Y Z J A

Na podstawie art. 20 i w związku z art. 14 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 października 1932r.- prawo o stowarzyszeniach/Dz.U. Nr. 94 poz. 808 z późniejszymi zmianami/

o d m a w i a m

wpisania do rejestru stowarzyszeń i związków Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku i zakazując działalności stowarzyszenia pn. "Gdański Klub Polityczny im. Lecha Bądkowskiego".

u z a s a d n i e n i e

W toku postępowania rejestracyjnego ustalono, że inicjatorzy powołania "Klubu" zorganizowali i odbyli 27 października 1987r. w Gdańsku zebranie założycielskie- bez wymaganego zezwolenia właściwego organu administracji państwowej.

W ten sposób dopuszczono się naruszenia przepisów ustawy z dnia 29 marca 1962r. o zgromadzeniach/ Dz.U. z dnia 6 kwietnia 1962r. nr. 20, poz. 89/.

W przedłożonym projekcie statutu zakłada się, że "Klub" ma być organizacją "niezależną" nie precyzując bliżej w stosunku do kogo i w jakim stopniu odnosi się ta "niezależność".

W statucie brak jest natomiast deklaracji, że zamierzona działalność będzie prowadzona zgodnie z konstytucyjnym porządkiem prawnym.

Biorąc pod uwagę powyższe uznano, że powstanie i działalność "Gdańskiego Klubu Politycznego im. Lecha Bądkowskiego" mogłyby spowodować zagrożenie porządku publicznego.

W związku z tym postanowiono jak w sentencji .

Od decyzji niniejszej przysługuje prawo wniesienia odwołania do Ministra Spraw Wewnętrznych w terminie 14 dni od daty jej doręczenia - za moim pośrednictwem.

Otrzymuje:
Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych
w Gdańsku



Dyrektor Wydziału

Włodzisław Gramadski

Dariusz Filar

BYĆ LIBERAŁEM

W styczniu 1976 roku Giovanni Sartori - profesor nauk politycznych, Włoch, ale wykładający w Stanford University - przypieczętował tezy swego eseju o liberalizmie takimi oto słowami: "Rosnąca liczba intelektualistów w Europie Wschodniej dokonuje ponownego odkrycia liberalizmu /.../. To ponowne odkrycie wymagać jeszcze będzie trudu, łez i czasu, a może nawet ofiar. Jeśli jednak wspólnota obywatelska Zachodu /która albo jest liberalno-demokratyczna, albo jest niczym/ potrafi utrzymać się przy życiu przez czas dostatecznie długi, to liberalna demokracja zostanie podtrzymana i odmłodzona przez liberalizm ze Wschodu".

Profesor Sartori nie miał na myśli wyłącznie Polski: wskazywał obszar rozleglejszy. Ale spłot historycznych doświadczeń i współczesnych dążeń społeczeństwa właśnie w naszym kraju dał liberalizmowi najbardziej realne szanse, mimo wszystkie popieszenie stawiane bariery zaczął otwierać mu drogę - albo chociaż ścieżkę - do jawnego istnienia i szerokiego promienienia.

"Liberalizm" - jakie treści kryją się za tą etykietą? Co najbardziej uderza w obrazie świata odmalowanym przez myśl liberalną? Na czym polegają dalekościąne zamiary liberałów? I co to właściwie znaczy - być liberałem? Pałace pytania!

Wokół liberalizmu krążyć można po najróżniejszych orbitach. Wynikające stąd odmienności punktów widzenia pozwalają dostrzec i system filozoficzny i kierunek polityczny i doktrynę ekonomiczną i partyjną platformę ideową... Uczni profesorowie starannie wyodrębniają liberalizm klasyczny, demoliberalizm, socjoliberalizm i co najmniej kilka neoliberalizmów. Komentatorzy polityczni wskażą niemieckich autorów "Tez fryburskich", francuskich Niezależnych Republikanów i angielskich konserwatystów /sprzed rozłamu/. Ekonomści powołają się na Adama Smitha, Johna Stuarta Milla i Milтона Friedmana. A przeciwnicy zawsze mogą plunąć epitetem "zgniły liberalizm".

Nie potrafię przedstawić zwięzłej definicji liberalizmu /zresztą chyba w ogóle nie jest to możliwe/. Zbyt wielu z kolei

słów i stronic wymagałoby całościowe opisanie rozwoju poglądów i ruchów, które się nań złożyły. Pozostaje wariant trzeci - przypomnienie wartości i zasad, wierność którym czyni człowieka liberałem, a których poszanowanie w życiu zbiorowości nadaje liberalny kształt społeczeństwu.

Owe zasady i wartości wyrazić można w szeregu przeciwstawięń przyporządkowanych swoją stylistyką zapiski conradowskiego Razumowa:

WOLNOŚĆ A NIE RÓWNOŚĆ
 JEDNOSTKA A NIE MASA
 PRAWO A NIE PRZEMOC
 EWOLUCJA A NIE REWOLUCJA
 WŁASNOŚĆ A NIE ALIENACJA

Takich syntetycznych symboli wyboru dokonanego przez liberałów można by bez wątplenia wyszukać więcej. Nie warto jednak wydłużać listy; wiele bardziej szczegółowych kwestii to tylko cegiełki tych pięciu fundamentów. Pojawiają się i tak w ich szerszym opisie.

WOLNOŚĆ A NIE RÓWNOŚĆ

Tym, którzy w dniu Rewolucji Francuskiej wywiesili na murach transparenty z napisem "Liberte, egalite, fraternite", wydawało się, że owe trzy wartości mogą współistnieć równie zgodnie w życiu jak i na papierze czy płótnie sztandaru. Rychło jednak okazało się, że zgilotynowanie - w atmosferze wolności i braterstwa - setek, a nawet tysięcy ludzi, którzy sposobem bycia zdawali się najbardziej uragać zasadzie równości wcale nie czyni bardziej równymi pozostałych.

Odmienności umysłów i temperamentów wciąż na nowo, uparcie rozwarstwiają społeczeństwa i pragnąc spełnienia ideału równości - zwłaszcza dosłownie, mechanicznie pojmowanej - trzeba uciekać się do przemocy. Bez wielkiej przenikliwości można przecież dostrzec, że raj równości - w którym wszyscy jednakowo mieszkają, jedzą, ubierają się i odpoczywają - najłatwiej stworzyć w więzieniu. Identyczne cele, miski ze strawą i drelichy, identyczne lektury i rozmowy, identyczne marzenia nawet - z tego kleciły równość, bez reszty dławiać wolność, liczne dwudziestowieczne rządy w Europie i Azji...

Pomni na tragedię narodów zmiażdżonych duchowo hasłem równości liberałowie wybierają wolność, ją ogłaszają swoją zasadą naczelną. Równość akceptują natomiast nie jako przymusową jednakość, lecz jako ujednolicenie dla wszystkich praw i szans. W żadnej grze nie ma samych zwycięzców, każda gra przynosi w finale nierówność uczestników. Ale jeśli reguły są sprawiedliwe, a współzawodnicy uczciwi - grę i jej wyniki należy uznać. Klasyk myśli liberalnej, John Stuart Mill, wyraził ten pogląd w trzech zdaniach: "Kto zwycięża konkurentów w jakimś zawodzie lub na konkursowym egzaminie, kto uzyskuje pierwszeństwo przed innym w walce o przedmiot, którego pragnie dwóch - odnosi korzyść kosztem drugich, kosztem ich daremnych wysiłków i zawiedzionych nadziei. Lecz wszyscy uznają, że lepiej jest dla ludzkości, by jednostki dążyły do swoich celów bez względu na tego rodzaju konsekwencje. Innymi słowy - społeczeństwo nie przyznaje zawiedzionym konkurentom żadnego ustawowego lub moralnego prawa do uniknięcia tych przykrości i czuje się w obowiązku interweniować tylko wtedy, gdy dla

odniesienia sukcesu użyto środków, które nie mogą być dozwolone jako sprzeczne z interesami ogółu: oszustwa, zdrady lub gwałtu".

Oczywiste jest twarde trwanie liberałów przy wolności rozwoju osobowości, przy wolności myśli, słowa i druku, przy wolności religii, przy wolności stowarzyszeń - przy tych wszystkich wolnościach, które nierozdzielnie splatają się z pojęciem godności człowieka.

Ale sprawie wolności przydaje liberalizm i drugi odcień. Prąd, który zrodził się z oporu wobec absolutyzmu, despotyzmu i totalizmu - wobec wszelkiej tyranii - nie pozostał na wydebieniu od odpornej władzy fundamentalnych praw człowieka i obywatela. Prawie równocześnie dojrzała idea przekształcenia samej władzy; wolność zaczęła oznaczać nie tylko osłonę społeczeństwa i poszczególnych jego członków przed zapędami rządzących, lecz także w s p ó ł u d z i a ł ogółu w rządach.

Pierwszym stopniem tego współdziałania jest oddanie głosu w wyborach; przyczynienie się tym sposobem do zastąpienia władzy pomazańców i samozwańców przez rządy pochodzące z powszechnej elekcji. Ale stopień to najniższy i liberałów bynajmniej nie satysfakcjonujący. Już przeszło sto lat temu J.St. Mill dostrzegł, że porzucenie na samym tylko wybraniu władzy "zmienia czynną i ambitną część społeczeństwa w stronników rządu lub jakiejś partii", a ludzie sami winni podejmować decyzje i rozwiązywać problemy; wysiłku tego nie wolno im cędować na kogokolwiek - ani na członków rządu, ani na przywódców partyjnych, ani na posłów do parlamentu. Nawet jeżeli najuczciwiej ich wybrano!

W zdrowym społeczeństwie rząd centralny wydaje tylko minimalną liczbę decyzji, które żadną miarą nie mogłyby zapaść na niższym szczeblu. Całą resztą spraw związanych z funkcjonowaniem państwa /a więc przeważającą ich część/ rozstrzygają połączone w rozległą i wielostronną sieć samorządów lokalne oraz - o ile to możliwe - we własnym zakresie poszczególni obywatele. To właśnie rozwiązanie współcześni autorzy określają mianem "rozdzielenia władzy" /Raymond Aron/, "socjoekonomicznego rozproszenia władzy" /Giovanni Sartori/ czy też "zdrowej podejrzliwości wobec władzy centralnej" i - wypływającej z niej - "decentralizacji władzy" /Friedrich A.Hayek/. Największa nawet polityka przestaje być udziałem garstki na szczycie i deszczem rozbitej na tysiące cząsteczek władzy spada w dół - ku swobodnie sformowanej grupie i ku jednostce. Ku jednostce, której porządek świata liberałów wyznacza miejsce centralne.

JEDNOSTKA A NIE MASA

Społeczeństwa świeżo wybawione z opresji dyktatury przechodzą okres fascynacji demokracją. Po latach uciemięczenia przez m n i e j s z o ś ć naturalne i prawie powszechne staje się dążenie do spontanicznego wcielania w życie tego, co pragnie w i ę k s z o ś ć. Władza ludu - objawiająca się jako skuteczna presja mas - spełnia oczekiwania i syci nadzieje najszczerzych demokratów.

Liberałowie natomiast entuzjastami tak pojętej demokracji wcale nie są /inna sprawa, że liberałowie w ogóle rzadko bywają entuzjastami; dominuje wśród nich typ łagodnego sceptyka

i ironisty/. Nieskrępowana w podejmowaniu decyzji większość niepokoi ich prawie tak samo jak swobodnie używający władzy dyktator.

Pośród wypadków historycznych budzących nieufność liberałów wobec kultu demokracji szczególne miejsce zajmuje ten, który przed blisko dwoma tysiącami lat miał miejsce w Jeruzalem; w dniu, w którym przed rzymskiego prokuratora Judei przywiedziono człowieka mieniącego się królem Żydów. Zapytawszy, co uczynić z Jezusem, otrzymał Piłat odpowiedź, którą tak przedstawia ewangelista Łukasz: "I zawołała s p o ł e m w s z y s t k a r z e s z a /podkreślenie moje/ mówiąc: Strać go, a wypuść nam Barabasz!" Wydany wyrok wyrażał więc wolę większości, ba - dziś powiedzielibyśmy, że został uchwalony przez akklamację. A przecież zwolnienie z więzienia ofiarowywał - zbrojcy, zaś krzyż Sprawiedliwemu.

Podobnie - przeto demokratycznie, z woli i ku zadowoleniu stanowiącej większość masy - skazano Sokratesa, podobnie rozpalano stosy dla myślicieli, podobnie burzono świątynie, podobnie niszczone książki i rozbijano posągi...

Wszelkie decyzje i tym bardziej wszelka władza wyrastające z ryku stanowiących większość tłumów /nawet jeżeli "ryk" ma tylko sens przenośny, nawet jeżeli wydano go w słusznej sprawie i niezależnie od tego, czy przeważa w nim radość czy rozpacz/ - są skażone tyranią. A na to - pisał Guido de Ruggiero - "aby przeksztalcić tyranię demokracji w jednoosobową dyktaturę trzeba tylko postawić kropkę nad i".

Mówić o podmiotowości społeczeństwa nie ustanowiwszy wprzódy gwarancji praw indywiduum - to uprawiać pustosłowie. Wyzwalać fizyczną siłę duchową poszczególnego człowieka - to nadużywać demokracji i wynaturzać ją. Wzywać do działania w imię interesów narodowych czy klasowych usuwając z pola widzenia jednostkę - to prostą drogą prowadzić do reżimu totalitarnego. Nic nie jest w uszach liberała gorszym zgrzytem żelaza po szkle niż te, w czasie wielu rewolucji skandowane, hasła: "Lud wszystkim - jednostka niczym!" oraz "Kto nie z nami - ten przeciw nam!". Jak gdyby dla przeważenia ciężaru tych haseł padają na przeciwległą szalę słowa przestrzegające przed bałwochwalczym kultem ludowładztwa: "Większość nigdy nie ma racji" /Ibsen/; "Prawa demokracji są prawie zawsze niedoskonałe lub niewczesne" /Tocqueville/; "Masy - to znaczy zbiorowa miernota" /Mill/...

Całą historię świata można by napisać jako opowieść o jednostkach łamanych i deptanych przez masy. Masy miotane żywiołem własnych irracjonalnych odruchów albo też zρέcznie manipulowane, w obu przypadkach zupełnie ślepe... Broniąc jednostki i mniejszości liberałowie zmierzają do przerwania tej monotonnej powtarzalności dziejów i do wszczęcia im nowego lejt-motywu. Potrzeba nam warunków, w których każdy człowiek z osobna będzie się liczył w politycznym mechanizmie. I właśnie taki stan odzwierciedla słynny, być może nawet najsłynniejszy, cytat Milla: "Gdyby cała ludzkość z wyjątkiem jednego człowieka sądziła to samo i tylko ten człowiek był odmiennego zdania, ludzkość byłaby równie mało uprawniona do nakazania mu milczenia, co on - gdyby miał po temu władzę - do zamknięcia ust ludzkości". Kolejne, nastawione na wykrycie drugiego dna, odczytanie tego zdania pozwala dostrzec w nim nie tylko podkreślenie prawa jednostki do wolności, lecz także sygnał wskazujący tej wolności granice; pojawiają się one wraz z przekona-

niami, dążeniami i interesami innej jednostki lub grupy osób. Wolność człowieka może sięgać tylko do punktu, w którym jeszcze nie powoduje zniewolenia innego człowieka, nie narusza tego, co mu przysługuje, nie wyrządza mu jakiegokolwiek krzywdy...

Czy jednak uznanie waloru jednostki i mniejszości za równy temu, jaki mają większość i masa dowodzi, że liberalizm jest alternatywą demokracji? Że wybranie jednej z tych dwu dróg wyklucza drugą? Absolutnie nie! Liberalizm stanowi tylko n i e - z b ę d n e dopełnienie demokracji. Nie można pozwalać jednemu na wszystko tylko dlatego, że jest ich najwięcej i nie można krępować lub ignorować drugich tylko dlatego, że są nieliczni - a takimi właśnie niegodziwościami grozi demokracja pozbawiona ducha liberalnego. To dopiero z połączenia wartości demokratycznych i liberalnych powstaje d e m o k r a c j a l i b e r a l n a - ta która godzi potrzebę respektowania w o l i w i ę k s z o ś c i z wymogiem poszanowania w o l n o ś c i j e d n o s t k i. Na straży tego *equilibrium* winno stać prawo.

PRAWO A NIE PRZEMOC

W prawodawstwie szuka liberał przejrzystego zapisu wyznawanych przez siebie ideałów i jednocześnie gwarancji ich powszechnego respektowania. Za oś, wokół której winny narastać artykuły, paragrafy i kodeksy, wokół której winny krążyć myśli prokuratorów, adwokatów i sędziów, wokół której wreszcie winna formować się architektura porządku i ładu w państwie uznaje więc swoją wartość naczelną - jednostkę i przyznanie jej wolności.

Z jednej strony księgi praw muszą upewniać jednostkę o jej wolności osobistej, wolności poruszania się, wolności religii, wolności opinii na każdy temat, wolności wyrażania i upowszechniania tej opinii - w tym za pośrednictwem instrumentów masowego przekazu, wolności zrzeszania się z innymi...

Z drugiej strony te same księgi winny grozić stosowną karą każdemu, kto nadużywając własnej swobody wyrządza krzywdę innym, kto utrudnia im korzystanie z praw, kto sięga po przemoc...

Oba aspekty tak pojętego prawa wyraża myśl Waltera Lipmana: "Kształtowanie ludzkiego losu liberalizm powierza inicjatywie jednostek b e z p i e c z n y c h w s w o i c h p r a w a c h i odpowiedzialnych przed innymi jednostkami, których prawa są t a k i e s a m e" /wszystkie podkreślenia moje/.

Posiadając sprecyzowany pogląd na to, co winno być utrwalane i chronione przez prawo, liberał nie może przystać na normy, które ponad interes każdej jednostki ludzkiej z osobna i wszystkich jednostek pospołu przedkładają interesy wyższych kręgów. Ze sprzeciwem z jego strony musi się spotkać naginanie prawa ku racjom jednej klasy, jednej partii czy jednego lobby. Obudzi protest osiągnięcie przez administrację państwową panowania nad ciałami ustawodawczymi i fabrykowanie w rezultacie praw gloryfikujących i obdarzających bogactwem kompetencji urząd, wynoszących go ponad obywatela. Nie znajdują także akceptacji próby przemycenia w dekretach jakichkolwiek grupowych przywilejów. We wszystkich tych zabiegach, nie zważając na najbardziej wyszukane formułki kauzyperdów i najbardziej potę-

czyste wywody ideologicznej propagandy, liberał może dostrzeżać tylko jedno - kodyfikowanie i sankcjonowanie b e z p r a w i a. Chociaż z natury rzeczy jest gorącym zwolennikiem rządów prawa, przed czymś, co prawo tylko imituje, ugiąć się nie może.

Jeżeli przyjmujemy, że istota funkcji prawa leży w objawieniu, ujmowaniu w ramy i strzeżeniu powszechnej wolności, to za bezprawie konsekwentnie musimy uznać wszelką przemoc. Zarówno tę, która zasłania się skąpym listkiem figowym dyktatorskiego dekretu, jak i tę, która ukazuje się w pełni kryminalnej nagości. Tę, co służy utrzymaniu *status quo*, ale także tę, co przynieść ma odmianę. Tę w wewnętrznym życiu poszczególnych społeczności i tę w stosunkach międzynarodowych.

Czołowy liberał II Rzeczypospolitej, Ferdynand Zweig, pisał: "Liberalizm nie wierzy w skuteczność i dobroczynność przymusu, narzuconego ludziom wolnym w życiu codziennym. Twierdzi, że współpraca ludzi oparta tylko na przymusie jest mało warta." I zaraz kontynuował: "Liberalizm jest systemem pokoju i współpracy międzynarodowej. Największym zagrożeniem liberalizmowi jest militarizm, bo tam, gdzie pokój jest zagrożony, tam gdzie przygotowuje się i prowadzi wojnę - tam nie ma miejsca na liberalizm."

Wstręt liberałów do przemocy - do narzucania siłą czegokolwiek i komukolwiek - sprawia, że nie mogą oni upatrywać środka do osiągnięcia celów społecznych, gospodarczych i politycznych w rewolucji. Zbrojny przewrót i towarzyszący mu terror, nawet wówczas, gdy zamachowcy obiecują stworzenie raju wolności po swym zwycięstwie, są dostatecznie odstręczające, by się ich zdecydowanie wyrzec. Unosi się nad tym przekonanie, że cel nie uswięca środków; ale za to środki mogą obrócić wniwec sam cel, że wolność nie może wyrosnąć z procesu, który rozpoczyna się od jej drastycznego ograniczenia. To samo przekonanie każe przeciwstawiać się na płaszczyźnie intelektualnej doktrynom i nastrojom społecznym, które ku rewolucji popychają - hasłu walki klas, nacjonalizmowi i rasizmowi, fanatycznej religijności, wszelkiej nietolerancji... Do swoich ideałów - w tym do p r a w d z i w e g o prawa - liberałowie zdecydowani są dążyć poprzez ciągłe i stopniowe przeobrażanie rzeczywistości. Poprzez ewolucję.

EWOLUCJA A NIE REWOLUCJA

Odrzucenie przez liberałów rewolucji nie wynika tylko z obawy przed krwawym przebiegiem jej pierwszego aktu i nie tylko z niewiary w szczęśliwe narodziny wolności, którą poczęto przemocą. U podstaw liberalnej antyrewolucyjności tkwi zaś trzeźwienie poważniejsze, zwiększające znak zapytania nad samym sednem każdego społecznego przewrotu.

Wiadomo, że obalenia, rozbicia i ostatecznego zniszczenia jednego ustroju nie dokonuje się po to, by pozostawić w jego miejscu próżnię, lecz w celu zbudowania ustroju nowego. Szablon, podług którego zwykły toczyć się wszelkie rewolucje, mieści trzy etapy. Pierwszy - Etap Przyczynkarzy - rozciąga się w czasie długim, leniwym strumieniem i niesie ze sobą najróżniejsze krytyki panujących porządków politycznych, społecznych i gospodarczych. Później nadchodzi Etap Wizjonera; pojawia się myśliciel, który na strumieniu krytyk stawia tamę

i spiętrzywszy je wszystkie wysoko wyławia syntezę - ostateczny sąd o niedoskonałości aktualnego ustroju. Nie poprzestaje na tym. Jako przeciwnieństwo zła, które podsumował i opisał, kreśli wizję bezbłędną - jego zdaniem - organizacji społeczeństwa, ideał zasługujący na to, by stać się celem powszechnych dążeń, raj na Ziemi, który m ó g ł b y zostać stworzony. Teraz potrzebny już tylko Etap Wodza; tego, który uprościwszy odpowiednio wieszczby i wizję poprzednika, wykuwa z nich program polityczny i taktikę walki o władzę, tego, który potrafi zorganizować i pociągnąć za sobą masy, tego, który zdoła im p r z e k o n y w a j ą c o obiecać ziszczenie raju z pism Wizjonera po zwycięstwie rewolucji.

Otóż zarówno działania Wizjonera, jak i działania Wodza dla liberałów są nie do przyjęcia. Po prostu nie wierzą oni w możliwość wykonywania za biurkiem gabinetu lub w ciszy bibliotek idealnego, bezbłędnego, doskonałego ustroju społecznego. "Doskonałości - pisał cytowany już Ferdinand Zweig - na tej ziemi są nieosiągalne." Wypisywanie recept na szczęśliwe społeczeństwo i budowanie modeli najsprawiedliwszego państwa lub najefektywniejszej gospodarki potraktować można co najwyżej jako pożyteczną gimnastykę intelektualną - taką jak, powiedzmy, gra w szachy - ale nie wolno brać tych ćwiczeń zbyt serio, gdy zajmujemy się rzeczywistością. Nie wolno też pozwolić, by wyklął się z nich dogmat. A już nutą zupełnego obłędu musi zabrzmieć dla liberałów pomysł rozwalenia siłą większości istniejących struktur i instytucji społecznych po to tylko, by rzekomemu ideałowi ustrojowemu utworzyć na gruzowisku miejsce do samorealizacji. Nawet jeżeli nowe rozwiązania okażą się w końcu lepsze - ale d o s k o n a ł e nie są nigdy, a nierządki bywają gorsze - od poprzednich to i tak burząco-szturmowy sposób ich zaprowadzenia sprawi, że przez długi czas zyski z całej operacji nie zdołają zrównoważyć wynikłych z niej strat i związanych z nią kosztów.

Wszystko co napisałem powyżej, nie oznacza, że liberałowie są konserwatystami - że stan już osiągnięty przez ludzkność uważają za wzorowy, że boją się zmian, że starają się je powstrzymać albo chociaż opóźnić. Wręcz przeciwnie - już w XIX wieku partie liberalne określano mianem "partii ruchu", już wtedy kojarzono ich program z postępem i wiedziano, że wszelkie nowinkarstwo stwarza najkorzystniejszy dla nich żywioł. Ale liberalnym kluczem do zmian nie jest rewolucja, lecz ewolucja. Nie wybuch rozdziałający okresy martwoty, lecz ruch ciągły, nieprzerwany proces przeobrażeń, wzbogacający się o wciąż nowe ogniwa łańcuch...

Liberałowie opowiadają się za eksperymentem społecznym w małej skali, z którego - jeśli się powiedzie - wyprowadzić będzie można szerzej zakrojone reformy. Optują za posunięciami częściowymi, z których sumy dopiero wyniknie wielka odmiana. Stałą modernizację stanu posiadania społeczeństwa wolą od uszczęśliwiania go wynalazkami nie posiadającymi żadnych korzeni w bezpośredniej przeszłości. Próba za próbą, dyskusja za dyskusją i stopniowe wdrażanie rzeczy już sprawdzonych - to są podstawowe składniki "ruchu" w wydaniu liberalnym. Przynosi on niezliczone nowe rozwiązania, ale ich nie kieruje p r z e c i w i s t n i e j ą c y a n i n i e w y p y c h a z a m i a s t, lecz raczej instaluje o b o k - jako przedłużenie i uzupełnienie. Nie niszczy niczego - to, co się przeżyło i tak musi obumrzeć samo...

Poszukując metafory dla najbardziej zwięzłego ukazania różnicy między liberałem i rewolucjonistą wyobraźmy sobie zastałą rzeczywistość jako dom. Rewolucjonista pragnie wysadzić go w powietrze, by od fundamentów i według z góry ułożonego planu wzniesć budowlę nową. Liberał natomiast zajmuje się doskonaleniem tego, co ma - przesuwa ściany i dobudowuje oficyny, podnosi strop i pogłębia piwnice, zmienia instalacje i odświeża tynki... W wyniku jego działań rośnie jeden z tych wspaniałych gmachów, z których murów można odczytać nawarstwianie się epok, i które, bez przerwy przybierają formy odmłodzone, chronią jednak zarazem wartości tradycyjne, symbolizują trwanie i ciągłość.

Przychodzi pora na nieuchronne pytania: jeśli liberalizm jest ruchem stawiającym tak wiele na kartę ewolucji, jeśli - posługując się sformułowaniem Leonarda Hobhouse'a - "jest ruchem wyzwalającym, usuwającym przeszkody, otwierającym kanały dla strumienia wolnego, spontanicznego, żywotnego działania", to czy w ogóle istnieje możliwość nadania mu wyraźnego, jednoznacznego kierunku? Czy nieustannie przebudowywanemu domowi z mojej metafory dane będzie wreszcie osiągnięcie kształtu skończonego, czy też pisane jest mu żywiołowe rozrastanie się we wszystkie strony i w nieskończoność? Innymi słowy - czy liberałowie posiadają jakiś ostateczny cel?

Odpowiedź nie powinna być zaskoczeniem, bo w gruncie rzeczy przenika cały dotychczasowy wywód: i drogowskazem i celem jest po prostu w o l n o ś ć. Swoboda jednostki w dokonywaniu wyboru i maksymalna obfitość wariantów, między którymi się wybiera.

W swojej książce *Life Chances* Ralf Dahrendorf wskazał doskonały próbiez, przy pomocy którego liberał może sprawdzać, czy społeczeństwo ewoluuje we właściwym kierunku. Wystarczy porównywać co jakiś czas liczbę różnorodnych dróg życiowych, jakie stoją otworem przed szeregowym obywatelem. Wzrost tej liczby sygnalizuje postęp. Jej spadek - regres - regres. Dno to oczywiście sytuacja, w której brak jakiegokolwiek wyboru; gdy istnieje tylko jedna droga, tylko jeden przymusowy wzorzec życiowej kariery. Szczyt natomiast równa się niewyczerpalnemu bogactwu alternatywnych szlaków, bo nie znają granic twórcze możliwości wolnego człowieka. Z kolei najlepszą gwarancją wolności daje we właściwą formę wzięta własność.

WŁASNOŚĆ A NIE ALIENACJA

Alienacja - trawiące miliony poczucie obcości; wobec innych ludzi, wobec miejsc, wobec wytworów własnych rąk - w ogromnej mierze określa neurotyczną osobowość naszych czasów. Obcość uniemożliwia zakorzenienie, odnalezienie własnego miejsca w świecie. Obcość i brak korzeni wykluczają samowiedzę, głębsze przeniknięcie własnych motywacji. A jednostki wyobcowane, zagubione w otaczającej je rzeczywistości i nieświadome siebie są szczególnie podatne na zniewolenie; nie cenią swojej wolności, a nawet odczuwają ją jako ciężar, z radością oddają ją za byle co, namiastkę stabilizacji i wewnętrznego spokoju osiągają nierzadko w stalowych szeregach totalizmu.

Alienacja znajduje najobfitszą pożywkę w stosunkach charakterystycznych dla współczesnej produkcji wielkoprzemysłowej. W przeciwieństwie do niegdysiejszego rękodzielnika, dzisiejszy

robotnik nie jest właścicielem swego warsztatu pracy i nie panuje w pełni nad swoim dziełem. Nader często przypada mu tylko rola dodatku do maszyny lub taśmy; swe czynności wykonuje jak automat, styka się wciąż z tym samym fragmentem wyrobu nie musząc nawet znać wyglądu i zasad funkcjonowania jego całości, w każdej chwili może zostać zwolniony z pracy...

Uczestnictwo w życiu gospodarczym opartą wyłącznie na kruchej umowie o pracę i towarzysząca mu utrata pozycji w i a s c i e l a nie mogą stworzyć materialnego zabezpieczenia wolności, nie mogą jej ochronić ani wzmocnić. Jednostka nie pracująca "na swoim" wydana jest na pastwę alienacji - a ta prostą drogą prowadzi ku niewolnictwu. Niebezpieczeństwo owo jednakże zagraża robotnikom z wielkich korporacji Zachodu i z wielkich kombinatów Wschodu...

Zorganizowanie ekonomicznej działalności społeczeństwa w taki sposób, by sprzyjała wolności - należy do najistotniejszych spośród celów, jakie wytyczają sobie liberałowie. Świadomość przeciwstawnych tendencji wywołanych w tym zakresie przez systemy, których podstawowym elementem jest pracownik najemny, nakazuje dążyć do przekształcenia ich w gospodarke o powszechnym prawie i równie powszechnych możliwościach bycia właścicielem.

Wiele wskazuje na to, że cel ten jest nieosiągalny tak samo w ramach współczesnego kapitalizmu, jak i współczesnego socjalizmu. Nie można go pogodzić ani z rozrastającą się monopolistycznie własnością wielkich koncernów, ani z centralistycznie sterowaną własnością państwową. W obu przypadkach zbyt wiele władzy gospodarczej skupia się w rękach zbyt małej grupy ludzi.

Chociaż ukształtowanie się skrajnych postaci obu systemów - przejście całej ekonomiki wyłącznie na własność monopolii albo wyłącznie na własność państwa - byłoby prawdziwą klęską liberalizmu, nie oznacza to wcale, że owe formy własności w ogóle nie mają racji bytu. Mogą, a nawet muszą istnieć! Ale nie na przeciwnych biegunach, nie w roli je d y n e g o dopuszczanego na każdym z nich rozwiązania, nie jako bezalternatywna konieczność dla tych, którzy się z nimi stykają. Winny one występować obok siebie w ramach każdej gospodarki i kontrolować tylko pewną jej część. Cała zaś reszta niechaj przypadnie tradycyjnej własności prywatnej /w rzemiośle, w małych przedsiębiorstwach i w rolnictwie/, różnorodnym formom własności spółdzielczej i grupowej /w przedsiębiorstwach średniej wielkości/, własności wspólnej udziałowców prywatnych i publicznych, własności samorządów lokalnych.

Liberalna droga do własności dla każdego prowadzi więc przez odrzucenie dominacji monopolistycznej własności w kapitalizmie i państwowej własności w socjalizmie, przez doprowadzenie do koegzystencji obu tych form własności i równoczesne zredukowanie ich zasięgu, a wreszcie przez uzupełnienie ich wielkim i różnorodnym bogactwem innych rodzajów posiadania środków produkcji. E.F. Schumacher nadaje takiemu systemowi miano "gospodarki mieszanej" i stwierdza, że właśnie owa "mieszanka" lepiej niż przypadki czyste /to znaczy dogmatyczne pojmowane kapitalizm i socjalizm/ dostosowana jest do podjęcia wezwań przyszłości. Powracając z tego punktu rozważań do kluczowej dla nich kwestii wolności spać możemy całą oś tak oto kłamrą - pluralizm światopoglądowy, po-

lityczny i kulturowy najlepszą gwarancję znajduje w pluralizmie form własności.

Przedstawiłem podstawowe wartości i zasady liberalizmu, a po prawdzie - trzon europejskiej myśli humanistycznej, fundament ideału moralnego, który od wieków kształtuje naszą psychikę, kanon praw jednostki ludzkiej. Być liberałem to nie tylko wyznawać ów szeroko pojęty humanizm, lecz również czynnie poszerzać strefę jego promieniowania i zabiegać o odciążenie jego piętna w tworzywie rzeczywistości. Niejednolitość współczesnego świata sprawia, że punkty wyjścia do tego dzieła różnią się zasadniczo w poszczególnych jego regionach. Swymi ekstremami wyznaczają kosmiczny dystans dzielący parlamentarną ławę i więzienną celę.

Liberałowie, którym dane jest cieszyć się możliwością posiadania własnej partii popełnią błąd, jeśli zechcą ubiegać się o władzę. Nie ona stanowi ich przeznaczenie. Występując jako siła zorganizowana powołani są raczej - zgodnie ze słowami Guida de Ruggiero - "do pełnienia funkcji kontroli i krytyki, a więc do o p o z y c j i /podkreślenie moje/ w najlepszym tego słowa znaczeniu". Aby wykonać to zadanie nie trzeba wiążomości głosów wyborców ani przewagi w poselskich mandatach. Wystarczą zwolennicy i reprezentanci mocni nie tyle liczbą /prawdziwy liberalizm zawsze był własnością wąskich elit/, co dokonaniem intelektualnymi i postawami moralnymi. Nawet niewielki klub liberałów nadaje się znakomicie na sumienie parlamentu.

Klasyczna demokracja parlamentarna nie zajmuje zresztą w koncepcjach liberałów pozycji docelowego ideału. Podjazdy zaprzęgniętych własnymi interesami partii, walka o fotele w gabinecie i poselskie potyczki toczone wobec zepchniętych na dalekie tło, biernych i często zupełnie zdezorientowanych mas wyborców trudno brać za doskonałość; nawet niewątpliwa wyższość nad totalistyczną dyktaturą nie może ukryć niedostatków parlamentaryzmu. Prawdziwy wzór systemu liberalnego pojawia się dopiero wraz z umożliwieniem pełnego s a m o s t a n o w i e n i a jednostkom i stworzeniem warunków wyzwalających i stymulujących ich inicjatywę. Właśnie dlatego nawet bez partii, miejsc w parlamencie i ministerialnych tek liberałowie znajdują sobie pole do działania: włączają się w organizację i prace samorządów - od uczniowskich po pracownicze, rozwijają ruch spółdzielców i konsumentów, przystępują do klubów dyskusyjnych i stowarzyszeń kulturalnych, udzielają poparcia najróżniejszym inicjatywom a u t e n t y c z n i e oddolnym i przyczynią się do pomnażania bogactwa... Słowem - podążają liberałowie wszędzie tam, gdzie kształtują się i dojrzewają osobowości wolnych obywateli.

Cóż ma jednak uczynić liberał - kochający wolność, szanujący prawo, wyrzekający się użycia siły i wierzący w ewolucję - obudzwszy się pewnego dnia wśród rozszalałych żywiołów nagłej przemocy? Jak tworzyć nowe tkanki społeczeństwa, gdy brutalnie rozrywane są już istniejące? Gdzie przebiega nieprzekraczalna granica ustępstw, którymi płaci się tyranom za szansę przetrwania?

Wielka jest liczba liberałów, przed którymi stawały owe dramatyczne pytania. A drogi wybierane przez nich w odpowiedzi sprowadzały się zazwyczaj do alternatywy: emigracja albo manifestacja.

Emigracja bywa zewnętrzna - do dalekich, szczęśliwszych krajów. Bywa też wewnętrzna - wgiąb siebie i za ochronną maskę milczenia. Trudno uzurpować sobie prawo do sądzenia emigrantów, ale trudno też oddzielić od ich postawy dwuznaczne piętno ucieczki, porzucenia placówki, poprzestania na rozwiązaniu łatwiejszym.

Manifestacja liberała to nie skandujący wiec, nie pochód, nie strajk nawet... Nie robi on g e s t ó w, które z założenia są g e s t a m i. Manifestować na sposób liberalny znaczy - bez względu na warunki stwarzane przez tych, którzy trzymają władzę - po prostu pozostać sobą. Korzystać z niezbywalnych praw człowieka nie oglądając się na niczyje przyzwolenie. Ocalić godność.

Taka postawa, zważywszy programową bezbronność liberała, uchodzić może za donkiszoterię. Tyranowi, a tym bardziej troglodytom zatrudnionym przezeń na etatach siepaczy wyda się wręcz komiczna; przecież jednym uderzeniem pałki czy zatrzaśnięciem kajdanek - bez żadnego ryzyka ze swojej strony - mogą skończyć z tym niepokornym.

A jednak manifestacja liberała kryje głęboki sens. Jej istota to przecież przykład osobisty - ostatnia forma głoseńia i nauczania wyznawanych wartości. To też się liczy. Bo każdy liberał, nim ostatecznie zamkną się za nim drzwi celi, spełnić musi jeden ze swych podstawowych obowiązków - wychować dla świata innego liberała.

DARIUSZ FILAR

NAMIASTKA SENSU

Rozmowa z Maciejem Płażyńskim

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Na początku był Sierpień...

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Uczestniczyłem w nim raczej jako obserwator. Od września natomiast zaangażowałem się w tworzenie Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Z perspektywy lat można tę organizację różnie oceniać, ale jest faktem, że pomogła ona nam, młodym ludziom zdobyć doświadczenie, bardzo potrzebne w działalności publicznej. Dla wielu był to pierwszy etap późniejszej działalności społecznej czy politycznej.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Obserwując cię wówczas, gdy zostałeś przewodniczącym NZS na Uniwersytecie Gdańskim, odnosiłem wrażenie, że zachowujesz przez cały czas pewien dystans wobec aktualnych wydarzeń, dążysz do ich racjonalizacji. To była taktyka czy cecha charakteru?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: I tak i tak. Byłem na przykład dziwnym szefem strajku, bo jako jedyny - wbrew całej sali - głosowałem za jego przerwaniem. Chodzi o ten strajk solidarnościowy w związku z osobą Hebdy, mianowanego wbrew woli środowiska akademickiego rektorem WSI w Radomiu.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Dlaczego tak głosowałeś?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Przeciąganie tego akurat strajku było bez sensu. Spełnił on już po dwóch, trzech tygodniach funkcję integracyjną wobec środowiska, a w związku z zaostrzeniem się sytuacji politycznej należało go przerwać. Naciskał na to MKZ, a ja miałem świadomość, że ten strajk nie ma wielkiego samodzielnego znaczenia, gdyż jest elementem znacznie większych, poważniejszych gier.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Nastąpił 13 grudnia. Czy była to dla ciebie data przełomowa?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Stan wojenny, rzecz jasna, wymuszał zmianę form działania, ale nie wpłynął na moją postawę życiową. Zostałem na terenie uczelni, wielu studentów poszło do Stoczni. Zaczęło się kombinowanie, co robić dalej. Wszystko to było bar-

MACIEJ PŁAŻYŃSKI - ur. 1958, prawnik, 1980-81 przewodniczący NZS na Uniwersytecie Gdańskim, prezes Spółdzielni Pracy Usług Wysokościowych "Gdańsk", jeden z czołowych działaczy "nowej przedsiębiorczości" w Trójmieście.

dzo chaotyczne.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Były jakieś represje policyjne?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Uczelni nikt nie najechał. Ucierpieli ci, których złapano w Stoczni po ataku. Na Uniwersytecie po dwóch dniach wszyscy się właściwie sami rozeszli.

Wtedy trudno było mieć jasne rozeznanie nawet własnej sytuacji, ale odnosiłem wrażenie, że to policja według swoich planów jednych zmusza do ukrywania się, innym daje spokój. W moim przypadku już po miesiącu można było się zorientować, że dalsze ukrywanie się, schodzenie do podziemia, nie ma sensu. Tam znalazło się już wielu działaczy, czołówka "Solidarności" i oni zostali postawieni w takiej sytuacji, że praktycznie nie mieli innego wyjścia. Ze mną było inaczej, miałem wybór. Nie widziałem siebie w roli podziemnego przywódcy uczelnianego NZS-u, skoro okoliczności nie zmusiły mnie do ukrywania się. Już wtedy było do przewidzenia, że podziemie wszystkiego nie załatwi, że tego nowego układu sił nie da się znieść w sposób radykalny, za pomocą strajku generalnego czy czegoś w tym rodzaju. Nie podważałem celowości takich działań jak strajki czy manifestacje, ale nie wierzyłem, żeby można było w ten sposób coś generalnie zmienić. Przecież jeżeli zdecydowano się na wyłączenie czołgów, to nie po to, żeby w nich się cofać.

Z drugiej strony uważałem, że jako wybrany przewodniczący NZS UG jestem moralnie zobowiązany do rozmaitych działań będących polityczną czy społeczną kontynuacją istnienia tej organizacji. I taka aktywność, głównie wydawnicza, świadcząca, że się nie uległo sile, miała wtedy miejsce. To była sprawa pewnej konsekwencji i jak powiedziałem, zobowiązania wobec wcześniejszych wyborów. Jeśli ktoś działał przedtem, to nie mógł po 13 grudnia powiedzieć: "to nie ma sensu, dziękuję, zabieram się za działalność gospodarczą, bo tylko ta jest teraz możliwa". Chodziło głównie o teren uczelni, o dawanie zewnętrznego wyrazu, że się nowego stanu rzeczy nie akceptuje - choćby w formie plakatów czy ulotek.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Dla wielu z nas były to zobowiązania typowe. Nową jakością była natomiast myśl o założeniu przedsiębiorstwa - przedsiębiorstwa bardzo specyficznego, zważywszy choćby na skład jego pracowników. Kiedy się na to zdecydowałeś i jakie były motywacje tej decyzji?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: To się wiązało z moją oceną pierwszych miesięcy stanu wojennego. Nie budowałem sobie wizji siebie jako działacza podziemnego, czy też "naziemnego", ale pracującego w konspiracji; działacza mającego kontakty z wszystkimi uczelniami w Polsce itd. Nie było więc tak, że mi się jakaś wizja na przykład z powodów organizacyjnych rozpadła. Nie. Działiałem, lecz stopniowo, w miarę upływu czasu zacząłem się z tego wycofywać z czystym sumieniem, bo jak już mówiłem, nie wierzyłem w skuteczność takiego działania. Poza tym rok 82 był ostatnim rokiem moich studiów, więc uczelnia stawała się coraz dalsza i trzeba się było rozejrzeć za jakąś pracą.

W tym czasie pojawił się problem mnóstwa ludzi wyrzuconych z pracy, pozbawionych zarobków. Wielu młodych z kolei nie widziało dla siebie miejsca w przedsiębiorstwach państwowych. Tak więc w wyniku tego splotu okoliczności powstał pomysł założenia własnej spółdzielni. Było w tym dążenie do samodzielności

ci ekonomicznej połączone jednak z pewną wizją społeczną - chodziło o stworzenie możliwości pracy dla ludzi niepokodzonych z aktualnym kształtem systemu.

Zaczęliśmy od pracy na zlecenie w innych firmach. Pierwsze dwa zlecenia zrobiliśmy przez "Techno-Service", następne przez spółdzielnię "Absolwent". To były nasze przymiarki do prac wysokościowych. W 82 roku nastąpiła zmiana ustawy o spółdzielczości i to zdecydowało, że postanowiliśmy się usamodzielnic.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Wynika z tego, że były trzy motywacje: finansowa wynikająca z konieczności zarobienia przyzwoitych pieniędzy; ideowa, polegająca na chęci niezależnienia się od państwowego pracodawcy i społeczna, wynikająca z chęci pomocy ludziom, którzy z powodu swej postawy nie mogą znaleźć dla siebie godnego zatrudnienia. Ilu was było na początku?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Siedmiu, ośmiu. Przepisy wymagały dziesięciu. Później, w miarę upływu czasu przybywało osób pracujących na zlecenia. Nie mieliśmy jakiejś sprecyzowanej wizji firmy, jej składu personalnego. To było w 83 roku niemożliwe, bo nie było danych po tcmu, żeby coś w daleką przyszłość projektować. Nie mieliśmy też żadnego doświadczenia. Faceci z "Alpinexu" twierdzili na przykład, że wszystko już w zakresie prac na wysokości ci obstawili, że nie zdołamy być konkurencją dla nich.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: A skąd pomysły na prace wysokościowe?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Pieniądze. Sądziiliśmy, że to da większe pieniądze. Tak wynikało z naszego rozeznania rynku. Ostatecznie, po trzech miesiącach narad, zarejestrowaliśmy Spółdzielnię Pracy Usług Wysokościowych "Świetlik" w lipcu 1983 roku. Do końca tego roku ograniczyliśmy się właściwie tylko do mycia szyb. Doświadczenie przychodziło z czasem. Pomalowaliśmy jakiś dźwig w stoczni "Nauta" za, można powiedzieć, bezcen, ale w ten sposób uczyliśmy się kalkulować, kosztorysować. Rozeznawaliśmy rynek. Zaczęły spływać pierwsze pieniądze i jak to w życiu bywa, zaczęły też narastać pierwsze konflikty.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Czy nie było obaw, że ta spółdzielnia z racji osób, które ją tworzą, będzie dla władz nie do strawienia?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Oczywiście, że były. Wielokrotnie podczas spotkań towarzyskich mówiło się, że to się nie uda. Do tego czasu przecież przez blisko trzydzieści lat nie było w Polsce takich możliwości, że zbiera się dziesięciu młodych facetów, po części "trefnych" politycznie, i zakłada firmę, w dodatku "jednostkę gospodarki uspołecznionej". To był przełom w świadomości urzędniczej. Pamiętam przecież, że ja sam w szkole średniej nie rozróżniałem spółdzielni od przedsiębiorstwa państwowego. Obiegowy podział na spółdzielnie "państwowe" i "rzemieślnicze" oddaje ten systemowy zamęt.

Wśród nas było kilku prawników, wiedzieliśmy, co to jest spółdzielnia od strony prawnej, ale zadawaliśmy też sobie sprawę, jakie są bariery. Tak że optymizmu było mało.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Czuliście się samotni, czy też już wówczas widoczna była ta fala przedsiębiorczości, która, szczególnie wśród ludzi naszego pokolenia i może także szczególnie w Gdańsku, da-

ła o sobie znac ożywiając rzeczywistość społeczną kraju?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Tego trendu wtedy nie było widać. Nowe przepisy o spółdzielniach miały dopiero pół roku. W naszej branży pierwszy był "Alpinex", który powstał jeszcze w 1982 roku, ale on istniał przez dłuższy czas na zasadzie precedensu. Kiedy my się rejestrowaliśmy, urzędnicze ścieżki były już jakby przetar- te, bo przed nami 20 czy 30 nowych spółdzielni zgłosiło się do WZSP. Trzy miesiące przed nami powstał "Absolwent", założony także przez ludzi ze środowiska akademickiego i ten fakt nas zmobilizował. Była więc już taka leciutka fala, ale nieporówny- walna do tej, jaka powstała rok, dwa lata później. Ważne było, że wśród młodych ludzi upowszechnia się świadomość ekonomiczna, że naturalne staje się myślenie w kategoriach własnej firmy.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: W roku 1985 można już było mówić o boomie niezależnej przedsiębiorczości w Trójmieście. I trudno oprzeć się wrażeniu, że również w tej dziedzinie Gdańsk wyróżnił się aktywnością w stosunku do reszty kraju. Jak sądzisz, z czego to wynika?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Wydaje mi się, że bierze się to ze swoistej ruchliwości mieszkańców. Można dyskutować, czy poszczególne miasta mają własny charakter, ale bez wątpienia specyfika miast- ta portowego wpływa na większą jego otwartość. Swobodniejszy niż gdzie indziej kontakt ze światem, kontakty z zagranicą, no i liczni młodzi ludzie zniechęceni do państwowego monopolu pra- cy, myślący samodzielnie i kontaktujący się ze sobą w poszuki- waniu własnych pomysłów na życie - to są chyba główne przyczyn- ny. Nie ma badań socjologicznych, ale można sądzić, że te wszyst- kie nowe firmy tworzyli ludzie młodzi. Najpierw to były spół- dzielnie, potem spółki.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Szczecin też jest miastem portowym, ale dużo mniej z tego wynika. Myślę, że takie z pozoru programowo różne od siebie zjawiska jak "Solidarność" i jej późniejsze podziemne kontynuacje i uliczne manifestacje, a z drugiej strony ta właś- nie fala przedsiębiorczości, mają pewien wspólny mianownik, wspólny korzeń. I co jeszcze ciekawsze: postępowanie tutejszej władzy, która nie hamuje tak, jak to ma miejsce w innych regio- nach kraju, rozwoju tych spółdzielni i spółek. Czy uważasz, że jest dorzeczne widzenie tych spraw we wzajemnym powiązaniu? Czy można się tu dopatrzeć swoistych kontynuacji działania?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Tak, to się ze sobą wiąże i wiąże się z tym także, większy może niż gdzie indziej, wymuszony niejako przez układ, racjonalizm władzy.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Czy zgodziłbyś się z tezą, że społeczne par- cie do działania gospodarczego występuje w całej Polsce, ale jest ono blokowane, gdyż nie ma tam takiego zagrożenia politycz- nego jak tutaj? Że w Gdańsku bezpieczniej, rozsądniej z punktu widzenia władzy jest pozwolić, żeby ta nagromadzona ludzka e- nergia mogła znaleźć dla siebie ujście poprzez gospodarczy wen- tyl?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Wydaje mi się, że to jest właśnie tak. Ale sprawa jest dłuższa, sięga jeszcze do lat 70-tych, kiedy to na przykład policyjne represje wobec opozycji były tutaj łagodniej- sze niż na Śląsku czy gdzie indziej. Tu była luźniejsza atmos- fera. Nie wiadomo dokładnie, z czego to się bierze, ale sądzę,

że jest to właśnie wynik tego otwartego charakteru miasta. Władza nie funkcjonuje w zupełnej izolacji i przynajmniej u swojej podstawy ma kontakt ze społeczną rzeczywistością. Cały układ jest mniej zideologizowany. Działa sprzężenie zwrotne. I nawet gdy trafi się na górze jakiś twardogłowy facet, nie jest w stanie skasować wszystkiego metodą administracyjną lub policyjną - tym bardziej, że ci wszyscy urzędnicy czy policjanci też chcą dobrze żyć, mają swoje powiązania, interesy, kontakty z Zachodem.

W ciągu "szesnastu miesięcy" "Solidarność" też miała w Gdańsku lepsze warunki działania. Z pewnością był to wynik funkcjonowania tutaj Komisji Krajowej, ale też i postawy Fiszbacha, wojewody Kołodziejskiego czy prezydenta Miynarczyka. Tu był taki klimat, który wymuszał mniej represyjny charakter ich działań.

Ten sam klimat sprzyjał także rozwojowi spółdzielni i spółek, o których rozmawiamy. W innych województwach kasuje się je w prosty sposób. Dzisiaj na przykład dowiedziałem się, że wojewoda w Koszalinie decyduje, ilu ludzi wolno ci zatrudnić.

Dlaczego w Gdańsku jest inaczej? Myślę, że należałoby na to patrzeć tak, że to samo miasto, jego mieszkańcy tworzą swoistą atmosferę, która z kolei zmusza władze do pewnego podporządkowania się. I nie zaczęło się to 13 grudnia, tylko dużo wcześniej. To jest wynik długoletniego procesu, o wielu aspektach. Trzeba by tu mówić o polityce, kulturze, gospodarce. Dla większości z nas specyfika tego miejsca i różne skojarzenia wiążące się z nazwą Gdańsk mają duże znaczenie. Nie przypadkowo ponad rok temu nastąpiła zmiana nazwy spółdzielni ze "Świetlika" na "Gdańsk" właśnie. Co prawda bezpośrednim powodem zmiany była prośba naszego biura projektowego, któremu dotychczasowa nazwa nie odpowiadała ze względów reklamowo-akwizycyjnych, ale były też głębsze motywacje. Chyba w nas wszystkich zakodowana jest trochę historia tego miasta i regionu, z jego tradycją hanzeatycką, tradycją kupieckiego wolnego miasta, samorządowego i ceniącego sobie swą niezależność od sąsiadów. Gdańsk stanowił przez wieki pewną odrębność, a zarazem propozycję dla innych ziem Rzeczypospolitej, niezwykle dla Polaków istotną. Jest to też miejsce o charakterze kresowym, a więc bardziej otwarte, uczące współpracy i tolerancji. Tutaj właśnie udało się zachować pewną etniczno-kulturową tożsamość i autonomię - myślę o Kaszubach, tu w końcu miał miejsce Grudzień i tu rodziła się "Solidarność". Sądzę, że nowa specyfika Gdańska, której elementem jesteśmy, jakoś się w tę tradycję wpisuje.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Tak, i w efekcie zrodził się swoście gdański rodzaj lokalnego patriotyzmu, poczucie zbiorowej tożsamości. Warto jednak powiedzieć, że kiedy rozmawiamy o awangardowym charakterze Trójmiasta, nie możemy dokonywać pochopnych ułożeń różnych dziedzin życia społecznego, i ludzi, którzy są w nich aktywni. Nie mamy tu też do czynienia z prostą kontynuacją - od "Solidarności" do aktywności gospodarczej. Te siły nawzajem się wspierają, dopełniają, ale nie są w pełni tożsame. Bez ryzyka błędu można natomiast powiedzieć, że wspólna dla całego układu jest wysoka aktywność tutejszego społeczeństwa, szczególnie jego młodej warstwy.

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Mówiąc o naszych wyborach ideowych nie można przesadzać. Jak już mówiłem, gdy rodził się ten pomysł na spółdzielnię nie snuliśmy wielkich wizji ideowych. Przecież żeby

mieć takie plany ideowe, trzeba wiedzieć jak to się potoczy. A my w 83 roku mieliśmy zbyt mało danych, żeby móc przewidywać. Musiało upłynąć trochę czasu, musieliśmy okrzepnąć, nabrać zawodowego doświadczenia.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Zaczynaliście skromnie. Parenasście osób, proste prace, niewielki lokal. A dziś, po pięciu latach: prawie tysiąc pracowników zleceńiowych, wespół z waszą spółką ponad półmiliardowy przerób, samochody służbowe, duża siedziba, magazyny, biuro projektowe, prace podwodne, próby eksportu. Kierowanie takim organizmem gospodarczym dzisiaj stwarza nowe, wynikające z logiki rozwoju problemy. Ciekawi mnie, jak owa specyficzna polityka kadrowa firmy da się realizować w tych warunkach, jak się ona ma do funkcjonowania przedsiębiorstwa. Są tu przecież ludzie wywodzący się z najrozmaitszych, czasem silnie zantagonizowanych nurtów politycznych czy światopoglądowych. Czy to przeszkadza w codziennej działalności firmy?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Zaczniemy od końca. Spójrzmy na stan dzisiejszy i potem cofnijmy się do początku, pytając: "jak tu doszliśmy"? Podstawowe założenie było zawsze takie samo i polegało na rezygnacji z tworzenia firmy z wyjątkowym nastawieniem na osiągnięcie zysku. W związku z tym dobór pracowników następował nie tylko przez pryzmat fachowości, ale kierowaliśmy się również względami etyczno-politycznymi czy światopoglądowymi. I to sprawiło, że nasza spółdzielnia różni się w sposób zdecydowany od wszystkich innych znanych mi firm tego typu.

Był to układ niejako od samego początku utrudniający pracę kierownictwu. Praca jest po to, żeby przynieść pieniądze, ale nie może zabierać człowiekowi całego jego czasu, bo ci ludzie mają jeszcze inne aspiracje i właśnie firma ma im dopomóc w ich realizacji. Jeżeli pracuje tutaj kilku regularzy, to po to, żeby za zarobione pieniądze mogli sobie popłynąć w jakiś długi rejs. I trzeba znaleźć kompromis, nie można im tego utrudniać innymi planami, tylko właśnie odwrotnie - trzeba im to umożliwić.

Właściwie nigdy do nikogo nie zwróciliśmy się z propozycją pracy. Ludzie przychodzili sami, kierując się właśnie tymi informacjami, które się jakoś towarzysko rozchodziły. Po roku w ten sposób tworzy się - środowisko to może za dużo powiedziane, ale grono wielu osób wywodzących się z różnych środowisk. I nie jest to firma dająca się zdefiniować jednoznacznie politycznie, bo ani "młodopolska", ani liberalna, ani związkowo-robotnicza, tylko różna po prostu. Nie ma mowy o przewadze jakiegoś ugrupowania. Tu wszyscy są.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Przekrój ideowy jest tutaj rzeczywiście imponujący. Spotkać tu można nawet mistyków i poetów, nie mówiąc o wegetarianach czy anarchistach.

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Niewielka grupa normalnych ludzi też jest...

ANDRZEJ ZARĘBSKI: I prawie zawsze ktoś z firmy "siedzi za politykę". Jest fenomenem, że owa różnorodność nie rozsada firmy, nie czyni jej dysfunkcjonalną. Prawdziwa szkoła pluralizmu. Czasy się jednak zmieniają i dzisiaj, że tak powiem, inna jest potencjalna klientela firmy niż cztery, pięć lat temu.

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Zgoda. Kiedy na początku zatrudniliśmy kilka

osób o znanych opozycyjnych nazwiskach - Mariusza Wilka, Mirka Rybickiego - i okazało się, że to nie blokuje działalności firmy, uznaliśmy ten typ działania za słuszny. Wtedy jeszcze dużo osób szukało pracy, a to się w naszym przypadku zbiegało z widocznymi możliwościami gospodarczego rozwoju, coraz większą ilością zleceń i powiększającą się zdolnością płatniczą. Łączylśmy to z chęcią pokazania dobrej działalności gospodarczej organizowanej przez ludzi z opozycji. że nie tylko bojkot i protest, że możemy działać bardzo konstruktywnie, sprawnie.

Po drugie chodziło też o to, żeby to grono osób znalazło okazję do zapoznania się z polską rzeczywistością gospodarczą niejako od wewnątrz. To jest cenne doświadczenie, które wielu zmusiło do korekty sposobu patrzenia na całą rzeczywistość lat 80-tych.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Na tle problemu w jakim kierunku ma pójść rozwój Spółdzielni, dochodziło jak wiem nieraz do konfliktów. To zresztą normalne.

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Zawsze uważałem, że im firma będzie większa i poważniejsza, a przy tym jej obraz ideowy będzie jednoznacznie czytelny, tym większe są szanse przetrwania. Tworzysz przedsiębiorstwo zdrowe ekonomicznie, dające możliwość wysokich, jak na nasze polskie warunki zarobków, działasz samodzielnie, nie bierzesz żadnych kredytów z banku, nic od państwa nie chcesz, oprócz jednego: proszę nam nie przeszkadzać, my w zamian swoją pracą "wniesiemy wkład w ratowanie polskiej gospodarki".

Od początku nie ukrywaliśmy charakteru firmy, nie udawaliśmy, że nie wiemy, kim jest ten czy inny nasz pracownik. I myślę, że dla władzy też to było w jakiś sposób wygodne mieć nas wszystkich zgrupowanych w jednym miejscu - w firmie a nie na ulicy. Ci ludzie ciężko pracują, zarabiają przyzwoite pieniądze i są może zmęczeni, ale mniej sfrustrowani i nie należą już do tych, którzy nie mają nic do stracenia. Osiągają pewną stabilizację, zakorzeniają się, tworzy się wspólnota, silna więź społeczna oparta nie tylko o wspólny interes ekonomiczny. A firma zapewnia im ten ważny komfort, że mogą w niej czuć się zupełnie swobodnie, nikt ich tu nie szykanuje - to jest ich firma.

A sprawa aresztowanych? To jest dobry argument na to, że pieniądze to nie wszystko, że wielu ludziom nie zdołały one przesłonić świata.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Jak wiem, staracie się też pomagać innym, gdy uznacie, że ich działanie ma sens. Opiekujecie się - i to poważnie - domem dziecka w Gdańsku-Orunii, wspomogliście finansowo "Pomeranie" i jedną z sesji Gdańskiego Towarzystwa Naukowego poświęconą pamiętnikom i wspomnieniom uczestników sierpniowych strajków, wspomogliście uczestników - członków spółdzielni w ich wyprawie w Andy. Będzie się tego typu akcje kontynuować. Daje się też zauważyć daleko posunięta integracja waszych spółdzielców, nie tylko w pracy - większość z nich uczestniczy w organizowanych obozach wspinaczkowych i narciarskich, organizujecie wewnętrzne turnieje sportowe, opłatki, choinki dla dzieci i to wszystko - jak na razie - idzie jakos spontanicznie. Z moich doświadczeń wynika, że Spółdzielnia stanowi wartość, która potrafi w istotny sposób wpłynąć na podejś-

cie ludzi do życia. Mając dużą siłę przyciągania sprawia, że pracownicy szybko uczą się identyfikować z jej interesem, który jest, jak już mówiłem, ponadgrupowy, ponadpartykularny. I ci ludzie, którzy na początku przychodzili tylko po to, żeby zarobić pieniądze, natomiast ich zainteresowania i aktywność szły w zupełnie inną stronę, po pewnym czasie przestawiają się i nakierowują "dośrodkowo". Zapewne jest to także wynik przemian jakie zachodzą w Polsce i związanej z nimi konieczności przeformułowania sposobów istnienia opozycji.

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Tu się nawarstwiają dwie rzeczy. Z jednej strony rozwój firmy, zwiększające się w jej obrębie pole manewru gospodarczego, rozszerzenie możliwości różnych inicjatyw, niekoniecznie związanych z remontami na wysokości, a z drugiej strony zmienia się rzeczywistość, inaczej wygląda dzisiejsze podziemie czy w ogóle opozycja. Pewne formy organizacyjne się wyczerpują, na to nakładają się jakieś spory personalne. Po prostu mija czas, zmienia się rzeczywistość, oczekiwania społeczne. Z tym idzie w parze kolejna rzecz: w ludziach tkwi potrzeba realizacji czegoś konstruktywnego, wartości pozytywnych. I u nas mają po temu okazję.

Przez te wszystkie lata wykształcił się w firmie klimat wzajemnej tolerancji. Nie spotkałem się np. nigdy z napaściami jednych na drugich pomimo istnienia nieraz znacznej różnicy zdań. Bywa jednak i tak, że poważne, z pozoru różnice ideowe obejrzane na autonomicznym gruncie naszej firmy, ujawniają często swoją iluzoryczność.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Wróćmy może jeszcze do problemów związanych z rozwojem Spółdzielni. Zeszłoroczną nowością było powołanie spółki, w której "Gdańsk" ma 60 procent udziałów. Wiem, że planowane są nowe spółki o różnych zakresach działalności, czy mógłbyś powiedzieć, jak będzie wyglądał docelowo ten cały układ?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Jeśli mówimy o swoistości, inności naszej firmy, to powinniśmy ją oceniać przede wszystkim od strony społecznej, bo w gruncie rzeczy na to idzie więcej organizacyjnego wysiłku, niż na działalność czysto ekonomiczną. To szczególnie widać u nas teraz, na tle sytuacji, że powstaje w tym mieście trzysta rozmaitych spółek rocznie. Nam od początku nie chodziło wyłącznie o zorganizowanie superdochodowego przedsiębiorstwa, nie sśliśmy w stronę maksymalizacji zysku itd. To nie było nigdy najważniejsze. Przeciwnie. Był czas, gdy dla niektórych pracowników pełniliśmy rolę takiego układu "stypendialnego", godząc się na ich mniejszą wydajność pracy. To się zmienia, firma poważnieje i poważniejszą ludzie w niej funkcjonujący. Logika więc nakazuje odejście od takiego wybitnie tolerancyjnego układu na rzecz większej obowiązkowości wszystkich. Tym bardziej, że minęły już raczej czasy politycznego bezrobocia i masowych prześladowań.

Ludzie są coraz starsi i chcąc ich dalej wiązać z firmą, nie można dopuścić do zastopowania jej rozwoju. Nie można się zatrzymać wyłącznie na malowaniu dźwigów i kominów. Firma, sama się rozwijając, musi jednocześnie umożliwić rozwój swoim pracownikom. Weźmy naszą spółkę. Przecież można było wziąć składziną dwóch, trzech facetów-fachowców i robić to zupełnie inaczej, być może w mniej kłopotliwy dla Spółdzielni sposób. Chodzi jednak o coś innego - o możliwość realizacji rozmaitych ambicji osób czy środowisk, które się z nami związały. Jest to

swoisty układ promocyjny, który powinien umożliwić różnym ludziom zapoznanie się z mechanizmami funkcjonowania gospodarki, uczyć ich zarządzania, oswajając z ekonomiczną praktyką. Im te ambicje są większe, poważniejsze, tym cały układ powinien być większy i poważniejszy. I takie możliwości, z racji rozwoju finansowego, są. Jeśli teraz powstanie kolejna spółka, nad założeniem której w tej chwili pracujemy, to mamy perspektywę przerobienia w roku 88 miliarda złotych. Mając taki przerób można się pokusić o tworzenie jeszcze czegoś, co już będzie samo w sobie mniej wydajne finansowo, ale co, korzystając z pomocy firm już istniejących, może być nastawione na szeroko rozumianą promocję ludzi, ich ambicji i idei.

Pamiętajmy też o tym, że działa już konkurencja. Jeśli ktoś jest dobrym pracownikiem, ambitnym, chcącym się rozwijać, a my mu tego rozwoju nie umożliwimy, zmuszając do wykonywania ciągłe tych samych robót malarskich, to on prędzej czy później przeniesie się gdzie indziej, albo utworzy własną firmę.

Chodzi więc o układ promocyjny, preferujący nowe pomysły i aktywność ekonomiczną. Inna sprawa jak się do tego odniosą związani z nami ludzie, czy będą chcieli skorzystać z szansy, czy wolą pozostać tam, gdzie są. Każdy ma wolny wybór. Nie jest zadaniem firmy podsuać chłopakowi pod nos pomysły: masz zrobić tak i tak. Rola firmy leży w stworzeniu dla wszystkich możliwości jak najpełniejszej realizacji siebie.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Jak wiem, nie jesteś entuzjastą samorządności w gospodarce. Czy w kierowaniu firmą przywołujesz tę ideę, czy też bliższe ci są wzorce, powiedzmy, typowo kapitalistyczne?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Bardziej skuteczny i sprawiedliwy jest model zachodni. Jeśli zaś bawić się w samorządność, to właśnie raczej myślałbym tu o akcjonariacie ludowym na przykład. To jest lepsze od formy spółdzielni, gdzie każdy bez względu na swój wkład pracy, ma tak samo ważny głos. To nie jest zbyt sprawiedliwe. Powinno być tak, że ten kto więcej z siebie daje, więcej wkłada, ma też więcej do powiedzenia.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Trochę autokratyzmu, nieco elitarności w zamian za samorządność i egalitaryzm, tak?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Przedstawicielem właściciela jest rada nadzorcza. Powinna mieć jasno określony zakres kompetencji, a wśród nich możliwość powoływania i zwalniania członków zarządu przedsiębiorstwa - wszystko jedno, spółki czy spółdzielni.

Pracownik powinien być jednak związany z firmą również poprzez prawo własności dające mu poczucie współkształtowania strategii gospodarczej. Model czysto autokratyczny, gdzie mówi się człowiekowi, że nie ma nic do powiedzenia, jest w gruncie rzeczy dysfunkcyjny, traci na tym wydajność pracy. On tylko pozornie wydaje się wygodny dla dyrekcji. Dawny więc kapitalizm, z charakterystycznym dla niego przedmiotowym traktowaniem pracownika, nie jest modelem optymalnym. A to jest w tej chwili dość modny w Polsce sposób myślenia, gdy mówi się o przemianach w gospodarce.

Tymczasem na Zachodzie partycypacja pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwem jest coraz bardziej rozszerzana. I to nie ze względu na samorządowych a ekonomicznych właśnie. To się oka-

zuje bardziej funkcjonalne i wydajniejsze.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: A chciałbyś istnienia w swojej firmie związków zawodowych?

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Nie chciałbym. Nie ma potrzeby. W spółdzielni jest rada nadzorcza.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Wróćmy jeszcze do spraw ogólniejszych. Myślę, że duże znaczenie dla rozwoju tego układu, o którym mówimy, ma towarzysząca wam od początku świadomość własnych oczekiwań idąca w parze z refleksją bardziej całościową, dotyczącą kształtowania się rzeczywistości społecznej, politycznej i ekonomicznej w Polsce. To jest dobry punkt obserwacyjny. I właściwe miejsce, żeby skonfrontować własne życzenia z praktycznymi możliwościami ich realizacji.

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Wydaje mi się, że aby firma nadal zachowała swoją specyficzną indywidualność, musi dbać o to, by nie straciła kontaktu z szeroko pojętymi środowiskami niezależnymi. Specyfiką dotychczasowych działań niezależnych była prawie zupełna ignorancja w sprawach gospodarczych. Racją więc istnienia takiej firmy, jak nasza jest możliwość przybliżenia pewnemu choćby gronu osób tych spraw. Nawet ktoś pracujący jako robotnik w takiej firmie, jak ta, uzyskuje bardziej prawidłowe spojrzenie na działalność przedsiębiorstwa. Zupełnie inaczej się patrzy, gdy jest się gospodarzem czegoś, a zupełnie inaczej, gdy jest się pracownikiem czysto najemnym.

Zmiana nastawienia do spraw gospodarczych zarówno jeśli chodzi o inteligencją opozycję, jak i robotników, jest rzeczą bardzo istotną. Czytając aktualną bibułę robotniczą można często dojść do fatalnych wniosków. Tam potrzeba naprawdę dużej edukacji. Przemiany w mentalności, nawet jeśli to się będzie odbywać wyłącznie w skali lokalnej, trójmiejskiej, mają wielkie znaczenie. Żeby przestali krzyczeć, że dyrektor wziął 300 czy 500 tysięcy jakiejś premii, tylko żeby krzyczeli, że dyrektor jest zły. Nawet nie to, że "czerwony", tylko, że zły. To jest przecież normalne, że dyrektor z racji odpowiedzialności, zarabia najwięcej; majster zarabia mniej, robotnik jeszcze mniej itd. To jest układ normalny, a u nas stoi na głowie, bo tak to ustawili komuniści. Zmiana tych bałamutnych nastawień jest też naszym zadaniem. To jest praca na długi dystans, ale nie warto z niej rezygnować. Obserwując zaś nowych ludzi, którzy do nas trafiają, widzę, że daje efekty. To firma jako całość bardziej wpływa na nich, niż oni na firmę. Po prostu ich pojedyncze sposoby patrzenia na rzeczywistość i indywidualne kąty widzenia łączą się we wspólnej perspektywie.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Zbliżyłam się powoli do końca. Wynoszę z tej rozmowy dobre wrażenie, gdyż rozmawialiśmy przede wszystkim w duchu pozytywności. Cieszę się, że udało nam się uniknąć lamentacji i narzekań, choć przecież powodów znalazłoby się mnóstwo. Osobiście myślę o tej firmie jako o bardzo ważnej próbie przywrócenia sensu tej tak przecież ważnej sferze aktywności człowieka, jaką jest praca. Mam też poczucie, że równolegle kształtuje się w niej coś niezwykle istotnego, a mianowicie publiczny wymiar tak dziś w Polsce stłamszonego życia społecznego. Ta sfera publiczna ustanawiana poprzez partnerstwo osób i środowisk jest rzeczywiście wielkim naszym wspólnym dobrem.

MACIEJ PŁAŻYŃSKI: Ze świadomością, że nie jest to jedyny ani gwarantowany sposób na zbawienie Polski, wyleczenie jej ze wszystkich chorób w ciągu roku czy dwóch. Myślę jednak, że nie traci się tu energii na próżno, to nie jest działanie bezsensowne, tylko, biorąc rzecz najbardziej minimalistycznie, dobry i chyba skuteczny sposób obrony. Jakaś tam namiastka sensu.

ANDRZEJ ZARĘBSKI: Dziękuję bardzo za rozmowę.

Gdańsk, styczeń 1988

SKORUMPOWANI?

W studenckim piśmie "Impuls" /nr 7/87/ pojawił się bardzo zdecydowany w tonie artykuł podpisany przez "Spółdzielcę". Autor niczym Savonarola gromi młodych działaczy gospodarczych - postrzega ich niemal jako hieny terujące na patologiach systemu, związane z nim interesem i optujące w kierunku władzy. "Spółdzielca" wymienia następujące zyski władzy wynikające z "odpuszczenia gospodarki":

- 1/ środowiska opozycyjne angażują się w "remontowanie systemu",
- 2/ środowiska te zaczynają się korumpować,
- 3/ znajdują się w opałach spółdzielniach, dzięki którym można je kontrolować i uzależniać,
- 4/ stwarzają miejsce zużytkowania sił twórczych środowiska,
- 5/ zawsze można poprowadzić rozjuszony dysproporcjami płacowymi "raboczyj klas" na spółdzielców.

Przedstawione wyżej poglądy wymagają zajęcia stanowiska. Świadczą one o istnieniu problemu, który pojawia się czasem w rozmowach z, przede wszystkim, młodszymi kolegami.

Styl myślenia, jaki reprezentuje "Spółdzielca", traci myśką. Widać w nim ślady popularnego do niedawna czarno-białego postrzegania rzeczywistości.

"My i oni", "władza i społeczeństwo", system - jako wcielenie absolutnego zła, które powinniśmy zlikwidować, a skoro jest to na razie niemożliwe, to przynajmniej omijać. Niestety, rzeczywistość ma swoje wymagania, życie toczy się dalej. Na duchowe piękno mogą sobie załwyczyć pozwolili ci, których finansują "remontujący system" rodzice. Bo z czego w końcu mają się utrzymywać "środowiska opozycyjne"? Z amerykańskich dolarów? Wszak wszelka praca, jaka by nie była, oznacza w konsekwencji "remontowanie systemu". Dojrzałość wiąże się z koniecznością dokonywania wyborów: jak nie spółdzielnie, to co? Jeżeli odrzucimy emigrację, to wachlarz rozwiązań okazuje się bardzo wąski, w

praktyce dla większości oznacza to pracę w państwowej firmie z komórką POP, bez żadnej możliwości awansu, z zarobkami niewystarczającymi na utrzymanie rodziny. Najbardziej zdeterminowani zostają wiecznymi referentami, słabsi zapisują się do ZSMP lub do "nowych związków". Środowiska ulegają rozproszeniu, gdyż ich członkowie spotykają się mogą jedynie w czasie wolnym od pracy, którego ilość, w sytuacji powszechnej konieczności do rabiania do pensji, ciągle się zmniejsza.

Działalność spółdzielcza /myślę, że "Spółdzielca", podobnie jak ja rozumie ją szerzej - jako obejmująca również np. spółki/, w stosunku do przedstawionej wyżej alternatywy, jest rozwiązaniem lepszym. Chociażby dlatego, że wyłączamy istotny fragment życia społecznego /spółdzielczość zreszta ponoć ok. 15 milionów członków, a za rudnia 2 miliony/ spod wpływów nomenklatury. Jak pisze "Głos Wyrzeża"/nr 302, 28 grudnia 1987r./ upartyjnienie w spółdzielczości województwa gdańskiego jest raczej niewielkie - około 7300 członków PZPR, tj. 8,8% wszystkich zatrudnionych. Łącznie w Gdańskiem działa około 570 spółdzielni zatrudniających ponad 80 tysięcy pracowników.

Prezentowane dane oparte są na wynikach kontroli funkcjonowania POP przeprowadzonej na zlecenie KW PZPR w 19 spółdzielniach na terenie województwa gdańskiego. Kontrole przeprowadzono tylko w tych spółdzielniach, gdzie istnieją komórki partyjne. Niepokój wzbudził niski wskaźnik przynależności do partii ludzi młodych - do 29 roku życia. Na ich ogólną liczbę 17230 /27,1% wszystkich zatrudnionych/ tylko 25 należy do PZPR. Jeżeli przyjmiemy, co brzmi chyba przekonująco, że przedstawione przez "Głos Wyrzeża" średnie zwyżają znacznie spółdzielnie powstałe przed rokiem 1982 /Wojewódzki Związek Spółdzielni Mleczarskich - upartyjnienie 31%, Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy - 22,4%/, których na pewno nie można zaliczyć do tzw. "nowej przedsiębiorczości", to rysująca się wizja wygląda, moim zdaniem, nie najgorzej.

Brak nomenklatury umożliwia zajmowanie stanowisk kierowniczych /lub w ogóle podejmowanie pracy/ ludziom wywodzącym się z niezależnych środowisk. Nie sądzę, aby wiązało się to z ich "korumpowaniem". To prawda, że prowadzenie firmy działającej w realiach gospodarczych PRL wymaga różnego rodzaju kompromisów, kontaktów z władzą, a czasami po prostu wręczania łapówek. Tak funkcjonuje gospodarka naszego kraju i kto tego nie rozumie, nie powinien w niej uczestniczyć. Nie jest to stan pożądanym i daleki jestem od jego akceptacji. Nie żałuję jednak działaczy, którzy, wchodząc w życie gospodarcze z konieczności, odkryli w sobie żyłki managerów i obecnie czują się nimi bardziej niż "politykami", zarabiając przy okazji duże pieniądze. Sytuację z lat 80-81, w której 10 milionów ludzi czynnie zajęło się polityką, uważam za szczególną, charakterystyczną dla wzbierającej fali rewolucji, która stosunkowo szybko odpływa. Obecnie sytuacja wraca do normy - politykę uprawiają aktywnie, przede wszystkim, stosunkowo wąskie, świadomej swej roli elity. Znaczna część opozycji, składająca się z ludzi, którzy znaleźli się w jej szeregach przypadkiem, musiała odejść. Wielu z nich wyjechało za granicę, wielu uległo zastraszaniu, bądź koterii władzy, wielu wessała szarzyzna codziennych spraw, a pewna część zajęła się działalnością gospodarczą. Czy to ostatnie należy traktować jako "korupcję"? Chyba nie, jako liberał wzywam do większej wyrozumiałości.

Moje stanowisko wyznaczają dwa założenia: po pierwsze - zmiana o charakterze rewolucyjnym nie jest ani możliwa, ani pożądana, po drugie - planując proces ewolucji, musimy wyodrębnić

zmiany o charakterze kluczowym i na ich wprowadzenie skoncentrować większość, ograniczonej w końcu, energii. Za takie uważam: zmiany w strukturze własności i powstanie silnej klasy średniej.

Pomimo wszystkich patologii, jakie przeżyła "nowa przedsiębiorczość" od swojej starszej siostry, jej zaistnienie spowodowało niewątpliwą zmianę w strukturze własności, a "skorumpowane" niezależne środowiska wchodzą w skład formującej się elity gospodarczej, w której, moim zdaniem, mniej się liczy skąd kto przychodzi, a bardziej to, że realizując własne interesy przekształca gospodarkę w pożądanym kierunku. Mówiąc żartem, stwierdzam, że gdyby komuniści podzielili między siebie majątek państwowy i gdyby każdy zarządził swoją częścią, tak jak prywatny właściciel, konkurując z posiadaczem innej części, byłoby to z większym pożytkiem dla ogółu niż upieranie się przy "własności społecznej". Przyglądając się, jak niektórzy dyrektorzy "wydzierżwiają" majątek powierzonych im przedsiębiorstw spółkom, których są udziałowcami, można powiedzieć, że zmiana w tym kierunku zachodzi.

Poważniejszy problem wiąże się z "politykami", którzy na skutek "pozycji w opozycji" znaleźli się na uprzywilejowanych stanowiskach w spółdzielniach lub spółkach nie mając ku temu żadnych kompetencji i nie zamierzając wcale ich zdobywać. Firmy swoje traktują jako środek do zapewnienia sobie dużych pieniędzy oraz do realizacji "dyrektorskich" ambicji. Nie mam nic przeciwko stypendiom, natomiast realizowanie ich poprzez powierzenie kierownictwa przedsiębiorstwem ignorantom gospodarczym budzi poważne wątpliwości. Mam jednak świadomość, iż zjawisko to znajduje się na marginesie nowej działalności gospodarczej, a rozwijający się rynek, prędzej czy później, wyeliminuje z niej zarówno intelektualistów jak i "polityków".

Wracając do tekstu "Spółdzielcy" - czy "nowa przedsiębiorczość" stwarza "miejsce zużytkowania sił twórczych środowiska"? Chyba tak jest, czyli nie pozostaje nic innego, jak tylko się cieszyć. Wszak w dobie kryzysu twórczość gospodarcza jest na miarę złota.

Jeżeli chodzi o "rozjuszony dysproporcjami płacowymi" "roboczy kłaz", to wcale nie uważam, że "zawsze można go poprowadzić". Liczyć się trzeba z tym, że komuniści będą próbowali, natomiast daleki jestem od postrzegania robotników jako bezrozumnego motłochu. Jak dowodzi najnowsza historia, mimo zaangażowania ogromnych środków nie udało się pchnąć robotników ani na inteligencję, ani na Wałęsę, ani - ostatnio - na WiP. Uważam, że wzrost świadomości politycznej ogółu społeczeństwa, w stosunku do lat ubiegłych, jest ogromny - podobnie jak spadek zaufania do uprawianej przez komunistów propagandy. Poza tym w spółdzielczości jest przestrzeń również dla robotników - wielu z nich zamiast zazdrościć wysokich zarobków po prostu szuka sobie miejsca w gronie spółdzielców i je znajduje.

Nie oznacza to oczywiście, że napięcia nie istnieją. Istnieją i w pewnych momentach być może będą rosły. Sądzę, że droga do ich rozładowania nie prowadzi poprzez zniszczenie spółdzielczości. Nie tu jest źródło patologii, jest tu jedynie jej, być może kluczowa, niektóre oczy, projekcja. Wszak poprawne funkcjonowanie zakładów, na których "zerują" spółdzielnie, zmusiłoby te ostatnie do szukania zdrowszych form działalności. Proponuję, aby na ten problem zwrócił swój wzrok "Spółdzielca".

T.A.

Paweł Adamski

NIE LĘKAJCIE SIĘ

DŁUGIE MIESIĄCE

Gdzie indziej nam zazdroszczą: Gdańsk to Gdańsk, inna perspektywa. Mniej szarości, więcej koloru. Krążą ciuchy z marynarskiego przemytu, z paczek od rodzin, z darów, trafiają w końcu i do biedniejszych. Prywatną inicjatywę trudno byłoby wyplenić, żyje własnym życiem.

Świadomość niecałkowitego uzależnienia od władzy daje ludziom minimum tej pewności siebie, którą zaraz widać. Milicjant w Płocku rozpoznaje natychmiast po twarzy. "Pan z Warszawy czy z Gdańska?" - pyta, chcąc mnie wylegitymować. To samo w Łodzi: "Pan pewnie z Gdańska?". Uprzejmy. Z miejscowymi rozmawia inaczej.

Przyjechała kuzynka z Bielska-Białej, poszła na mszę do Św. Brygidy. Ksiądz Jankowski podejmował właśnie rodzinę Kennedy'ch. Nic nadzwyczajnego, tydzień, dwa wcześniej podejmował Brzezińskiego. Uroczyste powitanie, akcenty wolnościowe w homilii, Boże coś Polskę, palce w górę, nam się to już nawet opatrzyło. A dla niej wstrząs, nie może opanować płaczu: jak nie ten kraj.

Chyba rzeczywiście jest opanować inaczej. Chłopiec w tramwaju śmiało czyta bibułę, nie strzela oczami na boki. Kiedy składam kwiaty pod Pomnikiem w rozmaite rocznice, przypuszczalnie po drodze spotkam znajomych. Setki osób uczestniczą w rozmaitych półkondspiracyjnych spotkaniach i nic. Za coś takiego na prowincji idzie się na 48 godzin. Mam jeszcze jeden luksus, nie muszę się denerwować w kościele, księża nie mają nakazu ograniczać swojej odwagi do metafor i aluzji. Choć w gdańskiej diecezji buduje się nowe kościoły.

Więc może jest dobrze. Jak na garbatego to prosty. Tylko że t a m t o jednak się rozmyło.

Bardziej przedsiębiorczy rzucili się w spółki i spółdzielnie. Rzut z "Solidarności" zmieszał się tu z odrzutem z komitetów partii i zetemesu. Straszny melanz, a idzie wszystkim o jedno - grubszą forszę i żeby kombinować póki się da. Afera goni aferę, co piętnują gazety, z tym że dziwnym zrządzeniem losu najwięksi hochsztaplerzy spadają zawsze na cztery łapy. Są rodziny, wyjątki, zgrane koleżeńskie środowiska, gdzie pracuje się rzetelnie i przestrzega pewnych zasad. Na tym miała by polegać ta od-

dolna reforma systemu niereformowalnego, tak to widzi w swojej koncepcji Aleksander Hall, spadkobierca tradycji politycznej Narodowej Demokracji, oraz Stefan Bratkowski, scenarzysta słynnego serialu telewizyjnego *Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy* o walce o polskość w zaborze pruskim. W sumie obaj popełniają to samo drobne przeoczenie - że to nie jest ten zabór.

Tymczasem ogólnie standard leci w dół, stoczniowcy bez przerwy biorą nadgodziny, o wolnej sobocie już prawie zapomnieli.

A co robi awangarda inteligencka?

Zaprzyjaźniony docent na dwóch etatach i jego żona po doktoracie zarabiają razem około siemdziesiąt tysięcy, ale mały Fiat rozpadł im się ze starości, bo przy trójce dzieci od dwudziestego są regularnie na minusie.

Piotr, student V roku fizyki, nie widzi dla siebie w Polsce żadnej przyszłości /ma zacięcie teoretyczno-badawcze, poza tym jest żonaty/. Czeką na sprzyjający moment, żeby wyjechać gdziekolwiek, najlepiej do Kanady lub Australii.

Sąsiad, zdolny matematyk, robi plastikowe paski, to rodzina ma się dobrze.

- Czy jest jakiś przywódca, może sztab przywódczy, wyłoniony z "Solidarności", który ogarnia cały ten dramat, zagrożenie bytu narodowego, bo "ratuj się kto może" to jest dewiza tylko na dziś, taki koncept nam nie wystarczy na jutro? Może Wałęsa ma to opracowane, dysponował przecież środkami, mógł zgromadzić grupę ludzi? - pyta mnie zaczepnie Marek ze stoczni, który ciągle uważa, że takie rzeczy ja powinienem wiedzieć. On sobie wyobraża tak: uratowaliśmy trochę pieniędzy, przysłali nam to i owo związkowcy z zagranicy. Tworzy się pod jakimś niewinnym szyldem, może być kościelny, fundusz rozwoju społecznego, przydziela stypendia, prowadzi odpowiednią propagandę, żeby pozyskać dla sprawy zainteresowanie w rozmaitych środowiskach. Nie udało się frontalnie, to teraz tylnymi drzwiami.

Więc coś się robi? Czy tylko tak się przelewa z pustego w próżne?

Mówię mu:

- Zapytaj sam Lecha, pracujesz z nim w stoczni.

Wzruszenie ramion.

- Wałęsa stoczniowców unika, prowadzi niezrozumiałe dla nich gry. No trudno, niech reprezentuje, niech będzie symbolem. Tylko można zapomnieć, co symbolizuje.

LUźDZIE MODŁĄ SIĘ

Kościół zabiegał o przyjazd Papieża do Polski. Ale w ostatnich miesiącach wyglądało to raczej jakby bardziej zabiegała władza. Gdy decyzja zapadła na tak, wszyscy poczuli, że ekipa Jaruzelskiego będzie chciała z tego zrobić swój wielki numer. Zaczęło się mówić o polityce wschodniej Watykanu. Kościół wyszył się. Zresztą wcześniej popuściła władza. Udzielono dalszych zezwoleń na budowę kościołów i sal katechetycznych. W cotygodniowym *okazie* dla dziennikarzy zachodnich minister Urban wyraźnie powściągnął swój dowiec w lubianych przez siebie tematach klerykalnych. W telewizji jako rozmówcy, ba, eksperci - ksiądz

poeta, ksiądz profesor socjolog. W końcu zgoda na Gdańsk w programie pielgrzymki. Dla ludzi znak, że władza czuje się mocna.

Co w tej sytuacji powie nam Ojciec Święty?

- Wszyscy go tu kochamy, wierzymy mu, więc niech powie cokolwiek. Niech przyjedzie. Tak się zrobiło w Polsce nudno i szaro.

- Jeśli w dalekowzrocznym widzeniu Papieża jest Litwa, Węgry, Czechosłowacja, może nawet Rosja, ludzie i narody mniej od nas wolne, my nie powinniśmy być mu kłoda pod nogi.

- Rzecz jasna zbije na tym kapitał rząd polski.

- Może Papież coś dla nas wytarguje, może pozwoli na pluralistyczne związki.

- Nie pozwoli.

Takie interpretacje. Ludzie gubią się w domysłach. Niepokój zwraca się przeciwko episkopatowi.

- Księża mają dobrze, coraz lepiej, za dobrze.

- W parafii jest tyle nędzy, czemu proboszcz o tym nie wie?

- Bo proboszcz buduje kościoły.

- Ludzi na mszy za ojczyznę już nie tyle co dawniej, zresztą kandydatów na Popiełuszków też brak.

- W Gdańsku mamy nieurodzaj na księży z charyzmą.

- Jeden był, zakonnik, musiał wyjechać na skutek konfliktów w klasztorze.

Jego ten kwas nie dotyczy. Ale czy On może nam pomóc?

Opozycja ma wątpliwości. Bogdan Borusewicz:

- Oczekuje się różnych rzeczy po "Solidarności", po Kościele, po przyjeździe Papieża. Myślę, że to złudne nadzieje. Ale są. I dopóki będą, w tym kraju nic strasznego się nie wydarzy.

Lech Wałęsa:

- Papież pokaże, gdzie jest siła, za kim ludzie idą, gdzie się modlą, kogo słuchają. Będzie się starał wpłynąć na nas w kierunku trzeźwości, uczciwości, wiary. Władze będą mu tłumaczyć, dlaczego jest tak trudno i jak się starają. Niektórych rzeczy nie będzie mógł powiedzieć. Znaczenie wizyty będzie bardziej historyczne niż doraźne.

Episkopat podkreśla z naciskiem religijny charakter wydarzenia. Przygotowie wiernych do Kongresu Eucharystycznego, który jest hasłem pielgrzymki. Ulicami, domami, klatkami schodowymi ludzie idą do kościołów adorować Przenajświętszy Sakrament. Modlą się żarliwie. Modlą się jak potrafią. "Polakiem warto być pod warunkiem, że Bóg istnieje. Jeśli nie, Polakiem być nie warto. Dlatego należy uwierzyć, że się wierzy" - powiedział kiedyś w referacie wygłoszonym u Dominikanów jeden z ważnych intelektualistów. Ten relatywizm, ta autoironia nie znalazły aplauzu między gdańskimi intelektualistami:

- "Warszawiacy nawet Pana Boga przerobią na kawiarnię. Tak jak przerobili "Solidarność". Jeśli chcesz się z kimś znanym spotkać, żeby coś omówić, możesz mieć trudności, tacy są tam zaferowani. Od koktajlu w ambasadzie francuskiej, dokąd byli zaproszeni wczoraj, do koktajlu w ambasadzie amerykańskiej, gdzie

dzisiaj muszą być obowiązkowo, a ambasada w Warszawie jest sporo.

To oczywiście niesprawiedliwe, dzieje się tam wiele rzeczy ważnych, ukazuje się dużo pism i gazet podziemnych na dobrym poziomie, więcej niż w Gdańsku, ale z gdańskiej perspektywy to jakoś tak wygląda.

Żać co do wiary... W stanie wojennym zaczęła się fala nawróceń. Poeci, dziennikarze, plastycy, po dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu latach nieobecności wracali do kościoła. To było jak ciężka choroba, która budzi w człowieku gwałtowną potrzebę Boga. Nie każdy miał śmiałość wejść od razu, niektórzy naprzód stali w przedpokoju. Uczestniczyli w manifestacjach, którymi były wówczas msze za Ojczyznę, pomagali rozdzielać dary, smakowali atmosferę wolności, cieszyli się byciem we wspólnocie po wypadnięciu na wirażu z dawnych środowisk i związków koleżeńskich. Generalnie, każdy szukał zgubionej drogi do samego siebie, szukał w swoim sumieniu. Wtedy Ojciec Sławomir powiedział, że tak właśnie wygląda poszukiwanie Boga i że trzeba być cierpliwym.

Mówiliśmy mu Sławek. Nie trzymał dystansu, ale nigdy przez to nie zacięła się między nami świadomość jego kapłaństwa. Kapłaństwa w duchu pierwszych chrześcijan. Choć spokojny, wyglądał jakby z trudem mieścił się w sobie. Zwalista, silna postać, powściągnięta gwałtowność pod białym habitem. Przy tym ściszony głos, kameralność bycia. Oddziaływanie na tłumy nie było jego specjalnością. Zresztą odnosił się podejrzliwie do głośniejszych, zbiorowych manifestacji, widział nietrwałość takich wrzusek. Nie wszystkich pociągało to, co mówił /mówił z uporem ciągle to samo, że miarą naszego chrześcijaństwa jest nasze sumienie. W środowisku krążyło jego żartobliwe powiedzenie: "Ja partyjnym rozgrzeszenia nie daję. Nie rozgrzeszałem jednak łatwo i ludzi z "Solidarności"/. Niektórych wyraźnie drażnił. Trudno go było zwieźć pozorem prawdy i ta przenikliwość przyciągała do niego z kolei tych, którzy rzeczywiście szukali. Modlił się za nich. Także za Jerzego, który z początku zawsze stał podczas podniesienia, ale na mszę przychodził. Gdy Jerzy wyznał: "Ja, Ojciec nie wierzę, całe życie uważałem się za niewierzącego" - Sławek uśmiechnął się, jakby chciał mu powiedzieć: odwagi, wystarczy, że Bóg w ciebie wierzy. W końcu nic nie powiedział, poklepał go tylko po ramieniu. Nigdy nas nie przynaglał, nie nalegał. Współczuł nam. Jerzy, który miał młodociejnie romantycznie lewicową, po wojnie wprzągnął swoje ideały w komunistyczny rydwan, był przez parę lat naczelnym partyjnej gazety, ale mu nie szło, nie awansował, raczej leciał w dół, gdy niektórych dyrektyw wykonać nie mógł, bo mu nie pozwalało sumienie. Do "Solidarności" nie należał. Gdy ogłoszono stan wojenny, płakał, przez jakiś czas był nie do życia. Potem ktoś go zaprowadził do Dominikanów, spotkał Sławomira i do niego przyszedł, uczeplił się jak tonący brzytwy. Tak płynął do swojego brzegu, z trudem łapiąc oddech. Wieczny chłopiec, z siwą głową i sercem dziecka. To serce nie wytrzymało. W jakim był miejscu, gdy przyszła śmierć? Bóg raczy wiedzieć. I może jeszcze Sławek, powiernik naszych życiowych kłesk.

Zakonnik, a niepokorny. Podobno ostatnio został przeniesiony do Jarosławia. Po odejściu od nas był we Wrocławiu, ale Wrocławia już nie pokochał, tęsknił za Gdańskiem. Bo dla niego Gdańsk też był ślupem milowym. Największe przeżycie Sławka, o którym nam czasem opowiadał, to była msza na skrzyżowaniu ulic nieopodal stoczni, *vis a vis* Pomnika w dniu 16 grudnia 1981 roku. Odprawiał mszę, a wokół szturmowało ZOMO. Nikt mu tam iść nie kazał. Prze-

ciwnie, zostało to źle przyjęte przez zwierzchników, bo istniała obawa profanacji hostii. Poszedł, żeby Chrystus był blisko ludzi. Ulica szalała. W pewnym momencie podszedł z wyciągniętą ręką do zomowca - "przekażmy sobie znak pokoju". Tamten pozostał nieruchomy jak drzewo. Sławomirem to wstrząsnęło, zobaczył całą przesadę.

Niedawno wpadł do Gdańska. Była jakaś dyskusja wokół przyjazdu Papieża. Że władza będzie chciała się uwiarygodnić. Sławek, jak on zwykle, powiedział otwarcie to, co może nie sam jeden myślał: "Gdyby miał ich uwiarygodnić, wolałbym, żeby nie przyjechał". On uważa, że Jan Paweł II tym razem będzie chciał nam postawić większe wymagania. Sytuacja dojrzała do tego.

OSTATNIE TYGODNIE

Przygotowujemy się w rozmaitych środowiskach. Literaci i dziennikarze pracują nad publikacją o Gdańsku lat osiemdziesiątych, która ma być naszym darem dla Papieża. Powstaje film pod tytułem *Oczekiwania*. A także albumy fotografii Gdańska okresu strajku, "Solidarności" i stanu wojennego. Jest w przygotowaniu album dokumentujący przebieg sporu o krzyż na Westerplatte. Rzeźbiarze zaprojektowali medale pamiątkowe.

Kościół w modlitwach tworzy atmosferę oczekiwania. Proboszczowie rozdzielają w parafiach zadania, werbują mężczyzn do służb porządkowych. Napięcie rośnie z dnia na dzień, zwłaszcza w obydwu kościołach na Zaspie, które w pierwszej kolejności są odpowiedzialne za wystrój osiedla i oprawę tej gigantycznej uroczystości, jaką będzie msza dla świata pracy. Wszyscy niby chętni, a idzie niemrawo. Księża ganią ospałość. Do budowania wież, gdzie będą plansze informacyjne i powitalne, przyszło raptem siedem osób. Z kolei projektant ołtarza Marian Kołodziej nie jest zadowolony ze współpracy z niektórymi księżmi, uważa ich za niekompetentnych arogantów. Kołodziej to wielki artysta, w teatrze zawsze miałem wrażenie, że jego scenografia rozsadza ramy każdego spektaklu, że reżyser i aktorzy są dla jego wizji za mali. Tym razem nie musiał się ograniczać. Dźwie to Teatr Ogromny, w którym powinno się dokonać prawdziwe misterium oczyszczenia. Ołtarz musi być punktem kulminacyjnym tej przemiany. Tak to sobie wyobraził. A teraz wszystko gubi się w banalnych drobiazgach, ponieważ o materiały nie postarano się na czas, cieśle do budowy przystąpili za późno nie z własnej winy, a gdy kazano im potem pracować po szesnastu godzin bez herbaty na deszczu, zrobili strajk i trzeba było szukać innej ekipy budowlanej. Wszyscy mają napięte nerwy: żeby tylko zdążyć. Taki nastrój jest na dwa tygodnie przed pielgrzymką. Tydzień później zaczyna się zmieniać.

W sobotę 6 czerwca późnym popołudniem wybieramy się na spacer po Zaspie w stronę budującego się ołtarza. Już stoi, wyłania się z tła olbrzymich drewnianych rusztowań piękna nawa, dziób łodzi Piotrowej, symbolicznego okrętu. Na nim stół ofiarny. Maszt właśnie się montuje. Wielki dźwig podnosi kilkadziesiąt metrów w górę biały krzyż i próbuje go tam osadzić. Udało się, na razie pierwszy z trzech. Teraz powoli godzinami będzie się za nim ustawić dwa następne.

Była walka o te trzy krzyże z władzami, które domagały się zmiany projektu. Kołodziej i architekt prof. Lech Zaleski uparli się:

- Cała konstrukcja naszego ołtarza opiera się na tych trzech krzyżach, bez nich się nie trzyma, tu nic nie można zmienić.

Biskup kategorycznie ich poparł i władze zmiękły.

Żagla jeszcze nie ma. Żagiel założy się na końcu. "lecz gdy będziemy chcieli odbić, czy będzie wiatr?" - żartuje ktoś z tłumu ludzi, którzy obserwują budowę. Zaczynają rozszyfrowywać symbolikę, widać wielkie zainteresowanie ołtarzem. Jedni tylko kibicują, inni chcą pomagać, proszą o przydział do roboty, może być do malowania, mężczyźni chętni do ciesiołki. Biegają dzieci, całe rodziny przychodzą lub przyjeżdżają samochodami, nawet z odległych krańców miasta, rozkładają się na trawie jak na majówce, śledzą oczami ruchy dźwigów i robotników poruszających się tak śmiało na olbrzymiej wysokości. Patrzą w górę w rozjaśnione niebo. Zapowiada się wreszcie pogoda.

W wielu oknach na osiedlu pojawiają się już dekoracje. Mycie, sprzątanie. Jutro Zielone Świątki, niedziela. W poniedziałek Ojciec Święty przylatuje do Warszawy, w czwartek u nas. Przy każdej klatce schodowej stoi grupka mieszkańców i zadziera głowy w stronę dachu. Zawieszają się ogromne flagi sięgające przez jedenaście pięter aż do ziemi, papieskie białe-żółte, maryjne biało-niebieskie i polskie białe-czerwone. Zostały kupione za składkowe pieniądze. Przy zawieszaniu tych flag ludzie znowu zaczynają ze sobą rozmawiać, budzi się trochę dawnej otwartości.

Ekipy kościelne rozwieszają transparenty: "Do końca nas umiłowal", "Przez krzyż do zmartwychwstania", "W górę serca" i tym podobne. A także o treści powitalnej. Na jednym z bloków przy Startowej doskonale widoczny z ołtarza napis literami dwumetrowej wysokości: "Witaj Ojczy". I ten napis ludzi porusza. Jakby On już między nami był.

Tymczasem co widzimy? Obok kościołów i dalej na wiadukcie, na blokach mieszkalnych, w rozmaitych miejscach, namalowane fachowo na planszach i murze napisy propagandowe w znanym stylu: "Nasz ustrój to socjalizm", "Byliśmy, jesteśmy, będziemy", "Polska naszym wspólnym domem", "Pokój światu, szczęście ludziom" Chciałoby się dopisać: Panu Bogu świeczka i diabłu ogarek. Oklepany stereotyp tym razem działa jak ukłucie szpilką. Więc tak nas osiódłali, że pozwolimy w ten sposób Go powitać? Leżą delegacje do proboszcza. Co to wszystko ma znaczyć? Proboszcz też poirytowany. Dziś w nocy przywieszali, Kościół nie miał nic do powiedzenia. A dlaczego my nie dajemy żadnych gdańskich akcentów? Na przykład: "Pobłogosław dzieło Sierpnia". Książd wygląda na zakłopotanego: władze wtrącają się do każdego napisu, bez przerwy musimy się tłumaczyć.

- Przyczepili się do planszy przy wjeździe od strony ulicy Rokossowskiego, bo była napisana gęsto i to przypominało ich zdaniem pismo solidarnościowe.

Tym razem Kościół - zdaje się - dał się podejść i częściowo ubezwłasnowolnić. To się czuje w karnym podporządkowaniu księży rozporządzeniom lokalnej władzy. Także w przesadnym rozdmuchiwanu atmosfery zagrożenia wokół osoby Ojca Świętego. Władza wie, co robi, przy okazji chce społeczeństwu przypomnieć swoje możliwości, na wszelki wypadek. Kościół to żyła, jakby nic nie zauważał. Ludzie nie są specjalnie zadowoleni z tych wspólnych konferencji prasowych księdza Orszulika i Interpressu, które prezentuje telewizja, widzą, że to księży rozmiećka. Z tym porozumieniem - mówią - nie jest kościołowi do twarzy. Rodzi się podejrzliwość. Rozchodzi się pogłoska, że najlepsze miejsca w sektorze "A" są zarezerwowane dla Komitetu Wojewódzkiego, a na Stare Miasto prócz dzieci pierwszokomunistycznych, które będą witać Papieża przy

głównej bramie, też dostali wstęp tylko partyjniacy z rodzinami. "To do kogo, proszę ksiądz, Papież przyjeżdża?" Ksiądz Bogu ducha winny, sam zdezoriantowany. Miał od pracownika pegeemu wiadomość o naradzie u prezydenta w dniu wczorajszym, przykazano dyrektorom przedsiębiorstw instytucji zrzucić z budynków w mieście hasła powitalne. Straszyli, że od środy będą strzelać do każdego, kogo zobaczą na dachu.

- Dają nam do zro-zumienia - mówi ksiądz - że tym razem pielgrzymka będzie przebiegała według rządowej recepty. To się jeszcze okaże.

- Czy ksiądz zgadza się, żeby na Zaspie przeprowadzić walkę Wielkich Hieroglifów?

- Dlaczego miałyby przeszkadzać? Niech ludzie piszą, co im serce dyktuje. Prosi, żeby zrobić błyskawiczny konkurs wśród znajomych i podrzucić ze dwadzieścia najlepszych haseł do parafii.

Oni wywiesili GDAŃSK ZAWSZE POLSKI. A my obok na przykład: GDAŃSK NADZIEJA POLSKI. Oni NASZ USTRÓJ TO SOCJALIZM, a my... Co by tu dopisać? Mamy już umówionych alpinistów.

Niedziela, Zielone Świątki, czyli uroczystość Zesłania Ducha Świętego. Pamiętam ze swojego dzieciństwa na wsi, że w przeddzień stroiliśmy chałupę tatarakiem. Podwórce wysypywało się piaskiem. A w Boże Ciało przy każdej kapliczce mężczyźni wkopywali w ziemię zielone brzoźki. Pamiętam przyjazd biskupa i banderę na koniach, witającą go przy rogatkach, poświęcanie pól i procesję błagalną o deszcz w suche lata. Teraz to wszystko do mnie wraca. W klimacie tego oczekiwania jest coś swojskiego, emocja dziecięcej wiary. To już jutro. A za cztery dni w Gdańsku.

W czasie mszy czytane jest słowo pasterskie biskupa gdańskiego. Modlimy się słowami psalmu: Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi.

POWITANIE

Warszawa po Gdańsku wydaje się zimna. Nie widać dekoracji ani ożywienia. Dopiero w pobliżu lotniska większa grupa ludzi, wierni z parafii Okęcie i jakaś pielgrzymka. Przy bramach wejściowych funkcjonariusze służby bezpieczeństwa i żołnierze WSW z wilczurami sprawdzają każdego bardzo dokładnie przyrządami do wykrywania metalu. Coś dzwoni, moje klucze. Służba kościelna pilnuje porządku. Lotnisko smutne, publiczność złożona głównie z profesjonalistów. Jest stu dziesięciu dziennikarzy i fotoreporterów, ekipy filmowe i telewizyjne polskie i zagraniczne. Mży drobny deszcz. Ta mglistość, szarość współbrzmi z nastrojem. Czarna limuzyna z kardynałami: Glemp, Macharski, Gulbinowicz i chyba Casarolli. Samochód z oficjalnymi osobistościami: Messner, Barcikowski, Czyrek, Malinowski, Szałajda. Na płytę lotniska wjeżdża autokar pełen biskupów, za chwilę rozlewa się wielka plama amarantu. Poznaję ordynariusza gdańskiego, biskup Gociowski rozmawia z księdzem Orszulikiem. Wyraźnie zdenerwowany, jakby o czymś przekonywał rzecznika prasowego Episkopatu ze wzburzeniem.

Ponad półtorej godziny oczekiwania. Rozmowy, wymiana informacji. Dowiaduję się, że niektórzy warszawscy działacze opozycji otrzymali wczoraj ostrzeżenia z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i zakaz wychodzenia z domu na czas pielgrzymki.

Na wprost stanowiska prasowego mównica i czerwony chodnik, po którym przejdzie Papież po wyjściu z samolotu. U wylotu chodnika ustawiają się gospodarze, po jednej stronie grupa kościelna z prymasem Glempem, po drugiej stronie rządu z premierem Messnerem. Telewizja Polska włączyła kamery. Papież powinien przylecieć za piętnaście minut. Z samochodu wysiada Wojciech Jaruzelski. Podchodzi do kierownictwa Episkopatu wita się z kardynałami. Z prymasem Glempem szczególnie ciepło, oboma rękami. Potem z grupą rządową. Radośnie ożywiony, swobodny. Jaki kontrast z tym samym Jaruzelskim sprzed czterech lat, który nie mógł opanować dygotu nóg i rąk, gdy czytał przemówienie. To jego rozdygotanie wywołało we mnie wówczas mimowolny odruch współczucia. Bał się Papieża, jego osądu? Teraz już się nie boi, jest spokojny. Lecz czasem zdradza człowieka jeden drobny gest. Biało-zielony papieski samolot wylądował. W tym momencie generał Jaruzelski ukradkiem, jak uczeń, wyciąga z kieszeni spodni małe grzebyczki i szybkim ruchem przyczesuje włosy. Potem idzie w stronę samolotu przywitać dostojnego gościa.

Od strony gromadki wiernych dobiega słaby śpiew. "Chrystus Panem, Chrystus Królem". Samotny okrzyk: Niech żyje Papież! I cisza.

Biała postać całuje polską ziemię.

Już są przy nim dzieci z kwiatami, Prymas, siostry zakonne, generał Jaruzelski. Hymny papieski i polski. Milczenie ludzi.

Wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni, rozstawieni co trzy metry przy barierce dla publiczności, tyłem do Papieża, przodem do nas, przenikliwie lustrują każdego wzrokiem, sprężeni jak do skoku. Biuro Ochrony Rządu, tak zwany BOR. Mają za zadanie strzec Papieża. Do tej ochrony podczas pielgrzymki w 1983 roku należał podobno także Piotrowski.

Ojciec Święty ogarnia to wszystko jednym spojrzeniem. My patrzymy na niego. Postarzała sylwetka, na twarzy wyraz udręki. Czy to, co u nas jest, od razu tak dobrze widać? Chyba tak, ludzie powracający do kraju po dłuższym pobycie za granicą zawsze mówią o szoku lotniska.

Przewodniczącą Rady Państwa Wojciech Jaruzelski i Prymas Glemp wygłaszają powitalne przemówienia. Jest to krótkie zarysowanie programu, sugestia oczekiwań i nadziei pod adresem Papieża.

Czegóż spodziewa się władza? Pragnie "pomyślnego rozwoju Polski, jej mocnej pozycji w świecie". Uważa, że "prowadzi do tego zgoda narodowa, wytrwała praca, poczucie obywatelskiej, patriotycznej odpowiedzialności". Zapewniając, że "wspólnie z sojusznikami nie ustajemy w wysiłkach, aby zapobiec nuklearnej katastrofie, ochronić świat dla przyszłych pokoleń" i wyrażając szacunek Jego Świątobliwości oraz Stolicy Apostolskiej "za niestrudzoną aktywność na rzecz umacniania pokoju, braterstwa i współpracy między narodami", pragnie "aby rozpoczynająca się dziś pielgrzymka /.../ wsparła wiarę naszego narodu we własne siły. Aby przyniosła pożytek Polsce, sprawie pokoju Europy i świata".

Jednym słowem generał chce, by Papież sprawił cud: przyklepał to, co jest, tę całą sztuczność naszej społecznej egzystencji, a jednocześnie wzmocnił wiarę narodu w swoje siły.

A jak to widzi Kościół? Kościół nie chce "ani zbyt mocno akcentować naszej błedy i słabości, ani też nie chce ich ukrywać".

Na powitanie jednak pragnie podzielić się swoimi drobnymi radościami. A oto one: "Dziś wyciszyły się głosy, które kwestionowały trwałość pracy ewangelizacyjnej kościoła w narodzie. Ludzie szczerze wierzący coraz śmielej mogą poruszać się w niektórych dziedzinach życia publicznego, byle im starczyło odwagi. Młodzież szuka rzetelnego pogłębienia duchowych postaw w licznych grupach wakacyjnych i pielgrzymkowych. Od ostatniej wizyty Waszej Świątobliwości przybyło parę setek nowych obiektów religijno-kościelnych.

Prymas kładzie akcent na sukcesy, które wiążą się z coraz pomyślniejszym w ostatnim okresie rozwojem stosunków między episkopatem a rządem. Wysoka pozycja kościoła nie ulega dziś wątpliwości, nie czuje się zagrożony ani zagubiony. A naród? Kościół pragnie, aby Ojciec Święty przewodniczył nam w modlitwie, "w której przez Boży pokój, osiągnięty w sercu, dojrzewa refleksja nad rzeczywistością".

Jan Paweł II słucha z opuszczoną głową. Nagle spogląda w naszą stronę, jakby sprawdzał czy w ogóle jesteśmy. Zaczyna mówić. Odpowiada swoim przedmówcom, a zarazem ponad ich głowami. Po co przyjechał. Dlaczego odwiedza różne miejsca na świecie. "Aby jeszcze przejrzystszą stała się ta prawda, że w Chrystusie Bóg zadał Kościołowi każdego człowieka. Wszystkie ludy i narody ziemi".

Co to znaczy, że jesteśmy Kościołowi zadani? Papież mówi o Chrystusie i Eucharystii: "On nie przestaje człowiekowi zużonemu, zagubionemu człowiekowi, który cierpi, który gubi poczucie sensu - przywracać sens. Eucharystia jest sakramentem tego wielkiego Sensu. Ona też pomaga odbudować wiarę w słuszne ideały, wolę życia - nadzieję".

Więc wie, czego potrzebujemy teraz w Polsce najbardziej. Mówi z mocą: "O, ziemio polska! Ziemio trudna i doświadczona! Ziemio piękna! Ziemio moja! Bądź pozdrowiona. I bądźcie pozdrowieni Wy, Rodacy, którzy znacie radość i gorycz bytowania na tej ziemi".

Po południu spotkanie z władzami PRL na Zamku Królewskim i rozmowa Papieża w cztery oczy z Jaruzelskim. Wśród dziennikarzy tylko to budzi pewne podniecenie, bo teksty przemówień, zarówno papieskich, jak i osobistości oficjalnych, otrzymuje się już wcześniej. Tutaj jednak drobna zwłoka z tekstem generała. Podobno wyczekiwano na przemówienie Ojca Świętego. Teraz, gdy już jest znane, uzupełnia się wystąpienie szefa państwa o pewien wątek wcześniej w nim pominięty, a okazujący się przewodnim w mowie Papieża. To wątek praw człowieka i podmiotowości społeczeństwa.

Do Zamku prasa nie będzie miała wstępu, tylko mała grupka dziennikarzy i reporterów tv-foto, tak zwany "pool". Zasiadamy więc przed telewizorami. Akredytacji dziennikarskich przy wizycie jest ponad tysiąc, razem z pracownikami technicznymi ekip radiowych i telewizyjnych podobno około dwóch tysięcy. Dziesięć osób z TASS-a.

Piękne zamkowe wnętrza. Wojciech Jaruzelski w roli gospodarza. Kamera telewizyjna wyraźnie to podkreśla: bezpośredni spadkobierca jego dawnych gospodarzy. Dyrektor profesor Gieysztor w dalszym tle.

Tutaj zostanie sprecyzowane dokładniej, przez obydwie wysokie strony, to, co w chwili powitania na Okęciu zostało ledwo zary-

sowane w nastroju pierwszych krótkich przemówień. Ten nastrój niezupełnie współbrzmiał. Teraz widać, że się mija. Czuje się zasadniczą różnicę w interpretacji obecnego stanu ducha narodu.

Generał przedstawia swoją wykładnię wydarzeń lat osiemdziesiątych i ich dalszego ciągu /Uspokoili się wzburzone fale. Przygasły ogień, nierzadko cudzą ręką wzniecane./. Zapewnia Papieża że wszystko w nurcie tego protestu, "co było rdzenne, odpowiedzialne, zgodne z interesem Polski - znajduje dziś i znajduje będzie coraz szerzej swe miejsce w całokształcie życia społecznego". Mówi o demokracji, pluralizmie, który się rozwija. Nie ukrywa, jest "wiele jeszcze zwątpień, goryczy, wzajemnej nieufności" i właśnie tu widzi rolę Kościoła jako specjalisty od tak potrzebnego dziś wszystkim "uskrzydlenia powszedniości", potencjalnego autora "swoistej teologii pracy, odrzucającej jałowe cierpiętnictwo, bierne oczekiwanie". Zwłaszcza, że "jesteśmy znacznie bliżej modelu konstruktywnego współistnienia". Do tego stopnia, że "model ten stać się mógłby doświadczeniem o szerszej historycznej nośności". W domyśle: przykładem dla innych narodów naszego obozu, gdzie Kościół ma znacznie gorzej, a które też byłyby gotowe nieco poluzować.

Co się zaś tyczy praw człowieka /o których za chwilę Papież na pewno zechce mówić/, to na ich straży stoi automatycznie socjalizm jako system i prawa te łamane są właśnie gdzie indziej. Jako przykład łamania tych praw w Polsce generał wskazuje Łódź z epoki wczesnego kapitalizmu, czyli początku naszego wieku, taką jaką opisał ją Reymont w *Ziemi obiecanej*. Łódź, która znajduje się na papieskim szlaku.

Myśl przewodnia przemówienia, choć zaciemniona przez patetyczność stylu, jest dobrze znana, mało oryginalna od nas zależy sprawa pokoju, bo jesteśmy trwałym elementem stabilizacji Europy. Każda nasza niesubordynacja pociąga za sobą destabilizację. Dlatego ma być tak, jak jest. I należy to polubić. Należy do tego dorobić ewentualnie ideologię. W tym potrzebna by była pomoc Kościoła. To jest nasza racja stanu. To jest racja generała Jaruzelskiego.

Napięcie w głosie Papieża. Staram się wczuć w jego stan duchowy. Tak reaguje ktoś, kto ciągle szuka z ludźmi autentycznego kontaktu, wspólnego języka, który umie to robić i zazwyczaj mu się udaje, gdy nagle stwierdza, że tym razem będzie to daremne.

Papież mówi również o pokoju i wspomina doświadczenia ostatniej wojny, ale głównie po to, "aby raz jeszcze podkreślić ten wielki - w pewnym sensie ogólnoludzki - zryw sumień, który wyraził się w Kartie Praw Człowieka". Oto jest droga dla współczesnego świata. "Jeśli chcecie zachować pokój, pamiętajcie o człowieku. Pamiętajcie o jego prawach, które są niezwywalne, bo wynikają z samego człowieczeństwa, każdej ludzkiej osoby. Pamiętajcie między innymi o prawie do wolności religijnej, stowarzyszenia się, wypowiedania swoich poglądów. Pamiętajcie o jego godności, w której muszą się spotykać poczynania wszystkich ludzkich społeczeństw i społeczności. /.../ Wszelkie zagrożenie praw człowieka stanowi zagrożenie dla pokoju.

Płaszczyzna polityki i geopolityki, którą proponuje Generał pod kryptonimem "pokój", zostaje odrzucona jako jałowa. Filozofowie zajmują się walką idei, nie arsenałów wojskowych, o których zawartości zapewne dużo wie Wojciech Jaruzelski. Jednak idee mogą odmieniać losy świata. Jan Paweł II jest myśli-

cielem, filozofem.

"Trzeba zaczynać od społeczeństwa. Od ludzi - od tych ludzi, którzy stanowią Polskę drugiej połowy dwudziestego wieku. Każdy z tych ludzi ma swoją osobową godność, ma prawa tej godności odpowiadające. W imię tej godności słusznie każdy i wszyscy dążą do tego, aby być nie tylko przedmiotem odgórnego działania władzy, instytucji życia państwowego, - ale: być podmiotem. A być podmiotem to znaczy: uczestniczyć w stanowieniu o - pospolitej rzeczy wszystkich Polaków /.../

Tylko wówczas naród żyje autentycznie własnym życiem, gdy w całej organizacji życia państwowego stwierdza swoją podmiotowość. Stwierdza, że jest gospodarzem w swoim domu. Że współstanowi przez swoją pracę, przez swój wkład. Jakże istotne jest dla życia społeczeństwa, aby człowiek nie stracił zaufania do swojej pracy, aby nie odczuwał zawodu, jaki ta praca mu sprawia. To ma z kolei podstawowe znaczenie dla całej narodowej ekonomii".

Wszyscy natychmiast rozpoznają tę ideę, te "ognie, nierzadko cudzą ręką wzniesane", przygaszone 13 grudnia 1981 roku ręką generała. Była nasza nadzieja.

O te właśnie "motywy życia i nadziei" - mówi Papież - modłę się dla mojej Ojczyzny, dla Narodu, którego głęboko czuję się synem.

Jak przebiegała rozmowa w cztery oczy i o czym rozmawiano, nikt nie wie. Po poprzedniej swojej wizycie i spotkaniach z szefem państwa Papież miał ponoć do kogoś bardzo bliskiego powiedzieć o generale Jaruzelskim, że "jest to człowiek dobrze wychowany" i że "zdaje się, niestety, wierzy w to, co robi". Czy rzeczywiście wierzy? Był czas, gdy Jaruzelski dla wielu wydawał się zagadką, nawet postacią tragiczną. Te husarskie skrzydła, orli ton, skłonność do podniosłych słów. "Świat pokoju i sprawiedliwości, ziemia człowieka" - dziś to brzmi jednak już zbyt teatralnie.

W czasie mszy świętej rozpoczynającej Kongres Eucharystyczny w kościele Wszystkich Świętych na Placu Grzybowskim Ojciec Święty wygląda na fizycznie chorego. Widać to w telewizorze. Gorączkowe wypieki, jakaś słabość w całej postaci, podczas podniesienia monstrancję unosi z trudem w górę, jedną ręką, jakby drugą się o coś opierał. Aż ludzie zaniepokojeni: żeby mu się tylko nic nie stało, w kościele jest duszno, straszny ścisk. Dziennikarze komentują to na swój sposób: "Okularnik tak mu dołożył".

W końcu udaje mi się oderwać od tych myśli i zanurzyć w modlitwę, która wokół narasta. Spiewa chór. "Gdzie miłość wzajemna i dobroć, tam znajdziesz Boga żywego". Zaczynam odczuwać inny wymiar zdarzenia, większy nad te polityczne przepychanki, które chciałyby narzucić, Papieżowi polska władza. Jan Paweł II jest w innym wymiarze. Świata bez koncepcji i życia bez sensu proponuje koncepcje i sens. Mówi: "Wielu ludzi dziś żyje na progu frustracji wywołanych różnymi okolicznościami współczesnej egzystencji - nie tylko zresztą tu, na tej utrudzonej, doświadczonej ziemi - ale także i w klimacie komfortu i użycia, znamiennych dla krajów "postępu technicznego". Frustracja: poczucie bezsensu życia. Czy jest wyjście z tego stanu ducha? Czy jest dla człowieka jakaś droga? Drogą jest właśnie ten, który "umiłował aż do końca", który może nas "oczyścić z martwych uczynków". Chrystus. Jego krzyż zawsze prowadzi do zwycięstwa.

Miłować aż do końca, żyć odważnie, w zgodzie z prawdą, z sobą samym, iść prostą drogą i pokazywać ją innym. Jak ksiądz Jerzy Popiełuszko. W kościele Wszystkich Świętych w homilii pojawia się dla nas konkretne wskazanie - przykład tego kapłana. Do jego postaci Ojciec Święty powróci podczas tej pielgrzymki jeszcze parę razy.

Przed wyjściem z kościoła tysiące ludzi czekają, aby znaleźć się przez chwilę bliżej Papieża. Warszawa jeszcze się nie poruszyła, ale nastroj drgnął. Przed głównym wejściem w tłumie jeden transparent: SOLIDARNOSC ŻYJE I UCZY NAS ŻYC GODNIE. Kiedy Ojciec Święty będzie wychodził, na pewno zobaczy. Zobaczył. Teraz milicjanci próbują złapać tych od transparentu /milicji niesamowita ilość, a na kolejnych etapach będzie coraz więcej/. Szarpanina. Przeszkodziła im nagią ulewa. Istne oberwanie chmury i burza z piorunami. Milicja też chowa się do bram.

PRAWDA I MILCZENIE

Lublin. Od tego etapu Papież będzie dawał nam lekcje, udzielał korepetycji. Każemu narodowi. Różnym grupom i środowiskom, po kolei. Według programu ułożonego starannie, przemyślanego w szczegółach, z wielką znajomością sytuacji i nastrojów.

Lublin zna dobrze z lat swojej pracy na KUL-u. Także z historii. Wiemy, czym było to miasto w historii Rzeczypospolitej, tu miało miejsce wiele ważnych wydarzeń, wśród nich brzemienne dla dziejów Polski i Litwy fakt podpisania Unii, zwanej Lubelską, pociągający za sobą po dziś dzień trwałe skutki także w życiu kościoła pod postacią problemu uniów. Jeśli rzeczywiście spotykają się w Polsce Wschód i Zachód, to chyba właśnie gdzieś tutaj w Lublinie jest ta nieuchwytna granica, zarazem najbardziej wrażliwe miejsce styku. Tu czuje już "Rosję", o wiele bliżej niż w Gdańsku, w obyczajowości, także w myśleniu. A z KUL-u o wiele bardziej niż z Uniwersytetu Gdańskiego widać wielki światowy horyzont, jaki otwiera nauka.

W lekcji lubelskiej są umieszczone dwa bardzo istotne akcenty papieskiej nauki, dwa problemy: odpowiedzialność inteligencji, uczonych, intelektualistów. I odpowiedzialność księdza.

Do osoby księdza i kościoła jako instytucji, papież powróci jeszcze kilkakrotnie, to pozwala przypuszczać jak temat jest dla niego ważny i gorący. W Lublinie podczas mszy świętej na Czubach, wyświęcając pięćdziesięciu nowych kapłanów podkreśli tę doniosłość wobec przeszło miliona wiernych.

Warto tu zwrócić uwagę na metodykę całej tej gigantycznej operacji dydaktyczno-wychowawczej. Będą wielkie masowe spotkania, najczęściej połączone z mszą świętą, nie zawsze transmitowane przez telewizję, o tematyce powszechnie zrozumiałej, dla wszystkich dostępne: ksiądz i kościół w polskim życiu /Lublin/, wieś /Tarnów/, historia czyli kim jesteśmy jako naród /Kraków/, rodzina /Szczecin/, praca i urządzenie życia społecznego /Gdynia, Gdańsk/, młodzież /Westerplatte/, powołanie kobiety i wychowanie dzieci w wierze /Łódź/ - to coś jakby wykłady otwarte, dotyczące spraw elementarnych. I obok - zajęcia fakultatywne, seminaria dla mniejszej grupy uczestników, profesjonalnie znających swój problem, w których uzupełnia się tamte myśli.

W Lublinie Papież zaczyna od seminarium, ale o ponadśrodkowym znaczeniu. Jest to spotkanie z polskim światem nauki.

Po oficjalnej Warszawie KUL przypomina jakąś enklawę radosnej twórczości i swobody. Krużganki dawnych carskich koszar, gdzie w 1919 roku w niepodległej Polsce umieszczono nowo utworzony uniwersytet katolicki, nadają temu miejscu atmosferę zupełnie zaskakującej kameralności, jakiej nie spotkasz na wielkich nowoczesnie rozbudowanych uczelniach. Wprawdzie i KUL zaczął się ostatnio rozbudowywać. Pamiętam jak w 1981 roku wręczano doktorat *honoris causa* Czesławowi Miłoszowi, laureatowi nagrody Nobla, właśnie w świeżo oddanej do użytku wielkiej auli. Dziś ma być poświęcony przez papieża kamień węgielny pod nowy gmach. Ale to wszystko jakoś się tutaj wkomponowuje bezboleśnie w całość starego uczelnianego kompleksu z jego niepowtarzalnym klimatem, z czworokątem dziedzińca pośrodku, przywodzącego na myśl amerykański college. Na tym dziedzińcu stoi teraz pomnik. Utrwalił on żywcem prawdziwą scenkę, najpierw utrwaloną przypadkowo na zwykłej czarno-białej fotografii przez Arturo Mari, watykańskiego fotografa, który okazał się w tym momencie poetą swojego zawodu. Wszyscy znają to zdjęcie: nowo wybrany papież Jan Paweł II, do niedawna polski kardynał Wojtyła, ściska z oddaniem i podnosi z kłęczek prymasa Polaka Stefana Wyszyńskiego, który całuje jego rękę; trwają tak we wzajemnym uścisku.

Dziedzińiec nasuwa mi na pamięć jeszcze jeden obraz, z tej samej niedalekiej przeszłości, a już tak zamglony; Wałęsa w otoczeniu studentów i pracowników naukowych rozprawia po swojemu, z humorem o tym, na czym się zna i na czym się nie zna, a poeta Miłosz i ówczesny rektor ojciec profesor Krąpiec patrzą w niego z zachwytem jak urzeczeni. Z wystąpienia rektora KUL-u zarejestrowałem wtedy coś, co mnie bardzo zaskoczyło, że jest to uczelnia, gdzie studiuje najwięcej dzieci z rodzin chłopskich i robotniczych, około osiemdziesiąt procent, gdy w państwowych szkołach wyższych ten procent trzyma się gdzieś przy dwudziestu.

Przed naszymi oczami przesuwa się galeria wybitnych polskich profesorów, którzy właśnie zajmują miejsca w wielkiej auli. Dziennikarze próbują szeptem ich zidentyfikować: Białkowski, rektor UW, Gierowski z UJ, Stelmachowski, księża profesorowie Pastuszko, Jaworski, Gogacz, emerytowany profesor Zakryś, lubelski chirurg o ogólnopolskiej sławie. Są reprezentowane wszystkie typy uczelni, nie tylko uniwersytety, wszystkim rektorom na życzenie papieża wysłano zaproszenia z urzędu. Jeden nie przyjął, wielu nie skorzystało, tak postąpili rektorzy gdańskich wyższych uczelni poza Politechniką, która jest oficjalnie reprezentowana przez swojego rektora prof. dr hab. inż. Eugeniusza Dembickiego. Rozpoznają jednak pracowników naukowych naszego Uniwersytetu i Akademii Medycznej, zaproszonych indywidualnie. Spośród rektorów uczelni artystycznych Andrzej Łapicki. Aula nabita jest po brzegi.

Na dziedzińcu natomiast zgromadziła się młodzież studencka i ci pracownicy KUL-u, którzy nie znaleźli się na bardziej ekskluzywnym spotkaniu o zasięgu ogólnopolskim.

Przybysza papież. Widoczny w swojej bieli z daleka, przesuwa się korytarzami pierwszego piętra, co chwilę stając w oknie, tak że ludzie z dziedzińca widzą go i wiwatują, robi się wesoły rejwach, co widać nastraja Ojca Świętego pogodnie, bo gdy wchodzi

między profesorów, wygląda jak odmieniony, młodszy niż wczoraj, wyższy. Czuje się tu u siebie. W dwu pierwszych rzędach wita się z każdym z osobna. Siedzą tam osoby dobrze mu znane, współpracownicy, koledzy; ściska ich, niektórych całuje, klepie po ramionach, na przykład ściska profesora Stycznia, swego następcę na katedrze etyki. Usadowionych na podium biskupów z prymasem pozdrawia tak jakoś po łobuzersku, potrząsając w górce dwiema skrzyżowanymi dłońmi, jak to się robi, żeby powiedzieć: trzymajmy się, nie dajmy się. Dopiero teraz widzę, jak potrafi być ujmujący, pełen prostoty i poczucia humoru. Ale gdy chór zaczyna śpiewać: "Gaude mater Polonia", twarz papieża staje się poważna.

Ci profesorowie to partnerzy, ludzie najbardziej godni zaufania. Powinni lepiej od innych rozumieć jego troskę. Wiele trosk. Najbliższa, w zasięgu wzroku, dotyczy spraw codziennych - perspektyw studiującej młodzieży, tej, która często nie ma innego wyjścia, jak tylko wyjechać. "Mamy bardzo wielu zdolnych młodych ludzi /.../ Jakie są perspektywy tego pokolenia? Ktoś musi nad tym myśleć. Właśnie wy - sugeruje papież. Mówi kategorycznie: musicie. Zdobyć się na wysiłek i odwagę. Wziąć na siebie odpowiedzialność za podmiotowość tego społeczeństwa i narodu. Być uczonymi, nie przyczynkarzami, którzy nie wiedzą po co pracują, czemu i komu służą. Musicie. Musicie bronić etosu nauki, przez którą przebiega linia spotkania z filozofią, w szczególności z etyką, a także poniekąd z teologią", ponieważ wizja rzeczywistości odrzucająca istnienie Boga okazała się nie tak płodna poznawczo jak się być wydawała i bardzo niebezpieczna w praktyce.

I żeby wzmocnić oddziaływanie swoich słów, nadać im charakter osobistego zobowiązania, papież życzy sobie, choć czas nagli, a protokół tego nie przewiduje, poznać każdego osobiście. Ustawia się kolejka i profesorowie przez godzinę podchodzą do papieża.

Po południu na Czubach. Położone na obrzeżach największej lubelskiej dzielnicy LSM, Czuby z drugiej strony, jak to mówią, siedzą nogami w kartoflach. Jest to rozległy pagórkowaty teren łąk i nieuprawnych pól, wieś, która nagle znalazła się w środku miasta. I taki właśnie jest prawdziwy Lublin, mimo swoich pięciu szkół wyższych, w tym dwu uniwersytetów. Jest w środku wiejski. Zmieszany z wsią, żyjący z wsi. Przepiętny ludźmi o wiejskim wyglądzie, kobietami w chusteczkach związanych pod brodą. Nasycony wiejską tradycją i obyczajem. Korzeniami zapuszczony w ziemię, taką jaką ona tutaj jest, która widziała niejedno, ciężką do wytrzymania, którą nazywano i która chyba nadal powinna się nazywać w stosunku do takiego Gdańska Polską B, ale która dużo może wytrzymać. Duchota, w powietrzu uwisiałaby siekiera. Żał mi tych starych kobiet o szczerbionych twarzach i sękatych rękach, pokulnych z nazbyt ciężkiej pracy od wczesnego dzieciństwa; widzę ich tu jakoś wyjątkowo dużo, z wężełkiem, z wypchaną siatką w rękę, w rozklepanych pokrytych kurzem pantoflach. Chyba przyszły piechota albo przyjechały z daleka, bo widać na nich utrudzenie. Może z sąsiednich diecezji, sandomiersko-radomskiej lub siedleckiej czyli podlaskiej /Lublin położony w stosunku do nich centralnie, pełni rolę stolicy wschodniego regionu Polski, także dziś celebrowa mszę biskupi tych wszystkich trzech diecezji jako współgospodarze/. Ludziom z tego pokolenia historia nie szczędziła mocnych wrażeń, okupacja w tych stronach była wyjątkowo ciężka, po wojnie też swoje musieli odpokutować. Zresztą kiedy tu było lekko? Za wiarę trzeba było drożej płacić. Diecezja siedlecka - Podlasie i Chełmszczyzna, teren eksperymentalnej

polityki wyznaniowej caratu, spłynęły krwią unitów, katolików obrządku wschodniego, którzy nie chcieli dać się odłączyć od Rzymu i wcielić do cerkwi prawosławnej. Unici istnieją w Polsce do dziś i trzej diakoni obrządku greko-katolickiego, przygotowujący się do kapłaństwa w seminarium lubelskim, będą właśnie wyświeceni wśród tych pięćdziesięciu.

Dlaczego Papież wybrał Lublin jako miejsce, w którym postanowił mówić tak wielkiej rzeszy ludzkiej o kapłanach i do kapłanów? Myślę, że on wie, kim i czym jest tu dla ludzi ksiądz. Że jest wszystkim. Jedynym zazwyczaj, zdolnym cokolwiek zmienić w ich sytuacji duchowej, autorytetem. Jeżeli ma autorytet. Wie też, że jest to teren trudny, gdzie potrzebni są księża o silnej konstrukcji psychicznej, głęboko wierzący, zdolni do poświęceń, do życia w pustce kulturalnej, w osamotnieniu, niepodatni na demoralizację, odporni na naciski.

Czy tacy księża są? Z pewnością tak, bardzo wielu. Lecz sporo jest też skandali, konfliktów między wsią a proboszczem, najczęściej z winy proboszcza, z powodu braku taktu i wycucia potrzeb środowiska. Nieraz okolicznością gorsząca jest pazerność księdza na pieniądze.

Właściwa formacja kapłanów jest więc sprawą życiową Kościoła. Jest chyba także jedyną dziś nadzieją na uratowanie życia społecznego, zwłaszcza w parafiach wiejskich, przed dalszym rozpadem.

Zduszenie autentycznego ruchu ludowego z jego bogatą tradycją samorządową, podmienionego przez sztuczne mechanizmy społeczno-polityczne i osłabienie naturalnych chłopskich mechanizmów obronnych przez starzenie się wsi już zrobiły swoje. Efekt jest upadek obyczajów, alkoholizm, naruszenie tradycyjnych więzi sąsiedzkich i przastarej hierarchii wartości, sowietyzacja, która nie wpuszczona przednim wejściem przez kołchozy, zakradła się jednak od tyłu. Kto w tej sytuacji może skutecznie przeciwdziałać złu? Tylko ksiądz. Dobry ksiądz. To jest sytuacja misyjna. Potrzeba nam coraz więcej księży misjonarzy także w naszej własnej dżungli.

Czy misyjne nastawienie księży jest w tych diecezjach w cenie? Zależy u kogo. Ceniony w Lublinie ksiądz Wacław Oszańca poeta, duszpasterz środowiska twórczego, został przez biskupa "awansowany" do innego kościoła pod zarzutem politykowania. Dlatego, że zaprosił na spotkanie Leszka Moczulskiego. Wstąpił do zakonu. Osłabiło to, ale i wzburzyło skupione wokół niego środowisko. Mówi się w każdym razie, że biskup lubelski ma ambicje wybudować w swojej diecezji tyle kościołów, ile wybudowano przez całe tysiąclecie i dlatego preferuje raczej spokojniejszy kurs i tak zwane trzymanie się ziemi. Inny biskup, obecny rektor KUL-u, też dał dowody realistycznego nastawienia do rzeczywistości. Oczywiście władza mogłaby odmówić rektorowi zgody na rozbudowę KUL-u. Ale chłop z Wąwolnicy musi z kolei rozbudowywać swoją stodołę. **Jednak wieś Wąwolnica zbojkotowała wybory.** Księża w parafiach tym bardziej. Nie wadząc nikomu z reguły w autentyczne problemy swoich parafian się nie angażują.

Tu es Petrus. "Ty jesteś Piotrem" rozlega się pieśń i biją dzwony. Tłum drgnął, skierował twarz w stronę ołtarza. Nie wybuchł nagłymi brawami, nie wydał żadnego okrzyku. Patrzy w milczeniu. Jest to coś, co mnie trwoży, czego nie odczułem już potem nigdy więcej, coś bardzo trudnego do nazwania. Czy to jest obojętność? Czy niedowierzanie, samotność, nazbyt wielka gorycz? Od miesiąca rozrzucano ulotki, niby jacyś sataniści, że zabijają

Papieża, "Nie zginął w Rzymie, to zginie w Lublinie", nikt nie wie, kto to jest, jakaś wynaturzona młodzież, ale milicja nie umie jej złapać. Równocześnie młody ksiądz, KUL-owiec, który zajmuje się sprawami porządkowymi opowiada mi, że wczoraj aresztowano wiele osób, które miały wręczać Papieżowi kwiaty i składać dary, jako powiązane z miejscową papieżcją. Te dwie informacje na raz, a nade wszystko milczenie tłumu, który wydaje się nieprzebrany, a przy tym jest bardzo widoczny sam dla siebie na skutek pagórkowatego ukształtowania terenu i ciągle napiera z determinacją, żeby przesunąć się z doliny bardziej w górę, i jeszcze wyjątkowo nieprzyjemny sposób bycia służb porządkowych, także tych kościelnych, które nie mają litości nawet dla dzieci, nie pozwalają im na chwilkę przysiąść przy barierce, to wszystko wpędza mnie w wewnętrzną niepokój, którego już do końca mszy nie mogę się pozbyć. Boję się o Papieża i lękam się o tych ludzi, żeby sobie nawzajem nie zrobili krzywdy, żeby się nie zgnetli.

W powietrzu wisi upał. Harcerki i harcerze w czarnych chustach /w Lublinie jest bardzo silne niezależne harcerstwo, drużyny Małkowskiego/ poją z plastikowych menażek przeraźliwie spocone staruszki, ale na noszach co chwilę wynoszą zemdlone z tłumu prawie wyłącznie młode dziewczęta. Myślę: czy to pokolenie jest w stanie wytrzymać tyle, ile tamto wytrzymało? Wątpię.

Papież wszedł po obitych niebieską materią stopniach wielkich schodów na szczyt ołtarza pod niebieskim stropem. Nad niego i na tym tle jakby ulatujący w górę ażurowy szkielet krzyża, na którym zawieszono figurę umęczonego Chrystusa, ze stulą na szyi, symbolem kapłaństwa. Patrzy teraz przez moment na rzesze ludzkie, jakby się im jakoś szczególnie przyglądał. Widzę to przez lornetkę. W tym momencie wyskakują w górę i już są nad głowami transparenty. AZOTY, FSC, WSK SWIDNIK, STALOWA WOLA, LUBELSKIE ZAKŁADY METALURGICZNE URSUS, NZS KUL. "OJCZE UMOCNIJ NAS", "Z TOBĄ SOLIDARNOŚĆ". Widziałem po drodze stos połamanych drzewców przy kordonie milicji, tych nie zdołali im odebrać. To przecież tu właściwie zaczął się Sierpień. W lipcu 1980 roku, u lubelskich kolejarzy. Tylko że oni jeszcze nie mieli tego dobrze wyartykułować. Cieszę się, że nie zapomniał. I mrozi mnie znowu nastroj tłumów. Brak reakcji. Patrzaj.

Z głośników płyną smętne pieśni gitarowe, opowiadające o kapłaństwie, muzyka młodzieżowa, może na tę okazję specjalnie skomponowana. *Panie, skąd ta dobroć Twoja? Panie, czemu właśnie ja?*

Neoprezbiter, przyszły kapłan czyta słowa Ewangelii według św. Mateusza: "Wy jesteście solą dla ziemi. Lecz jeśli sól utraci swój smak, czym-że ją posolić? Na nic się już nie przyda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. Wy jesteście światłem świata /.../ tak niech świeci Wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca Waszego, który jest w niebie".

Kandydaci na kapłanów, wybrani ze wszystkich seminariów w kraju, diecezjalnych i zakonnych, są przedstawiani po kolei Papieżowi i towarzyszącym mu koncelebransom. Każdy mówi: "Jestem", wyrażając gotowość przyjęcia święceń.

W homilii Papież rysuje im obraz kapłana, jakim powinni być. I obraz polskiego kościoła, jaki mają budować. "Służycy ludziom! Służycy ludziom na tej polskiej ziemi, na której tak potrzebna jest postuga prawdy ewangelicznej, prawdy wyzwalają-

cej każdego człowieka /.../ Mocą takiej nauki rośnie kościół, rozszerza się dając świadectwo prawdy. A zarazem rośnie człowiek. Człowiek rośnie bowiem przez osąd sumienia, rośnie w obliczu Boga /.../ Ale drodzy Synowie! Aby być wychowawcą sumień, aby prowadzić innych, aby pomagać im dźwigać się z grzechów i nałogów, aby dźwigać "lud upadający", sami musimy być zawsze gotowi stanąć "w obliczu Boga" i "wobec osądu sumienia każdego człowieka". Sami musimy od siebie wymagać. Kapłaństwo jest wymagające. Jest wymagające".

I żeby nie było wątpliwości, wymienia przykłady dobrych kapłanów, z najbliższych nam czasów "ofiarnego aż do śmierci księdza Jerzego Popiełuszki".

Trwa ceremonia święceń. Papież: "Zanim przyjmiecie święcenia kapłańskie, musicie publicznie wyrazić swoją wolę". Neoprezbiterzy: "Chcę". Klamka zapadła. Pięćdziesięciu młodych księży w białych szatach upada na twarz na podłogę przed ołtarzem. Jest to widok przejmujący. Leżą długo, gdy lud odprawia litanie do Wszystkich Świętych, modli się o ich wierność. A o co modlą się oni sami, którzy zdecydowali się być "żywymi i wybranymi kamieniami świątyni Boga?". Czy będą w stanie sprostać konsekwencjom swojego wyboru także w osamotnieniu na zabitej deskami wsi?

Odbywa się "włożenie rąk". "Odtąd ludzi łąwić będziesz, bowiem żniwo wielkie, ale robotników mało". Nowo wyświęceni kapłani przywdziewają nowe szaty i podchodzą do ołtarza, by otrzymać od Ojca Świętego pocałunek pokoju. Ludzie stoją w zamyśleniu.

- Wszyscy chcą dobrych księży, a są tacy jak wszyscy, bo z ludzi są. Jednak może coś się zmieni. Dobrze by było.

Msza kończy się. Papież dziękuje za przybycie tak wielkim rzeszom. Stoją nadal jak wrośnięci. Wtedy dodaje: "Dziękuję wam także za wasze milczenie".

Dopiero ulewny deszcz rusza ich z miejsc.

PRZYPATRZIE SIE POWOŁANIU WASZEMU

Lekcja tarnowska jest repetycją tego, co zostało już wstępnie powiedziane w Lublinie. I tego, co nie zostało powiedziane, lecz co było w tym milczeniu, które Papież z pewnością odgadł i odczytał lepiej ode mnie. Chodzi o wieś - ona była zawsze opoką polskiego Kościoła i przez to polskości. Chodzi tu też o to, że ona już długo tak milczy. Nie dożyła głosu na dobre nawet w okresie "Solidarności". Papież właśnie wybrał Tarnów, żeby ją obudzić. Ziemię Wincentego Witosa. Region największych strajków chłopskich, bogatej tradycji życia publicznego wsi od czasów galicyjskich. Tu rodziły się i miały decydujące wpływy największe partie i organizacje chłopskie dwudziestolecia międzywojennego, które dały ruchowi ludowemu niespotykaną dotąd siłę przebiecia i polityczną atrakcyjność poprzez porywający program socjalnej przebudowy wsi i systemu społecznego państwa. Wojna udaremniła wizję chłopskiej rewolucji parlamentarnej, opartą na własnej tradycji i zdrowym rozsądku, która musiałaby nastąpić w wyniku rosnącej stale przewagi partii chłopskich. Po wojnie komuniści mieli poważny kłopot z eliminacją zwolenników Mikołajczyka i PSL-u. A kiedy już tego dokonano przy pomocy terroru, dawny duch kołatał się jeszcze długo na wsi, nawet pod szyldem ZSL i Samopomocy Chłopskiej, w osobach starszych, nie w ciemni bitych chłopów, pamiętających

mężczyńską. Zobowiązanie wobec ludu, zwłaszcza wobec najuboższych. Musicie być wierni. Musicie być solidarni z Narodem. Stylem życia bliscy przeciętnej, owszem, raczej uboższej rodziny".

Uboństwo, nie wystawność. "Chrystus był ubogi. Nie można głosić Ewangelii ubogim, nie zachowując stosownego do swego powołania ubóstwa".

Przypominając tradycje polskiego kapłaństwa solidarnego z narodem Papież jeszcze raz wymienia "księdza Jerzego z warszawskiej parafii świętego Stanisława Kostki". Już po raz trzeci.

Chce w nich ten wzór utrwalić. Księża w Polsce mają być autentycznymi przywódcami duchowymi, którzy potrafią nie tylko z ludźmi się modlić, ale także wskazać im drogę życia jako konsekwencją postawy chrześcijańskiej. Najlepiej własnym przykładem. Muszą też zbliżyć się do ludzi świeckich, tak w kościele, jak i poza kościołem. "Musicie być zdolni, właśnie we współpracy ze świeckimi, gruntować w sposób przekonujący podstawę etycznego ładu, który jest niezbędny i niezastąpiony w rozwiązywaniu problemów nurtujących społeczeństwo".

Trzeba w tym miejscu skorygować koncepcję kształcenia i wychowania przyszłych księży w seminariach, lepiej ją dostosować do potrzeb, które ujawniły ostatnie lata. Muszą być przygotowani do udzielenia kompetentnej pomocy różnym duszpasterstwom, także ośrodkom duszpasterstwa inteligencji twórców kultury, ludzi nauki i techniki, być zdolni przeprowadzić studium katolickiej nauki społecznej i pogłębić studium chrześcijańskie dla duszpasterstwa robotników, rolników, dla całego szeroko pojętego świata pracy /Papież będzie o tym mówił w Szczecinie/.

Są to bardzo gruntowne rekolekcje dla Kościoła w Polsce. I nowy program do realizacji na przyszłe lata. Rewolucyjny. Choć może to nie jest właściwe słowo, chodzi przecież o ewolucję, trwałą i głęboki proces przemiany polskiego chrześcijaństwa. W bardziej świadome, uczciwsze.

Dwaj młodzi księża z plecakami sprzecają się o coś, wsiadając do autobusu. Okazuje się, że właśnie o to. Jeden aż wymachuje z przejęcia rękami.

- To jest bracie polska teologia wyzwolenia!

Drugi przekonuje go, że przecież Ojciec Święty nie pochwałiał zaangażowania księży w politykę w Ameryce Łacińskiej. Czego w takim razie się trzyma?

Myślę o Ojcu Sławomirze. Czy słuchał Papieża? Jeśli tak, to może mu wraca chęć do życia, ostatnio był załamany.

A TO POLSKA WŁAŚNIE

Kraków, ukochane miasto Papieża. On jest stąd: z tradycji królów polskich, z biskupa Stanisława Szczepanowskiego, ze Skałki, Wawelu, Wszechnicy Jagiellońskiej, z Kościuszki, składającego przysięgę na Krakowskim Rynku, z Wyspiańskiego i Zielonego Balonika. My wszyscy jesteśmy z Krakowa. Lecz jeśli huta w Skawinie rozkruszy w końcu te mury, grobowce - konserwatorzy twierdzą, że zaczynają się rozpadać - to co będzie? Nad miastem wisi ciągle gęsty smog, ulice wydzielają przykry słodkawy zapach. Ale dziś jest tak, jakby się tego nie czuło. Planty, wiosennie zielone, pełne radośnie podnieconych ludzi. Sprzedaje się obwarzanki, kapniki, oranżadę i książki. Kwiaty trzy razy tańsze niż gdzie in-

dziej. Szybko biegną studenci. Górale w guńkach też się spieszą. Znany krakowski fason, taki przymglony, lecz w dużym przyspieszeniu i rozjaśnony słońcem. Wszyscy ciągną w stronę Błoń lub Wawelu. Tam gdzie On będzie. Nastrój jest rodzinny. Krakowianie uważają Papieża za swojego, każdy ma coś o nim do powiedzenia, dawne wspomnienie, zapamiętany szczegół lub anegdotkę. To aż człowieka drażni.

- Ja akurat nie przepadam za Krakowem, nie wytrzymałbym tu długo, wolę Gdańsk i uważam, że Papież bardziej pasuje do nas.

Patrzą zezem. Ale mniejsza o to...

Błonia żyją własnym, intensywnym życiem: modlitwy, śpiewy, dyskusje, sprzeczki o miejsce, że ktoś komuś zasłania, bo za bardzo urosi, trzeba też było rosnąć, w końcu dochodzi do zgody krakowskim targiem, wały z dużym będą się co jakiś czas zamieniać miejscami. Ciekawe, czy to tak rzeczwiście będzie - myślę i już się zgubiłem, nie widzę pleców przewodnika, wpadam w panikę, bo jak się zgubię, to będą mnie służby porządkowe przepędzać raz tędy, raz owędy, nie widzę tu składu ni ładu, nie ma porządnym przejść, organizacja moim zdaniem szwankuje i nie wiem jak tutaj si mogą się w tym bałaganie orientować.

Za chwilę zacznie się msza święta. Papież przybędzie już po mszy, prosto z Tarnowa, helikopterem. Delegacje składają dary, które zostaną mu przekazane. Ksiądz przedstawia ofiarodawców i autorów. Jest wiele dzieł artystycznych, o treści religijnej, patriotycznej i społecznej. Albumy dokumentujące przeżycia Polaków. Tyle mu mamy do opowiedzenia. Chć zdaje się, że on i tak wszystko wie. Są księgi trzeźwości, dokumentujące wysiłki wielu ludzi, zmierzające do wyzwolenia się z łańcuchów. Wiadomo, że Ojciec Święty przywiązuje do tego szczególną wagę.

Wielka owacja, tak witamy grupę dwustu Węgrów. Z Węgrami Kraków był związany przez dziesiątki lat w monarchii austro-węgierskiej, zresztą lubimy ich, cieszy nas, że i oni znowu się ruszają po śmiertelnym ciosie, jaki otrzymali w roku 1956. Budzi ducha Kościoła węgierski, który w ostatnich latach okrzepł.

Pokazuje się kilkanaście transparentów "Solidarności" i każdy wywołuje entuzjazm, bo jest to informacja, że obok są ludzie odważni, bezinteresowni, każdy transparent to nadzieja. Napisy pojawiają się, giną, pokazują się w innym miejscu, wędrują, żeby nie dać się złapać. Więc jest to jakoś zorganizowane. Mam w ręku gazetkę regionu Małopolska w języku angielskim. Mówi o tragedii ekologicznej Krakowa i jest rozdawana dziennikarzom zachodnim.

Lecą helikoptery. Zrywają się brawa, setki tysięcy chorągiewek unosi się w górę, z nimi transparenty. Potem ludzki tłum zamiera. W niebo szybuje piękny wysoki sopran: *Stabat Mater*. Otwiera przed nami krąg wieczności. To potrafi robić także wielka sztuka. Dzięki niej czasem zdarza się nam odczuć, że TO jest w każdym człowieku. W tym momencie Papież wjeżdża po cichu, niezauważony, od tyłu ołtarza papamobilem.

Chór śpiewa jego ulubioną pieśń do słów Norwida:

"Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla d a r ó w Nieba ...

Tęsko mi, Panie ..."

Nieopisany entuzjazm, gdy podchodzi blisko do barierki i macha

nam ręką na powitanie. "Niech żyje Papież!", "Sto lat". Błogosławi nas.

Tu es Petrus. Modli się przed ołtarzem Matki Boskiej Kalwaryjskiej.

Wzruszające słowa metropolity krakowskiego kardynała Macharskiego: "Bądź pozdrowiony Ojciec Święty, gościu nasz umiłowany, Ojciec!".

Napis "WITAJ W DOMU".

Teraz jego słowa. Cytuje apostoła Pawła, fragment listu do Rzymian: "... gorąco pragnę was zobaczyć, aby wam użyczyć nieco daru duchowego dla waszego umocnienia, to jest abyśmy się u was nawzajem pokrzepili wspólną wiarą - waszą i moją".

Głos ma silny i czysty. Cały odmłodniał. "Bóg... któremu służę w głębi mego ducha, głosząc Ewangelię Jego Syna, jest mi świadkiem, że nieustannie was wspominam, prosząc we wszystkich modlitwach moich".

Pod przywiezionym tu specjalnie z Kalwarii obrazem Matki Bożej składa złotą papieską różę. Pod tym obrazem modlił się, gdy jeszcze był dzieckiem. Pewnego dnia zginął ojcu w tłumie pątników, zgubił się, jak te dzieci, których imiona i nazwiska ogłasza się teraz przez głośniki, bo rodzice szukają ich w wielkim przerażeniu. Zginął i odnalazł się - o czym opowiada znany film Zanussiego *Z dalekiego kraju* - przed obrazem, jak Chrystus, którego Maryja i Józef odnaleźli w świątyni jerozolimskiej, a on powiedział - *Czemuście mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego ojca?*

Gdzie to dzieciństwo? Młodość? Jaka długa, niezwykła droga. Większa jej część należy do Krakowa. Tu studiował polonistykę, pracował jako robotnik w Solvayu, pisał wiersze, występował w teatrze Kotlarczyka, obudziło się jego powołanie, został księdzem, potem biskupem i kardynałem. Tu uczył się swojej wielkiej miłości, którą się czuje, gdy mówi do nas słowami Chrystusa: "Jestem z wami... Nie zostawię was sierotami. Przyjdę do was".

Przyszedł. Mówi: "Jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam?" Pokazuje kierunek: tedy, tylko tedy. "Nie możemy poddawać się upadkowi ducha, depresjom. Nie może zdominować nas frustracja - duchowa czy społeczna".

Mówi. "Patrzę na Kraków. Mój Kraków, miasto mojego życia. Miasto naszych dziejów".

Mówi. "Polska, Naród, Ojczyzna" i przywraca wytartym dźwiękom czystość tonu, który budzi skurcz serca. Zastanawiam się w duchu teraz nad tym, czy ja kocham Polskę, jak by nie było - Ojczyznę. Chyba w pewnym sensie tak, ale do jakiego stopnia? Ile jestem gotów poświęcić? Czy jestem patriotą? Czy my jesteśmy patriotami? Bo że on nim jest, jakoś nie mam wątpliwości. On tak. A my? Jakim my o niej mówimy językiem? "PRL". A jednak Ojczyzna.

On modli się za nią słowami księdza Skargi:

"Boże, Rządco i Panie narodów, z ręki i karności Twojej racz nas nie wypuszczaj. I dalej: ... teraz, kiedy tyle sił potrzeba Narodowi, aby zachować wolność, prosimy cię Boże: napełnij nas mocą Twojego ducha. Uspokój serca, dodaj ufności w Twoją miłość... Wzbudź w Narodzie chęć do cierpliwej walki o zachowanie pokoju i wolności. Spraw, abyśmy codziennie stawiali się zdolni własnymi rękami i społeczną solidarnością, wpatrze-

każ, przytulił. Każdemu patrząc w oczy. U niego to wcale nie jest zdawkowe. Kiedy patrzy na ciebie, nawet przez szybę samochodu, wiesz, że cię widzi. Gdy przez chwilę rozmawia, czas się zatrzymuje. On jest z tobą, do nikąd się nie śpieszy. To chyba tylko sprawa Ducha Świętego - mówi moja matka i pewnie ma rację. I dlatego każdy chce być tam, gdzie on jest, choćby z daleka. Niestety tym razem musiałem usiąść przed telewizorem, choć wiem, ile w telewizji pokażą, tyle, że to nie daje żadnego wyobrażenia, czym jest ten pobyt Papieża w Polsce. Ci, którzy nie byli ani na jednym spotkaniu osobiście, niewiele wiedzą. Ale mam nadzieję, że kto tylko mógł, był.

Coś tam jednak widać i na ekranie telewizyjnym. Ołtarz: prosta konstrukcja w drzewie, nad nią symbol Eucharystii, obok rzeźba - orły piastowskie ksiąząt pomorskich, nawiązanie do najstarszych rodzimych tradycji. Po wojnie Pomorze Zachodnie, jak całe Ziemię Odzyskane, długo przechodziło chorobę "integracji z macierzą". Dziś wiadomo, że przeszczep się udał, pokazało się to w ostatnich latach. W wyniku skomplikowanej operacji powstała nawet jakaś nowa odmiana społeczeństwa, bardziej dynamiczna, twórcza. Ton nadają dziś Polsce właśnie te społeczności: Gdańsk, Szczecin, Wrocław. Szczecin idzie równo z Gdańskiem od Grudnia 1970 roku. I tak samo był skreślony przez władzę z programu poprzedniej pielgrzymki. Teraz doczekał się. Biskup Majdański połykając łyżę, opowiada Ojcu Świętemu, jak to było w Sierpniu 1980 roku: "... do ugody, pierwszej w Polsce, szli nasi robotnicy prosząc w wielkich skupiskach strajkowych o mszę świętą, o spowiedź i komunię. Tak się przygotowywał wówczas tegoroczny Kongres Eucharystyczny. Wszędzie w czasie strajku widniały obrazy Jasnogórskiej Królowej Polski. Tak się tutaj przygotowywał obecny Rok Maryjny. I tuż obok Jej obrazów umieszczano Ojciec Święty twoją podobiznę, wiedząc, że jesteś "cały Jej" i że jesteś - Papież z rodu Polaków - "opoką Kościoła" i naszą nadzieją".

Ci, co byli w Szczecinie, opowiadali, że miasto przygotowało się i wyglądało nadzwyczajnie. Skupione w adoracji w nocnych modlitwach w kościołach, pełne rozmachu i pomysłowości w dekoracjach, dobrze zorganizowane, wysprzątane, odświętne.

Lekcja szczecińska ma za temat rodzinę. Rodzina jest w naszej tradycji i kulturze fundamentem. Ten polski fundament zaczął się niebezpiecznie rysować, pękać. Przemęczone pracą zawodową i trudem prowadzenia domu matki, wiecznie w kolejkach, zagonieni mężowie, dzieci na które się ciągle krzyczy, żeby nam dały trochę spokoju, z kluczami na szyi, znerwicowane w szkołach gigantach, samotne babcie i dziadkowie, dla których nie ma miejsca razem w ciasnych mieszkaniach i których nie ma czasu odwiedzić, alkoholizm, wulgarny język tak na ulicy, jak i w domu i tyle ludzkich dramatów, klęsk moralnych w wyniku rozbitcia małżeństw jako efekt tego wszystkiego, a czasem jeszcze rozchwiania koncepcji życiowej. Ateizacja, przez lata lansowany model laicki też zrobiły swoje, człowiek się obejrzy, gdy już jest za późno. Rodzina została poddana próbom nie do wytrzymania. Jeśli trzyma się jakoś mimo wszystko, to jest w tym duża zasługa Kościoła.

Papież pragnie umocnić nasze rodziny, by były one "silne Bogiem": trwałe mimo wszystko, aż do śmierci, obdarzające się zaufaniem, odpowiedzialne za miłość, to znaczy za życie i wychowanie dzieci, prostolinijne, czysto wewnętrznie, głęboko etyczne - przez to odporne na trudności. Rodziny szlachetnych, dzielnych ludzi, którzy odróżniają gdzie strona prawa, gdzie lewa i potrafią stawiać czoła życiu społecznemu.

Nauka Jana Pawła II o rodzinie jest powszechnie znana. I często krytykowana, zwłaszcza na Zachodzie. Że jest w niej maksymalizm nie do zrealizowania. Gdyby trochę zmodyfikował, poszedł na ustępstwa... Lecz jeśli by się odrzuciło radykalizm Ewangelii, łagodząc "nieżyłociowe" wymagania Chrystusa, czy pozostałaby Ewangelią?

Mówiąc o trudnościach, jakie przeżywa rodzina polska, Papież wspominał zdarzenia lat osiemdziesiątych i umowy społeczne /"jaki był sens tych umów? Czyż nie chodziło o wszystko, co odpowiada godności ludzkiej pracy - i godności człowieka pracy? Mężczyzny i kobiety? /.../ Stale więc pozostaje naszym polskim zadaniem praca nad pracą w odniesieniu do podstawowych praw życia rodzinnego"/.

Jest to kolejny ideowy komentarz do działań "Solidarności". Papież używa niemal jej języka: "... rodziny mają prawo do takich warunków bytowych, któreby im gwarantowały odpowiadający ich godności poziom życia i właściwy rozwój. Chodzi tutaj o słuszne wynagrodzenie za pracę, chodzi o dach nad głową, o mieszkanie, poczynając od młodych małżeństw i rodzin dopiero się zawiązujących. Chodzi więc o stałą poprawę warunków życia, a w tym zakresie o sprawiedliwe traktowanie kobiety-matki...".

Rodzina. W końcu wszystko wokół niej się kręci. Wszystko tu się zaczyna i tu się kończy. Gdy jest się młodym marzy się, by opuścić rodzinę i założyć własną, a potem okazuje się to w Polsce trudne do udźwignięcia.

Na koniec Papież zwrócił się właśnie do młodych. Mówił im o tym wietrze od morza, który powiał od Bałtyku na Polskę. Że wiatr jest też symbolem Ducha Świętego. I że nie wolno się przewracać pod byle przeciwnym podmuchem, należy trwać i zwyciężać. Być jak żeglarz. Walczyć również z własną słabością. Dopłynąć.

Podczas mszy następuje odnowienie przyrzeczeń małżeńskich. Wśród darów symboliczny dar życia - świadectwa uratowanych istnień nienarodzonych, zbierany przez ludzi dobrej woli: lekarzy, pielęgniarki, opiekunów społecznych, księży. Wiele z tych dzieci razem z matkami znalazło miejsce w Domu Samotnej Matki, który powstał w diecezji szczecińskiej. Takie domy buduje się też gdzie indziej, w Gdańsku, Lublinie. Są w Polsce rozmaite ziemie niczyje, społeczne ugory: bezdomni, nieuleczalnie chorzy, samotni starcy, ktoś je musi wziąć i orać. Kościół powoli przyzwyczajają się do myśli, że trzeba będzie zakasać rękawy.

Dużo wrażeń mieli też alumni seminariów duchownych, do których Papież mówił długo i z wielkim przejęciem w katedrze. Zgotowali mu potem piętnastominutową owacją niemilkających oklasków. Wszyscy: klerycy, siostry zakonne, księża, biskupi i kardynałowie oklaskiwali ten trudny bezkompromisowy program Kościoła, jaki przedstawił im Jan Paweł II.

Po Szczecinie Gdynia. Jeśli chodzi o myśl papieską etap chyba najważniejszy. Tu zrobił wykład o solidarności. O tym skąd się wzięła. Że była, że jest koniecznością, nadzieją świata. O jej najściślejszym związku z przesłaniem Ewangelii. Odsłaniając ten chrześcijański ewangelicki korzeń, filozoficzną treść naszego doświadczenia lat osiemdziesiątych, Ojciec Święty umieścił je w łańcuchu odczytywanych przez Kościół znaków czasu. Nazwał to, co wymagało nazwania, aby dalej żyć i owocować. Tak, jak żyje polska myśl romantyczna dzięki dziełom Mickiewicza, Słowackie-

go, uzupełnionym przez Norwida - odczytywana wciąż na nowo, w rozmaitych inscenizacjach i interpretacjach. Tym jest *Laborem exercens* i inne encykliki, nauka tej pielgrzymki. Jan Paweł II - wieszcz, romantyk z tego samego posiewu. Teraz widać do jakiego stopnia ten Papież jest z nas, a my z niego. Ojciec Święty, ideolog "Solidarności".

Skwer Kościuszki w Gdyni jest zakątkiem właściwie bardzo kameralnym. Wiodący od centralnej arterii miasta ku morzu deptak, z dwu stron wzięty w kleszcze wysokich domów. Że wzięty w kleszcze, pomyślałem podczas tego spotkania z Papieżem, wpadłem na to obserwując komandosów, którzy stali na dachach z bronią skierowaną na tłum. Wszystko dla bezpieczeństwa Papieża, jednak zbyt widoczne żeby nie czuć się nieswojo. Pod nimi w oknach najwyższego piętra wojskowych gmachów dziesiątki skierowanych w naszą stronę lornetek. Umieszczona na dźwigu kamery telewizyjne BOR-u mają pełny przegląd sytuacji. Młodzi BOR-owcy kontrolują ostentacyjnie biskupów, bardzo dokładnie. Wcześniej wysocy funkcjonariusze milicji zapowiadali, że "w Gdyni mysz się nie prześliznie". I prawie się to udało. "SOLIDARNOSC STOCZNI KOMUNY PARYSKIEJ WITA OJCA ŚWIĘTEGO", jeszcze "STOCZNIA MARYNARKI WOJENNEJ" I to wszystko. Pod drzewami, przy bramkach, gdzie sprawdzano wchodzących leżały stosy odebranych ludziom lasek i parasolek. Widać było kto tu rządzi.

Ksiądz kanonik, który prowadził "konferansjerkę" tymczasem zrozumiał, że jego zadaniem jest utrzymać ludzi w miłym nastroju. Wyszło to bardzo niezręcznie. Biskup Przykucki w słowie powitalnym nie powiedział nic istotnego. Stocznia Komuny Paryskiej nie zaistniała publicznie. Tylko biały krzyż z cierniową koroną podniesiony na ramieniu dźwigu wysoko w niebo jest jak niemy krzyk. Przypomina tamte krzyże z Grudnia 1970 roku stawiane nocą po kryjomu podczas wstydlivych pogrzebów bezbronnym stoczniovców zamordowanych w drodze do pracy. A na wprost na Teatrze Muzycznym fosforyzujący napis: "JESUS CHRIST SUPER STAR". Modny musical. Poza tym cisza i morze.

Nad ołtarzem przeleciała mewa i fruwała na maszt przycumowanego u nabrzeża "Daru Pomorza", legendy międzywojennej Gdyni i niepodległej Polski. Znowu cisza. Tchnienie wieczności, w której roztopia się wszystko, pamięć i ból, historia i współczesność, społeczne dramaty i indywidualna ludzka rozpacz.

Papież zaczyna właśnie od tego. Od mowy morza, nad którym "święty Augustyn prowadził swe rozważania na temat niezgłębionej tajemnicy, jaką jest Bóg - i tej tajemnicy, jaką jest człowiek. Dusza ludzka". O którym jest znane powiedzenie: "Kto nie umie się modlić, niech wypływa na morze".

Gdynska homilia jest poetyckim traktatem filozoficznym, który należy czytać w całości, żeby nie zgubić żadnego ogniwa, myśli, osadzającej świat pracy ludzkiej w dziele Bożym. Również ideę solidarności, od której może zależeć przyszłość ludzkiego świata.

Wpisuję fragmenty do zapamiętania:

"Morze mówi człowiekowi o potrzebie szukania się nawzajem, o potrzebie spotkania i współpracy. O potrzebie solidarności: międzyludzkiej i międzynarodowej. Doniosły jest fakt, że to właśnie słowo solidarności zostało wypowiedziane nad polskim morzem. Że zostało wypowiedziane w nowy sposób, który równocześnie potwierdza odwieczną treść.

... W imię przyszłości człowieka i ludzkości trzeba było wypowiedzieć to słowo solidarność.

... to słowo jest waszą chlubą, ludzie polskiego morza. Ludzie Gdańska i Gdyni, Trójmiasta, którzy żywo macie w pamięci wydarzenia lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych".

I dalej: "... nie może być mowy o żadnym postępie, jeżeli w imię społecznej solidarności nie będą respektowane do końca prawa każdego człowieka. Jeżeli nie znajdzie się w życiu społecznym dość przestrzeni dla jego talentów i inicjatywy. Nade wszystko dla jego pracy".

Na czym polega istota solidarności?

"Solidarność musi iść przed walką. Przed walką. Wówczas ludzkość może przetrwać ... Solidarność to znaczy sposób bytowania wielości ludzkiej, na przykład narodu, w jedności. Przy uszanowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności, jakie pomiędzy ludźmi zachodzą. A więc jedność w wielości, a więc pluralizm - to wszystko mieści się w pojęciu solidarności.

... Powiedziałem: solidarność musi iść przed walką. Dopowiem: solidarność również wyzwala walkę. Ale nie jest to nigdy walka przeciw drugiemu, przeciw człowiekowi... Jest to walka o człowieka, o jego prawa, o jego prawdziwy postęp, o dojrzałszy kształt życia ludzkiego".

Nie marksistowską dialektyką walki klas. Ale też nie kapitalistyczna zasada wyścigu za każdą cenę. Więc co?

W jednym z ostatnich "Tygodników Powszechnych" Kisiel napisał na ten temat jedno zdanie, sceptyczne. Że w tych wszystkich katolickich przemówieniach, których wiele słyszał, nie było żadnej wzmianki o działalności szatana w dziejach ludzkich.

Ten szatan na nas liczy. Na naszą powierzchowność, lenistwo, tchórzostwo. Także na nasz sceptycyzm.

Jerzy Urban w imieniu rządu nabrał po pielgrzymce wody w usta, bo tego nie da się opłuć, trzeba więc przeczekać, aż wszystko potoczy się starą koleiną.

Jednak jest powiedziane w Ewangelii, że można przejść i po powierzchni morza.

WIERZYMY, IDZIEMY PO WODZIE

Ach ten Gdańsk, to po prostu nieprawdopodobne - mówią przyjezdni z całego kraju, bo właśnie tutaj zjechał cały kraj, na mszę dla świata pracy. I dobrze zrobił. Korespondenci zagraniczni przylepiają się do okien autokaru, teleobiektywy, kamery w ruch, ciągle kręcą. To nie jest dekoracja, to radosne szaleństwo. W okolicach Zaspy nie można wypatrzeć okna, które by nie było ozdobione, nie pozostały nawet w tyle żony milicjantów. Poza tym frontony i szczyty bloków, przestrzenie między piętrami i oknami wypełnione szczerle treścią najrozmaitszych napisów, o treści religijnej i społecznej, najczęściej dobrze prze-myślane. Na jednym z bloków hasła wypisane z *Laborem exercens*, wszystkie na temat pracy. Gdzie indziej z *Etyki Solidarności*. A to co? Ludzie pokładają się ze śmiechu, pokazują sobie coś palcami. Poznają. Efekt walki Wielkich Hieroglifów. Pod napisem "NASZ USTRÓJ TO SOCJALIZM" równie wielkimi literami "PANIE DAJ SIŁĘ SWOJEMU LUDOWI" i jeszcze trochę niżej "NIE LĘKAJCIE SIĘ". Efekt komiczny.

Mieszkańcy Zaspy chyba nie spali przez ostatni tydzień, musieli te hasła malować dniem i nocą, potem jeszcze zawieszać,

na pewno ostatniej nocy, pod boki kilkudziesięciu tysięcy milicjantów w mundurach i w cywilu, bo mówi się, że do Gdańska sprowadzono osiemdziesiąt tysięcy milicji, podawana jest też znaczniej większa liczba, wręcz fantastyczna, fakt faktem są w załomie każdego muru, w klatkach schodowych, wszędzie, stoją w zwartych hufcach. Czegoś podobnego nie widziano tu od pierwszych dni stanu wojennego, choć milicji w Gdańsku jest zawsze dużo. A jednak są bezradni, grzeczni, chcieliby się stopić z tłumem, zniknąć, dziś oni się boją, choć nikt nie chce zrobić krzywdy, ale ta radosna feeria wolności będzie im się śnić po nocach i dlatego żeby spokojnie zasnąć, trzeba będzie to wszystko... Potem, jeszcze nie teraz.

W czwartek 11 czerwca po godzinie dwudziestej pierwszej Papież z Gdyni przybył statkiem Marynarki Wojennej do Sopotu. Przejechał papamobilem przez molo i miasto. Błogosławił ludzi, którzy zgromadzili się na trasie przejazdu z Sopotu do Oliwy, gdzie w Seminarium Duchownym urządzono papieską rezydencję. Towarzyszył mu biskup gdański. Ojciec Święty cały czas się modlił. W rezydencji czekała dziesięcioosobowa rodzina Wałęsów. Spotkanie trwało czterdzieści minut. Podobno Papież miał powiedzieć: "Niech Pan nie przysypia, Panie Lechu". Czy jest to jednak informacja od Wałęsy, czy ludzie sami się domyślają, nie wiem.

Piątek był dniem wielu wydarzeń. Rano w Katedrze Oliwskiej spotkanie ze Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim i gdańskimi środowiskami twórczymi. Zaproszonych było 120 osób. Wiele z opozycji, dlatego władze do ostatniej chwili zgłaszały sprzeciwy. Papież poświęcił tablicę ksiąg pomorskich i udzielił zgromadzonym błogosławieństwa. Potem odbył rejs na Westerplatte. Widziałem wspaniałe kolorowe zdjęcia z obydwo rejsów, niestety bardzo drogie, Ojciec Święty w mundurowej kurtce i kapoku. Powitały go w pełnej gali honorowej okręty Marynarki Wojennej, oddano 21 salw armatnich.

Westerplatte wybrał Papież na miejsce lekcji, przeznaczonej dla młodzieży. To temat spod serca. Zaczęty wcześniej, na improwizowanym spotkaniu z młodzieżą przed kuria metropolitalną na ulicy Franciszkańskiej w Krakowie. I jeszcze wcześniej, cztery lata temu na Jasnej Górze, gdy skierował do młodych pamiętne słowa: "Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali".

"Každy z was młodzi przyjaciele - powiedział Papież - znajduje też w życiu jakieś swoje "Westerplatte". Jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić. Jakaś słuszna sprawa, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można "zdezertować". Wreszcie - jakiś porządek praw i wartości, które trzeba "utrzymać" i "obronić", takich jak to Westerplatte. "Utrzymać" i "obronić" sobie i wokół siebie. Obronić - dla siebie i dla innych".

Innymi słowy: nie uciekajcie z tego kraju, nie zostawiajcie go na pastwę losu, walczcie o niego.

Był to wykład o moralności i kształtowaniu charakteru, o tym, co jest w życiu ważne. Że ważniejsze niż "mieć" jest "być". Bądźcie więc poprzez tę walkę, przeciw pokusie rezygnacji, obojętności, wątplenia, emigracji wewnętrznej czy zewnętrznej, samozniszczenia przez alkohol i narkotyki. Wiemy, że jest wam ciężko. Waszym poprzednikom też nie było lekko. Trzeba mieć charakter. Tylko wy możecie tutaj coś zmienić, uratować ten kraj, wy młodzi. Jeżeli będziecie silni. Silnym pomoże wam być Chrystus.

6. Zaufajcie Ewangelii, z niej uczcie się żyć, bo nic lepszego nie ma na tym świecie.

Proste? - pytam byłego działacza NZS, o którym wiem, że nie ma pracy w zawodzie socjologa i ciągle siedzi z żoną na walizkach. Patrzy na mnie bezradnie, zaciskając zęby. Nie mówi ani tak, ani nie.

Po Westerplatte spotkanie z chorymi w Bazylice Mariackiej. Wstrząsające. Tyle cierpienia. Nigdy nie przestajemy się buntować przeciw cierpieniu, chorobie, śmierci. Ale gdyby nie ten punkt odniesienia, nie byłibyśmy w stanie uznać swojej ograniczoności. Co wtedy zrobiłby człowiek innemu człowiekowi? Papież udzielił najciężej chorym sakramentu namaszczenia. Modlił się długo w skupieniu, ukrywając twarz w dłoniach.

Po drodze z Bazyliki wstąpił pod Pomnik Poległych Stoczników. Każdy chciałby tam z nim być w tym momencie. Okazało się to absolutnie niemożliwe. Zasięki, zagrody, kordony, nikt nie powołany nie mógł się do pomnika przedostać, a zdecydowana większość to niepowołani. Nagle maszeruje swobodnie w stronę krzyży grupa mężczyzn w odświętnych garniturach - gdańskie władze zorganizowały publiczność. Taką, która nie będzie krzycheć "Solidarność" ani śpiewać "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie". To organizowanie publiczności przejdzie do lokalnej anegdoty. Wybierano kandydatów spośród partyjnych w zakładach pracy, dokonując surowej selekcji, żeby się nie zaplątał jakiś entuzjasta. Resztę dowiedziono z pegerów województwa, instruując ich, że mają być sicho. Obiecali, że będą i byli, jak niektórzy mówią - i tak szczęśliwi, że widzieli papieża. W ten sposób wyselekcjonowano siedem tysięcy osób. Oczywiście wszystko wcześniej się rozniosło, Papież też już wiedział. Złożył kwiaty, czterdzieści dziewięć żółtych i białych róż i modlił się sam, w milczeniu. Jest teraz takie zdjęcie, które udało się zrobić z jakiegoś okna z bardzo daleka "Gwieździe Morza": samotna biała sylwetka pochylona przed krzyżami. I daleko na obrzeżach ci spokojni, cisi ludzie. "Opatrzność Boga nie mogła sprawić nic lepszego - powiedział potem Ojciec Święty - bo w takim miejscu milczenie jest krzykiem". Po powrocie do rezydencji odprawił samotnie w kaplicy Drogę Krzyżową.

Władza łudziła się więc co do Gdańska. Musiało im się wydawać, że panują nad sytuacją. Ludzie wiedzieli, że tak nie będzie. Mimo to Zaspą jest dla wszystkich zaskoczeniem, nawet dla nas samych. Więc nie rozmyło się do końca, t o w s z y s t k o gdzieś tu jest. Sobie też mamy coś do wyrzucenia: ostatnio za mało było mowy o wartościach, za dużo prowadziło się w "Solidarności" "polityki". Brak też działaczy z charyzmą. I żyje się ciężko. I ta propaganda.

"CZUWAMY, WIEC WSPOMÓŻ NASZĄ NADZIEJĘ", "TRWAMY Z NADZIEJĄ, WBREW BEZNADZIEI", "CZŁOWIEK GDY CHCE JEST WOLNY", "POBŁOGOSŁAW, DZIEŁO SIERPANIA", "POBŁOGOSŁAW GDAŃSKICH STOCZNIKÓW", "PROWADZ NAS".

Dziś składamy sprawę w jego ręce. Prowadź nas, ty jesteś naszym przywódcą.

Myślę o tym, jak wiele energii jest mimo wszystko w narodzie i jaki kapitał jest trwoniony w jałowej próbie sił. Myślę poza tym, że trudno jest tym narodem kierować, gdy się go nie lubi.

Nad przestrzenią dominuje ołtarz. Jestem pewny, że to właśnie on obudził w ludziach poczucie potęgi i wolę walki. We mnie

budzi podobne uczucie. Przychodzili pod ołtarz, patrząc jak rośnie i rośli razem z nim, chcieli mu sprostać. Przypuszczam, że nie byłoby aż takiego wystroju miasta. Co oznacza ten okręt z wielkim żaglem? Wszystko. Kościół. Wiarę. Ludzkie marzenie. Naszą ideę. Tęsknotę do wolności. Żagiel jednocześnie jest starym spłowiłym obrazem pełnym świętych i aniołów - aluzją do historii kultury, inspirowanej przez metafizyczne niepokoje. Na dziobie figura Piotra, w rękę księga i klucze, to on, głowa Kościoła, przewodnik, opoka. Na ołtarzu rzeźbiony tron z panoramą starego Gdańska, zwieńczony tęczą, znakiem nadziei. Tron iście królewski. Na nim zasiadzie współczesny Piotr, Jan Paweł który przywraca dziś narodowi dumę, budzi ambicje. Trzeba go przyjąć po królewsku, jak w dawnym Gdańsku bywało. Nad całością górują trzy krzyże masztu, to najwyższy, z daleka widoczny element naszego statku, punkt orientacyjny, jednocześnie kręgosłup konstrukcji, sam rdzeń naszej tożsamości - współczesność, "Solidarność". Na maszcie łopoczą flagi, polska i papieska. Piękny ołtarz. "Piękno na to jest, by zachwycało do pracy. Praca - by się zmartwychwstało"-to dziesiątki razy cytowany przez Papieża Norwid.

Nagle poszły w górę dziesiątki wielkich transparentów "Solidarności", więcej niż sto, w różnych sektorach, na całym placu. Na jednym napis "ZABRALI NAM WSZYSTKO W DRODZE. "SOLIDARNOŚĆ" KIELCE". Ten zdążyli już namalować na miejscu. Ciekawe jak to zrobili. Można sobie wyobrazić, jaka była kontrola. Szczególnie jeden z napisów budzi zainteresowanie: "ŻĄDAMY UWOLNIENIA KAPITANA SB ADAMA HODYSZA". Co to za jeden ten Hodysz? Mało kto wie dostał sześć lat za współpracę z "Solidarnością" w stanie wojennym. Gdy była amnestia, przeniesiono go do kryminalnych, siedzi za korupcję. Jest mu bardzo ciężko, kryminaliści znęcają się nad "gliną", ale zachowuje godność. Był pomysł, żeby zwrócić się z prośbą o interwencję do Papieża. Nie, oni go nie wypuszczają.

Transparenty z Wrocławia, Warszawy, Poznania, Bydgoszczy, Nowej Huty, Płocka, Lublina... Jak w 1981 roku. Prezentują się wszystkie regiony i wielkie zakłady pracy, duże i mniejsze miejscowości. Tego oczywiście Polska nie zobaczy, nie pokaże się w telewizji. Nic nie będzie z Zaspą nawet w radiu. Jest jednak transmisja telewizyjna dla programu lokalnego. I teraz Krzysztof Bartnicki z ekipą gimnastykuje się okropnie, żeby tego wszystkiego nie pokazać. Jak to ukryć? Śmiejemy się z nich prosto w oczy, krzyki: "uważaj, transparent, trzeba wymiksować!". Dlak reakcji, pokerowa twarz. Ale chwilami i oni nie wytrzymują, zrywają się ze swoich stanowisk i wchodzą na krzesła, żeby "to" lepiej zobaczyć, rzucić okiem na coś, czego w ich sprawozdaniu nie będzie. Koleżanka obok mówi: "żał mi tych zaprzańców". Ale ja ich nie żałuję, producentów trucizny.

Obok zajście mniej przyjemne. Starsza jejmość, wygląd przeciętnej kobiety polskiej kolejkowej mówi ze złością do dwu osób trzymających solidarnościowy transparent: "Weźcie tę szmatę". Przeszkadza jej, nie zobaczy Papieża, a jest ciekawa. Jakaś harcerka reaguje błyskawicznie: "sama jesteś szmata". Podobnie przy innym transparencie: "schowajcie to, bo szkodzicie waszej sprawie". Tak to zostało powiedziane: waszej, nie: naszej. Wiele ludzi dystansowało się. Bali się czy już zapomnieli? Może to nie byli ludzie z Gdańska - żudzę się. Ale większość tym najodważniejszym biła brawo.

O piętnastej dwadzieścia wchodzi Papież z orszakiem, błogosławi te napisy, ten naród, uniesienie, tchnienie wolności. Ten

ołtarz. Mam wrażenie, że jest zdumiony. Chcieliśmy okazać się Ciebie godni Ojczy Świątą. W górze ponad milion różnokolorowych apaszek, jak łań kwiatów na łące. "Pod Twoją obronę Ojczy na niebie". Zaczyna się msza święta. Biskup Tadeusz Gocłowski, kończąc słowo powitalne, mówi to, co my wszyscy chcielibyśmy powiedzieć:

"Ludzie pracy z całej Polski wyrażają Ci swoją wdzięczność za wybór Gdańska na spotkanie z nimi oraz za słowa nadziei, jakie wypowiadałeś do nas i do świata w obronie ideałów, które tu w Gdańsku formułował świat pracy, kierując się nauką kościoła zawartą przez Ciebie, Ojczy Świątą, w encyklice *Laborem exercens*. Wsłuchani dziś w Twoje słowa pragniemy na nich budować przyszłość katolickiej ojczyzny".

"Pokój z wami.

I z duchem twoim

Boże przyjmij nasze modlitwy i udziel nam swojej pomocy w doświadczeniach życia ..."

Czytanie z księgi Rodzaju: "Bóg rzekł: Uczynimy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam. Niech panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym, nad bydłem, nad całą ziemią i nad wszelkim gadem i ptaszem... Po czym Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną...".

Piękny śpiew kleryka. Słowa psalmu: "Czym jest człowiek, że o nim pamiętasz, czym syn człowieczy, że troszczysz się o niego?".

Czym jest człowiek? Czym jesteście my, zgromadzeni tutaj? Nasza wiara? Nasze chrześcijaństwo?

Czytanie z *Listu świętego Pawła Apostoła do Galatów*: "Jeden drugiego brzemiona noście i tak wypełnicie prawo Chrystusowe... Ten, kto pobiera naukę wiary, niech używa ze wszystkich swoich dóbr temu, kto go naucza... A co człowiek sieje, to i żąć będzie... W czynieniu dobrze nie ustawajmy, bo gdy pora nadejdzie, będzie zbierać plony, o ile w pracy nie ustaniemy. A zatem dopóki mamy czas, czynmy dobrze wszystkim, a zwłaszcza naszym braciom w wierze. Oto słowo Boże".

Alleluja, alleluja, alleluja.

Słowa Ewangelii według świętego Mateusza: "Jezus opowiedział uczniom następującą przypowieść: "Królestwo Niebieskie podobne jest do gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swojej winnicy. Umówił się z robotnikami o denara za dzień i posłał ich do winnicy...".

Homilia Ojca Świętego jest komentarzem do tych czytań i do dzisiejszej Ewangelii. Co to znaczy, że Bóg daje człowiekowi ziemię i zadaje mu ją? Czym jest praca ludzka? Umowa o pracę? I że "jeden drugiego brzemiona noście"?

Komentarz jest zupełnie współczesny, bezpośrednio związany z tym, co niedawno przeżyliśmy, z "Solidarnością".

"... Jeszcze raz wyrażam radość, że mogę na tym etapie Kongresu Eucharystycznego być z wami w Gdańsku. W tym mieście bowiem a równocześnie na całym Wybrzeżu Bałtyckim oraz i w innych środowiskach pracy w Polsce podjęto ogromny wysiłek zmierzający do tego, by ludzkiej pracy przywrócić jej pełny wymiar osobowy

i społeczny ... Praca to człowiek ... Za pracę ludzką trzeba zapłacić i równocześnie na pracę człowieka nie sposób odpowiedzieć samą zapłatą. Przecież - jako osoba - jest on nie tylko "wykonawcą", lecz jest współtwórcą dzieła, które powstaje na warsztacie pracy. Ma również prawo do stanowienia o tym warsztacie. Ma prawo do pracowniczej samorządności - czego wyrazem są między innymi związki zawodowe: "niezależne i samorządne", jak podkreślono właśnie tu, w Gdańsku...

Drodzy bracia i siostry. Ludzie pracy, środowiska pracy na całym świecie dziękują wam, żeście podjęli tę walkę i trudną "pracę nad pracą". Żeście podjęli tę szlachetną walkę, zmaganie się o godność ludzkiej pracy. Kościół dziękuje wam za to, żeście ją podjęli w obliczu Chrystusa i Jego Matki".

Dokonał czegoś niezwykle, nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości, zepchnął z "Solidarności" górę śmiecia i brudu, którym już ją przysypano. Znowu władza będzie miała z tym sporo roboty.

STANAŁ NA MOSTKU KAPITAŃSKIM

Wbrew zaleceniom o zachowaniu ostrożności. Wstał z osłoniętego szkieł tronu i szepcząc do biskupa: "powierzmy się Bożej opatrności" - poszedł energicznym krokiem na mostek, żeby być bliżej tej fali ludzkiej. Stąd głosił homilię. Teraz widząc, co się dzieje, gdy oszaleliśmy z radości, wiwatując, krzycząc, płacząc, postawił kropkę nad i: "Staralem się w swoich słowach mówić o was i mówić za was. Żywię bowiem głębokie przeświadczenie iż to, co się zaczęło dokonywać tu w Gdańsku i na Wybrzeżu, i w innych środowiskach pracy w Polsce, ma wielkie znaczenie dla przyszłości ludzkiej pracy i nie tylko na naszej ziemi, ale wszędzie ... Codziennie się za was modłę tam w Rzymie i gdziekolwiek jestem. Codziennie się modłę za moją Ojczyznę i modłę się za ludzi pracy. I modłę się za to szczególne, wielkie dziedzictwo polskiej "Solidarności". Modłę się za ludzi, którzy są związani z tym dziedzictwem; w szczególny sposób za tych, którym wypadało, czy wypada, ponosić ofiary z tego powodu. I modłę się nie przestanę, bo wiem, że jest to sprawa wielka..."

Niemilknące brawa ucisza dopiero modlitwa. W czasie liturgii transparenty znikają, by pojawić się później.

"Modłmy się za wszystkich, którzy oddali życie na posterunku pracy i w obronie godności Ludzi Pracy, aby Bóg przyjął ofiarę ich życia".

"Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie".

"Zaprawdę święty jesteś, Boże i słusznie Cię sławi wszelkie stworzenie..."

"Ojcze nasz któryś jest w Niebie ...

Pokój pański niech zawsze będzie z wami ... Przekażcie sobie znak pokoju.

Serdeczna Matko, Opiekunko Ludzi

Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi

Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy,

zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy".

Wśród przyjmujących komunie świętą z rąk Papieża jako jedni z pierwszych Danuta i Lech Wałęsowie. Kamera telewizyjna daje

daleki plan, żeby nie było ich widać.

Śpiewamy *Jak szczęśliwa Polska Cała*. Patrzymy w niego. Boże, choć wszystko jest przemijające, także nasze zrywy i nadzieje, pozwól je nam zrealizować, to polskie marzenie o wolności. I daj nam mądrość, byśmy umieli być wolni.

Między sektory w pobliżu ołtarza, korzystając z komunijnego zamieszania wchodzi zwrta grupa z transparentami, mały pochód. To spóźnieni z Warszawy, niosą olbrzymi napis "Solidarność Wola", tam jest silne duszpasterstwo ludzi pracy, w kościele u Redemptorystów. Gdy msza się kończy, transparenty z różnych sektorów przebijają się w stronę wiaduktu, gdzie ustawia się regularny wielki pochód. Powoli cały tłum rusza za nimi. Potem władza dała kategorię na odpowiedź na słowa Papieża.

Szliśmy w nastroju pikniku aż do ulicy Mickiewicza, rozmawiając, żartując między sobą, śpiewając pieśni religijne, panował duch wspólnoty. Mieszkańcy mojących domów rzucali nam kwiaty z okien, wystawiali ręczniki z napisem "Solidarność", pozdrawiali tych, co szli. Przeciągnęliśmy "ooo!" wyrażono uznanie dla kolumny harcerzy, zdaje się, z Zielonej Góry, którzy wymijali wszystkich z wigorem, podnosząc miarowo kolana i przebijając się do przodu z piosenką harcerską na ustach. Na przedzie pochodu szli Borusewicz, Bujak, Rulewski, Frasyniuk, Lis i inni znani działacze, ale bez Wałęsy /słychać było pytania: gdzie Lechu?/, do Gdańska ściągnął cały aktyw. Był zamiar, żeby dojść do pomnika i tam się rozjechać. Szedłem z tyłu, daleko za transparentami. Ludzie, którzy szli obok stopniowo zaczęli wyciekać, wsiadać do swoich autokarów i kolejki elektrycznej. Przy ulicy Mickiewicza pojawił się pierwszy samochód milicyjny, badał sytuację, widocznie w Warszawie podjęto decyzję. Przy Miszewskiego już brali nas w cztery ognie. Pochód rozbił się na dwie duże grupy i kilka mniejszych, jedna z tych większych doszła ponoć bokiem do Opery i tam została rozproszona, jedna z małych przedarła się aż do dworca, inna miała starcie z milicją koło Zielonego Trójkąta. Na nas uderzono na Grunwaldzkiej. Niespodziewanie znalazłem się tuż przy transparencie i przy chłopcu który miał w rękę mikrofon i drżącym głosem wydawał polecenia, aby utrzymać w grupie spokój, bo atmosfera zaczęła się zagęszczać. Powiedziała: "pomódlmy się, usiądźmy na jezdni, może na siedzących nie uderzą". Uważałem, że trzeba schować transparent i uciekać, milicja była już przy nas. Ale ci młodzi, skandując "demonstracja pokojowa", siedzieli nadal, na wszelki wypadek zasłaniając głowę rękami. Poszedłem szybkim krokiem w stronę kolejki, prosto na kordon milicji, który się jakby ociągał. Gruby starszy oficer o nalanej twarzy, czerwonej z wściekłości dodawał funkcjonariuszom zachęty: "bezpardonowo z nimi, kurwa ich mać, legitymować, odbierać wszystko i dać nauczkę". Za milicjantami szkołał się do ataku oddział ZOMO, już w hełmach z plastikową osłoną na twarzy, z podniesionymi tarczami. Przejechała nad nimi kolejka i dowódca krzyknął: "odsuwać się od torów". Odskokczyli w bok w popłochu, choć ludzie z kolejki, usposobieni dziś przyjaźnie, śmiali się tylko i machali do nich rękami pojednawczo. Na dworcu we Wrzeszczu do wagonów zaczęły wciskać się przerażone dziewczęta, które uciekły z ulicy Miszewskiego. Mówiły, że bardzo bili.

Wieczorem około godziny dwudziestej drugiej, gdy było już po wszystkim, patrzyłem z okien we Wrzeszczu, jak konwoje milicyjne z milicjantami mundurowymi i w cywilu ruszyły w stronę Warszawy. Wymarsz trwał półtorej godziny. Autobusy, ciężarówka, suki.

KOŚCIÓŁ - MATKA NASZA

Z Gdańska Papież udał się do Częstochowy, oddać naród w opiekę Maryi. Modlił się o trzeźwość, o opamiętanie z alkoholizmu.

Za Papieżem pojechali Barcikowski i Ciosek. Aby upomnieć Ojca Świętego, że się zagalopował, może prosić o złagodzenie tonu wypowiedzi na dalszych etapach pielgrzymki. Podobno rząd wystosował *demarche* do Stolicy Apostolskiej, gdy jeszcze trwała msza na Zaspie. Po mszy też swoiste *demarche*, czyli "nauczka". Raz prośbą, raz groźbą. Papież nie zareagował, tonu nie zmienił.

Jedna Łódź była po myśli generała Jaruzelskiego. Witająca Ojca Świętego w "Uniontexie" delegatka włóknienek mówiła cały czas o pokoju. Zgodnie z zaleceniem dyrekcji i komitetu zakładowego nie przygotowano dekoracji. Sekretarz nie pozwolił pierwszej zmianie przynieść kwiatów, to nie przyniosły. Potem przekonsultował i zmienił zdanie, więc kobiety z drugiej zmiany miały po kwiatku. Mimo to umiały krzyże w halach, ale ktoś starannie to "wysprzątał". Na ścianach wisiały slogany, zachęcające do wydajniejszej pracy, jakby włóknienki nie pracowały już i tak ponad siły.

Dziennikarzom piszącym zabroniono wstępu do "Uniontexu", żeby nie zobaczyli na własne oczy i nie mieli okazji się dowiedzieć jak jest dzisiaj na tej "ziemi obiecanej". Trochę statystyki: na 100 kobiet w młodym wieku 35 cierpi na anemię, w Łodzi jest najwyższa umieralność niemowląt w Polsce /21,9 prom./, najniższe - przyrost naturalny, płodność kobiet, współczynnik urodzeń żywych, dwie trzecie włóknienek cierpi na choroby związane z trudnymi warunkami pracy, pracą w nocy, w hałasie /ponad 90 decybeli/, upale, wilgoci w wibracjach. Włókienniczy park maszynowy w 16 procentach pochodzi z lat 1897-1910, czyli okresu *Ziemi obiecanej*. Liczba zarejestrowanych alkoholików wynosi 30 tysięcy, w tym około 20-25 procent kobiet. Przeciętne wynagrodzenie w przemyśle znajduje się o 14 procent poniżej średniej krajowej. Wzrost wynagrodzeń osiągnął jest w 26 procentach w wyniku godzin nadliczbowych, a w 43 procentach przez pracę w wolne soboty. Są to dane według "Tygodnika Powszechnego", który napisał również, że miasto było ponure, bez dekoracji, nawet w oknach prywatnych domów, a na lotnisku Lublinek, na mszę świętą komunijną z homilią, której tematem było chowanie dzieci w wierze, przyszło tylko 500 tysięcy wiernych, mniej niż oczekiwano. Za to cała Łódź wyklejona była plakatami i flagami międzynarodowych targów wyrobów włókienniczych i odzieży "Interfashion".

Nie byłem w Łodzi, ale kto był, wrócił przynębniony. Biedne miasto, antypody Gdańska. Podczas mszy na lotnisku ubecy podszli śmiało do pielgrzymów z transparentem i ciągnęli ich ze sobą, nikt nie reagował. Dopiero gdy się wnieślał ksiądz z zagranicy, zostawili ich w spokoju, zabrawszy transparent. Zgaszone, zaszczone przez nazbyt ciężkie życie kobiety, wśród których wiele wychowuje dzieci samotnie, na widok Ojca Świętego najczęściej wybuchają płaczem. Jedna z włóknienek powiedziała do dziennikarki, której udało się przedostać do "Uniontexu": "Nie wiem, czy już długo to wytrzymamy".

Ojciec Święty nie podjął abstrakcyjnego tematu pokoju. Mówił o tym, co widział. O losie kobiet polskich, warunkach, w których muszą żyć i wychowywać dzieci. O godności kobiety, której trzeba bronić mimo wszystko. Mówił to, żeby je natchnąć nadzieją,

wbrew beznadziei.

POŻEGNANIE Z PRZEWODNIKIEM

Sobota, 13 czerwca. Szybko minął tydzień. W godzinach popołudniowych usiłuję się dostać z Gdańska do Warszawy. W ostatniej chwili łapię samolot, choć rano poinformowano mnie telefonicznie, że wolnych miejsc brak. Leci w jednej trzeciej pusty. W samolocie człowiek zawsze czuje się bliżej nieba, zaczyna się wznosić w rejony niedostępnej metafizyki. I tym razem myślę o tym samym. Że Bóg jest dla nas tak niezrozumiały, niepojęty, zarówno w zagadce kosmosu, jak w tajemnicy człowieka. Myślę też pod świeżym wrażeniem mijającego tygodnia, że na szczęście czasem daje nam znaki w osobach ludzi wielkiej wiary, dzięki czemu nie czujemy się tak samotni. Za ich pomocą przemienia nasze serca.

Wieczorem Papież spotyka się w Kościele św. Krzyża z twórcami kultury. Obecnych jest około dwu tysięcy niezależnych artystów i intelektualistów, tylko część tego wielkiego środowiska. Trzon kultury, na przykład najwybitniejsi polscy pisarze funkcjonują w ostatnich latach społecznie jako nigdzie nie zrzeszeni outsiderzy, czasem szukając oparcia w kościele.

Ojciec Święty wita się i rozmawia z różnymi ludźmi, niektórych twórców zaskakuje znajomością ich twórczości. Gratuluje Jackowi Fedorowiczowi, chwali Stefana Bratkowskiego za interesujące koncepcje społeczno-ekonomiczne. Bratkowski pada na kolana. Najwięksi cisną się, żeby papieża choćby dotknąć, być przy nim przez chwilę. Jan Paweł II, który sam jest artystą - poetą, dramaturgiem, eseistą, aktorem - nie raz dał im odczuć, jak bardzo są mu bliscy. Sztuka budzi przeczucie Boga i on to wie, bo sam jej dotknął.

W homilii dziękuje zebranych za właściwie pojęty "sojusz święta kultury ze światem pracy" i zachęca, by trwali dalej, pomagając trwać narodowi poprzez wpajanie polskiej pracy skali wartości - "by się zmartwychwstało". "Piękno na to jest, by zachwycało do pracy, praca - by się zmartwychwstało" - papież lubi cytować te słowa Cypriana Norwida, poety szczególnie przez siebie cenionego. I tym razem je przywołuje.

Stwierdza też, że przyście artystów, czasem z bardzo daleka, do kościoła, jest faktem, którego polskiemu kościołowi nie wolno zlekceważyć. To wielka wskazówka na przyszłość, rozstrzygająca całe wiele kontrowersji z niedalekiej przeszłości.

Na pożegnanie papież otrzymuje podarunki od środowiska, między innymi interesującą książkę Jana Józefa Szczepańskiego "Kadencja" o ostatniej kadencji Związku Literatów Polskich z okresu jego prezesury, będącą nieocenionym źródłem wiedzy o politycznych mechanizmach polskiej kultury w ostatnich latach i ludziach, którzy je uruchamiają.

Odprowadza go rozwinięty przy drzwiach kościoła transparent "SOLIDARNI Z TOBA W PRAWDZIE I NADZIEI WYDAWCY POLSCY", sygnał przypominający o istnieniu w Polsce owego drugiego obiegu kultury, w którym ukazała się między innymi "Kadencja", a także wiele innych książek i czasopism. Ten drugi obieg zmienił oblicze naszego życia kulturalnego, uczynił je prawdziwszym.

Na schodach przed kościołem i w pobliskich ulicach czekają na papieża mieszkańcy Warszawy. Czujnie uwija się także milicja.

Warszawa już się obudziła. Tramwajem na Żoliborz jadą turystycznie ubrani chłopcy, żeby jutro rano być jak najwcześniej i najbliżej kościoła św. Stanisława Kostki.

Nawiedzenia grobu księdza Popiełuszki nie ma w oficjalnym programie, ale cała Warszawa mówi, że papież tam będzie. I rzeczywiście jest, w niedzielę 14 czerwca około 8-ej. Od 5-ej gromadzą się już wierni i dzięki negocjacom proboszcza Boguckiego z milicją są przez służby porządkowe przepuszczani aż do parkanu. Pod samym kościołem i w kościele jest tylko wąskie grono ludzi: rodzina zamordowanego księdza, tutejsi kapłani, grupa dziennikarzy, gromadka parafian i przyjaciół.

Papież przy grobie nie przemawia, pochyla tylko bardzo nisko głowę, kładzie ją prawie na płytę granitowego grobowca, jakby nasłuchiwał. Gdy wchodził przed chwilą, uderzyło po raz pierwszy serce dzwonu, nazwanego imieniem księdza Jerzego. Błogosławi ten dzwon. I rodziców nieżyjącego kapłana. Przyniósł płaczącą matkę i ojca, potem rodzeństwo i ich dzieci, całą rodzinę Popiełuszków.

Tutejsi parafianie i księża są poruszeni. Wiedzą, że ich Jerzy bardzo pragnął zobaczyć Ojca Świętego podczas poprzedniej pielgrzymki. Nie doszło do tego ze względów "porządkowych", dla duszpasterza Huty "Warszawa" i służby zdrowia zabrakło zaproszenia. Dziś papież mu tę krzywdę wynagradza.

Koło południa robi się upał. Na Placu Defilad i w przyległych ulicach uczestniczy w mszy świętej kończącej Kongres Eucharystyczny podobno dwa miliony ludzi. Ołtarz usytuowano przed paradnym wejściem Pałacu Kultury i Nauki. Pamiętam jak budowano ten Pałac, atmosferę lat pięćdziesiątych. I tak to się potoczyło - oto symbol naszej powojennej historii, polska synteza. Żyjemy w Ojczyźnie trudnego wyzwania - jak to ujął papież na konferencji Episkopatu w przemówieniu do biskupów i kardynałów. Z wyzwania, jakim był programowy ateizm, kościół wyszedł zwycięski. Dziś nasz problem polega na czymś innym. I zagrożenie kościoła również. Papież przestrzega episkopat polski przed pułapką "polityki", inaczej: taktyki. Żąda, by biskupi kierujący tą nawa przyjęli jeden zdecydowany wektor ewangelicznej prostolinijności. Także w sprawach życia społecznego. Mówi o tym wyraźnie, dla jasności przywołując doświadczenie kościoła i księży Ameryki Łacińskiej. Wbrew obiegowym sądom o niechętnym stosunku Jana Pawła II do "teologii wyzwolenia" stawia ją przed oczyma polskim kapłanom, namawiając ich do głębszego zaangażowania się w życie doczesne wiernych.

Jak to się ma do linii prymasa Glempa, kontynuatora taktyki Prymasa Tysiąclecia? Ostatecznej odpowiedzi udzieli czas, z pewnością nie jest to zresztą linia statyczna.

Znający jednak lepiej wcześniejsze koncepcje kardynała Wojtyły na temat charakteru polskiej religijności, zwracają uwagę na ich kontrowersyjność w stosunku do strategii zmarłego prymasa. Spontaniczna ludowa religijność jako jej kamień węgielny pozwoliła rzeczywistości kościołowi przetrwać dziesięciolecia zagrożenia, a narodowi utrzymać swoją tożsamość. Ale czy w nowej sytuacji ideowo-politycznej w naszej części świata i w świecie w ogóle, kościół polski może pozostać tylko przedmurzem? Czy aby utrzymać rząd dusz w następnym tysiącleciu, może zadowolnić się tym, co jest, i nie pogłębiając się, będzie w stanie inspirować dalej życie i kulturę narodu? Jan Paweł II, żądający dziś od episkopatu pryncypialności w kształtowaniu postaw ludzkich głęboko

chrześcijańskich, polegających na dawaniu świadectwa przez zgodność słów i czynów, obejmuje już wzrokiem to nadchodzące, może jeszcze trudniejsze w swych wyzwaniach, tysiąclecie.

Istnieją jednak i nie przestały być całkiem aktualne i bardziej doraźne uwarunkowania. I jak mówią realisci - papież wyjeżdża a prymas pozostaje i musi je uwzględniać, godząc jak potrafi ogień z wodą.

Podczas tej pielgrzymki Jan Paweł II przywoływał wielokrotnie postacie męczenników. Michała Kozala więźnia Dachau, biskupa; Karolinę Kózkównę, która oddała życie broniąc dziewiczej niewinności, Jerzego Popiełuszkę, wiernego prawdzie aż do końca.

Nie jest jednak łatwo zdecydować się być księdzem Popiełuszką.

Mimo to od tej pielgrzymki "postawa realistyczna" i maksymalizm będą chyba bardziej równouprawnione w polskim księście. Jest to moim zdaniem najbardziej realistyczna przesłanka optymizmu. Nadziei, że program, który Papież wytyczył narodowi, może zostać zrealizowany.

Dzień jest coraz bardziej upalny, z nieba leje się żar, kobiety mdleją. Lud modli się za wstawiennictwem beatyfikowanego dziś biskupa, nowego patrona "naszych trudnych czasów", pełnych nienawiści, pogardy, zła uczynionego ludziom przez różne totalitaryzmy".

Modli się za misjonarzy, którzy odebrali dziś z rąk Papieża krzyże misyjne i pójdą w świat, do Afryki, Azji, na wszystkie kontynenty nauczać wiary Chrystusa. Modli się i za tych, co zostaną na miejscu, "by szerzyło dzieło ewangelizacji".

Coś przykuwa moją uwagę. To pielgrzymka głuchoniemych. Przewodnik przekłada im słowa mszy świętej i papieskiej homilii na język migowy. Pochylają głowy, kłękają zapatrzeni, zasłuchani. Ten obraz mnie poraża. Czy Papież nie jest dziś dla nas Polaków, tym kim dla głuchoniemych jest ten przewodnik? A gdyby go zabrakło?

Z Placu Defilad procesja eucharystyczna idzie głównymi ulicami Warszawy w stronę Nowego Miasta, by dojść aż do Kolumny Zygmunta. Wycofuję się przed końcem mszy, by biec na skróty i zająć jakieś dobre widokowe miejsce przy Kolumnie. Nie mam zaproszenia, uprawniającego do podejścia tak blisko, więc muszę kombinować. Idziemy w grupie. Jest z nami ksiądz, który znacznie walczy o przejście nie tylko dla siebie, korzystając z zaufania, jakie budzi sutanna. Ale i to nie na wszystkich działa.

Pod Kolumnę się nie dostaniemy, sutanna nie pomogła. Uprzejmy, ale kategoryczny młody mężczyzna presuwa nas pod ścianę Domu Literatury, dalej nie przejdziemy. Przedstawia się: oficer SB, imię i nazwisko. Służbista, ale kulturalny. Ksiądz zwraca mu uwagę, że pałac w czasie procesji, obraża uczucia religijne innych ludzi, wtedy gasi papierosa przepaszając. Przekonuję go, że nadgorliwość do niczego dobrego nie prowadzi. Tłumaczy się: strzeże bezpieczeństwa papieża i swój obowiązek chce wykonać dobrze. Zwłaszcza, że dziś w Warszawie u czterech osób znaleziono broń. Czy sam widział? Tak, broń widział, chociaż nie on ją znalazł, pokazano mu potem.

Zastanawiam się, kto to mógł być, ci czterej, którzy tak niewidzą papieża. Jeśli ta informacja nie jest wyssana z palca. Patrząc na tych rozentuzjasmowanych ludzi, nie mogę uwierzyć,

że to ktoś z nich.

Oficer SB zwierza mi się, że choć ciągle kręci się przy tych uroczystościach, papieża jeszcze nie widział, a chciałby. Proponuję mu więc, żeby zajął moje miejsce na poręczy ławki. Wchodzi i patrzy.

W procesji idą delegacje wszystkich diecezji, w strojach ludowych krakowskich, góralskich, łowickich, kaszubskich, rzeszowskich, w górniczych i hutniczych mundurach, w księżych sutannach, w habitach zakonnych czarnych, białych, szarych, brązowych, w biskupich fioletach, z obrazami, chorągwiami, feretronami. Idą Litwini z Białostoczczyzny z napisem "Lituania" i kapliczką przydrożną na przedzie, witani radosnym aplauzem przez sympatię dla całej Litwy. Idzie Polska.

W oszklonym samochodzie-powozie pod baldachimem monstrancja, z tyłu na klęczniku Ojciec Święty pograżony w adoracji Przenajświętszego Sakramentu. Powóz dojechał do Kolumny, papież wynosi monstrancję i błogosławi tę Polskę na wszystkie strony świata, w kierunku kościoła św. Anny, Katedry, rzeki Wisły i ulicy Podwale, skąd widać napis: "Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie". Potem klęka i długo się modli z twarzą zwróconą ku ludziom. Fotoreporterzy przez teleobiektywy widzą na tej twarzy łzy. Papież płacze.

14 czerwca, niedziela wieczór. O godzinie 17.15 na Okęciu remonia pożegnania. Z biura prasowego otrzymujemy wiadomość, przygotowana i przekazana dziennikarzom wersja wystąpienia generała Jaruzelskiego może ulec zmianie. Od czego to zależy? Prawdopodobnie od przebiegu rozmowy w cztery oczy, która na prośbę władz odbędzie się w saloniku recepcyjnym na lotnisku. Łagodni święci ludzie z reguły okazują się najbardziej nieustępliwi. Dlatego przemówienie generała nie ulegnie korekcje.

Oglądam pożegnanie na podglądzie, widzę to, co normalni telewidzowie i jeszcze trochę więcej. Papież i Wojciech Jaruzelski wchodzi do salonu. Teraz mam przed oczami lotnisko. Pada deszcz, publiczność za barierką mimo to ożywiona, słychać wesołe rozmowy. Inaczej jest w centrum płyty lotniska, gdzie odczuwa się pewne napięcie pośród oczekujących przedstawicieli rządu i episkopatu Polski. Kazimierz Barcikowski wygląda tak, jakby go śmił zęb. Prymas Glemp ma twarz nieprzeniknioną. Wśród oficjalnych przedstawicieli społeczeństwa są Wojciech Żukrowski i Jan Dobraczyński. Nic się nie dzieje, a można zaobserwować wiele ciekawych rzeczy. Telewidzowie nie mają takiej okazji. W "pustym" czasie telewizja uszczęśliwia ich muzyką dawną, muszą słuchać polonezów, a gdy rozmowa się przeciąga, menuetów. Woleliby oglądać sceny z kończącej się pielgrzymki. Telewizja była wszędzie, gdzie był papież, ale Polska zobaczyła z tego niewiele.

Minęła godzina. Z saloniku wychodzi szybkim krokiem Wojciech Jaruzelski i wsiada do samochodu. Po chwili papież. Idzie bardzo wolno. Wsiada do papamobila, który wiezie go do samolotu. Wcześniej podjechał tam samochód z generałem Jaruzelskim. Więc wszystko jest w porządku? Po prostu jakaś niezręczność w protokole?

Różne są pożegnania. To jest bolesne.

Wojciech Jaruzelski mówi: "Wasza Świętobliwość wkrótce pożegna Ojczyznę. Zabierze z sobą jej obraz w sercu, lecz zabrać przecież nie może jej realnych problemów. Naród zostaje tu między Bugiem i Odrą. Sam musi uporać się z wyzwaniem".

I dalej: "Polsce prawda jest potrzebna. Lecz potrzebna jest

również prawda o Polsce. W ostatnich dniach padała jakże często ofiarą uwłaczających rozsądki naszego narodu obcych manipulacji. To jeszcze jedno pouczające doświadczenie. Mamy własną drogę - drogę odnowy, demokratyzacji, reform ...".

Twarz papieża jest jak stężała, smutna.

Ojca Świętego żegna teraz prymas Glemp. W słowach godnych dyplomaty: "Powitała cię Polska, o której wiemy, że nie zginęła i nie zginie, ale że będzie się rozwijać w pokoju i godności wszystkich obywateli ...".

Głowa papieża nisko opuszczona. Czy słucha jeszcze przemówienia? O czym myśli? Gorycz niezrozumienia...

Prymas kończy pozdrowieniem: "Idź w pokój".

Widać, że to wszystko jest dla papieża ciężkim przeżyciem.

W tle napis: "Warszawa - miasto pokoju żegna papieża - orędownika pokoju". Tak sam był przy powitaniu: "Warszawa - miasto pokoju wita papieża - orędownika pokoju". Jan Dobraczyński znowu klęka i usiłuje ucałować dłoń papieża.

Pocieszam się, że mimo wszystko On był z nami, przez cały tydzień. I zaczynam widzieć w tym niesztampowym pożegnaniu dobry znak. Trzeba umieć czytać znaki czasu.

Ojciec Święty ciężko wchodzi po schodkach. Za chwilę samolot odrywa się od pasa startowego i bierze kurs na Rzym.

Generał Jaruzelski macha mu ręką na pożegnanie. Obok prymas Glemp.

I jeszcze my, którzy słuchaliśmy papieża przez cały tydzień, do których mówił tak wyraźnie, że nie sposób będzie się wykręcać, że się nie rozumiało.

PAWEŁ ADAMSKI

Ireneusz Krzemiński

RELIGIA A RUCH SPOŁECZNY "SOLIDARNOŚĆ"

1.

Mówiąc o aspekcie religijnym społecznego ruchu "Solidarności" chciałbym pozostać w obrębie zakreślonym przez specyfikę refleksji socjologicznej. Ale zarazem będę tu przeciwieństwem mówić o kwestiach duchowych - sądzę, że duchowy wymiar życia ludzkiego socjologowie powinni brać pod uwagę oraz próbować w swych opisach zjawisk społecznych i w wyjaśnieniach ich dynamiki owo duchowe doświadczenie uwzględnić. Duchowy, czy też metafizyczny wymiar uniwersum odgrywa istotną rolę w ukierunkowaniu ludzkiego działania; zarówno form myślenia, interpretowania świata i sposobu, w jaki ludzie widzą siebie samych, jak również form ludzkiej aktywności, form życia społecznego. Liberalna, naukowa i zsekularyzowana kultura masowa naszych czasów dostarcza, by tak rzec, jedynie negatywnego potwierdzenia ważności duchowego wymiaru rzeczywistości. Negatywnego, bowiem duchowy wymiar obecny jest w masowej kulturze nade wszystko jako pragnienie, poszukiwanie i oczekiwanie wiary, jako potrzeba metafizycznego i religijnego porządku życia, a zarazem jako trudność otwarcia się na działanie i utrzymanie życia w sakralnej perspektywie. A więc duchowy, czy metafizyczny wymiar uniwersum pojawia się w naszym cywilizowanym świecie raczej jako coś straconego i zarazem upragnionego, niż jako pozytywnie obecnego. Wiele osób i grup poszukuje doświadczenia metafizycznego i religijnego. Taka tendencja świadomie manifestowana pojawia się obecnie w tekstach wybitnych intelektualistów, takich jak Daniel Bell, Alain Besançon, Peter Berger, Leszek Kołakowski, Mircea Eliade i wielu innych /1/. Zachodni intelektualiści jakby powracają do myślenia o religii, do uwzględniania w swych intelektualnych poszukiwaniach obecności Boga. Jest to nowy trend w kulturze współczesnej. Te dążenia i zarazem trudności znajdują swój wyraz nie tylko w "elitarnych" manifestacjach; w życiu codziennym coraz częściej ujawniane

są podobne potrzeby i pragnienia przez rozległe rzesze ludzi.

Przypadek Polski jest odmienny. Wiara religijna, uczestnictwo w Kościele - głównie rzymskokatolickim - chrześcijańskie ideały jako ważne źródło obyczajów, kodeksu moralnego, sposobów myślenia ludzi na co dzień i stylów życia - to cecha charakterystyczna dla polskiego społeczeństwa, chociaż socjologiczne opisy fenomenów religijnych w Polsce na ogół nie dostrzegały ich codziennej ważności. Rzadko kiedy kulturowy wymiar chrześcijaństwa, czy ściślej katolicyzmu w Polsce, był przedmiotem adekwatnej i wnikliwej obserwacji socjologicznej.

Nie chcę się jednakże w tym tekście zajmować ani ewolucją znaczenia religijnych fenomenów w codziennym życiu społecznym w Polsce w ciągu minionych czterdziestu lat, ani też rozwojem socjologicznej, naukowej refleksji na ten temat. Chciałbym tylko klarownie zarysować punkt wyjścia dla moich dalszych rozważań. Odniesienie ludzi do Boga, do religii, do kościoła jest czymś stałym w życiu codziennym w Polsce. Oczywiście, formy w jakich ludzie uobecniają swoją wiarę i świadomość religijną, ulegają zmianie; i zmieniały się znacznie w ciągu minionych lat. Jednakże nie jestem tutaj zainteresowany badaniem tej zmienności. Chciałbym odpowiedzieć jedynie na pytanie, jaką rolę odegrał element religijny i religijna inspiracja w procesie powstawania i działania ruchu społecznego "Solidarność"? Jaki wpływ religia miała na działanie społeczne i sposoby myślenia ludzi w ciągu okresu publicznej aktywności Związku Zawodowego "Solidarność"? Jakiej zmianie ulegały te uwarunkowania obecnie?

2.

Gdy mówię o religijnym aspekcie mam na myśli dwa, różne - powiedzmy tak - poziomy rzeczywistości religijnej. Pierwszy jest "religijny" w duchowo-kulturowym sensie. Oznacza on tradycję chrześcijańską, chrześcijański ethos i porządek wartości, który stanowi jądro europejskiej kultury. Drugi sens religijności oznacza wiarę i jej instytucjonalny wyraz, przede wszystkim osobistą deklarację wiary i postawę podporządkowania wobec kościoła, wobec jego nauki, katolicką (albo - oczywiście - protestancką, czy inną jeszcze) doktrynę i przyjęte formy życia.

W tym szkicowym tekście nie jestem w stanie dostatecznie precyzyjnie oddzielić od siebie analiz, prowadzonych na obu tych poziomach doświadczenia religijnego. Patrząc na "Solidarność" w perspektywie, która łączy i miesza ze sobą oba poziomy. Zatem mówiąc o religijnym aspekcie życia odnoszę to zarówno do tradycji chrześcijańskiej i wytworzonych przez nią wzorców, jak i do kościoła, jego aktualnego kształtu i głoszonych treści. Analiza, mimo to, będzie wymagała w niektórych punktach różnicowania na kulturowy i instytucjonalny poziom religijnego doświadczenia. Ale ogólnie rzecz biorąc, na użytek niniejszych rozważań przez religijne aspekty rozumiem zjawiska i zależności z obu wyróżnionych poziomów, bez względu na to, czy w poszczególnym przypadku oba one były powiązane, czy też nie. Pojawienie się fenomenów, które przypisać możemy któremuś z tych poziomów, wystarcza, aby mówić o religijnym aspekcie.

3.

Pierwsze pytanie brzmi: czy religia miała jakiś - i jaki - wpływ na proces tworzenia się ruchu społecznego?

Dzień, w którym podpisano porozumienia między rządem PRL a strajkowymi komitetami robotniczymi w Gdańsku i Szczecinie, możemy uznać za początek ruchu społecznego, który w ciągu następnych kilkunastu dni uformował Niezależny Samorządny Związek Zawodowy "Solidarność". Po miesiącu w Związku było aktywnych kilka milionów osób, tworzących coraz to nowe komórki związkowe. Oczywiście, nie można sobie wyobrazić, by tak potężny ruch społeczny powstał w jednym momencie. Moment musiał być poprzedzony długim procesem formowania się ruchu i jego podstaw - przede wszystkim procesem formowania się nowej świadomości społecznej i powszechnie podzielanych, wspólnych postaw. Możemy to przedstawić jako proces formowania się nowej i upowszechniającej się coraz szerzej definicji sytuacji społecznej. Kształtująca się w ciągu kilku lat definicja sytuacji zawierała w sobie symboliczne załączki przyszłego działania. Nazwa "Solidarność" dla robotniczego związku zawodowego była pierwszą konsekwencją treści, zawartych w tej ogólnej i symbolicznej definicji sytuacji. Owa definicja sytuacji społecznej została ostatecznie sformułowana w ciągu "gorącego lata" 1980 roku. Podczas niepokojów i wybuchających w całym kraju strajków, wiedza i interpretacja rzeczywistości, zawarta w treści tej definicji, szeroko się rozpowszechniła i została przyjęta przez ludzi w całej Polsce. Ale dopiero "Lista 21 żądań" (zwanym "postulatami") Stoczni Gdańskiej miała decydujące znaczenie dla domknięcia wielu indywidualnych i grupowych, wspólnie rozwijanych refleksji nad zdefiniowaniem sytuacji społecznej. Gdańska lista zamykała długi proces wzrastania nowej świadomości społecznej. Żądania miały wielkie znaczenie symboliczne, przede wszystkim dla załóg robotniczych i dla wielu środowisk zawodowych (na przykład również dla grup intelektualistów). Wiązały i łączyły one ze sobą spójnie dotychczas wypowiadane, świadome elementy interpretacji sytuacji społecznej. Ale zarazem rzucały światło na to, co ciągle jeszcze nie było szeroko uświadamiane i wypowiadane.

Gdańskie żądania odegrały rolę modelu i wzorca, który pokazywał, jak interpretować rzeczywistość. Wskazywały na to, co powinno być zrobione na poziomie - powiedzmy tak - społeczeństwa, państwa, narodu. Ale wzorcowe żądania stanowiły zarazem bodziec do myślenia o pożądanym zmianach w każdym, szczególnych warunkach społecznych w danym mieście czy miasteczku, we "własnym" zakładzie pracy, w regionie, w którym się żyło.

Stąd też akceptacja i poparcie żądań gdańskich robotników w konsekwencji umożliwiała podzielenie definicji sytuacji, która była u podstaw sformułowanej listy postulatów /2/. Poparcie dla niej pociągało za sobą podzielenie wspólnej, symbolicznej interpretacji rzeczywistości i wiązało ze sobą uczucia ludzi, dając poczucie zjednoczenia. Ludzie mieli okazję dodać obraz ich własnych, szczególnych warunków do ogólnej i wspólnej "mapy" społecznej sytuacji. Mówiąc inaczej, w świetle, które przyniosły gdańskie żądania, ludzie mogli świadomie opisać ich własną sytuację w terminach, jakie zakładała ogólna definicja; jeśli szcze-

rze byli za gdańskimi żądaniami, niejako byli zmuszeni do przedstawienia sobie, co koniecznie musi ulec zmianie w ich najbliższym otoczeniu: fabryce, instytucie, mieście, województwie... Samo-zdefiniowanie było koniecznym warunkiem, żeby w pełni móc aprobować i "być razem" z gdańskimi strajkującymi stoczniovcami. Dlatego też możemy powiedzieć, że gdańska lista żądań ustrukturalizowała, związała ze sobą i pozwoiliła spójnie wyrazić treści, które były szeroko już znacznie wcześniej rozpowszechnione, ale zarazem nie połączone. Poglądy i hasła rozwijane dotąd przez wiele izolowanych osób, grupy, środowiska spotykały się i można je było ze sobą powiązać.

Można więc zapytać: co było "klejem", który scalił, mentalnie i tak silnie, gotowe, równoległe przez różne grupy społeczne rozwijane treści, jakie złożyły się na końcową definicję sytuacji? Dzięki czemu mogły być powiązane i zunifikowane te różne elementy w umysłach ludzi i we wspólnej, zbiorowej dyskusji dnia codziennego?

Sądzę, że było to możliwe dzięki głównej idei definicji sytuacji, jaka sformułowana została w ostatnich dniach sierpnia 1980 roku: idei społeczeństwa obywatelskiego i obywatelskości, która stała się głównym czynnikiem motywującym ludzi do działania /3/.

Oczywiście, idea społeczeństwa obywatelskiego, czy społeczeństwa obywateli nie jest prostą ideą i nie była wprost wyrażana - jako hasło lub nawet bardziej złożony slogan - w treści definicji sytuacji. Ale możemy powiedzieć, że idea odbudowania w Polsce obywatelskiego układu społeczeństwa stanowiła centralny punkt, wokół którego rozwijały się dyskursywne treści definicji społecznej. Również w odniesieniu do niego formowane były diagnozy ekonomiczne, polityczne i społeczne. Ta idea była zarówno ideałem, jak i najogólniejszym celem pożądanego działania społecznego.

Treścią definicji sytuacji był wysocę krytyczny opis aktualnej sytuacji wraz z diagnozą przyczyn takiego stanu rzeczy. Rządząca partia komunistyczna oraz ustanowione przez nią zasady życia społecznego uznane zostały winnymi katastrofalnej sytuacji społeczeństwa. Ale definicja sytuacji zawierała również nowy obraz człowieka, nowy obraz jednostki - jako o b y w a t e l a. Polska i warunki życiowe Polaków są bardzo złe, ale my sami musimy wziąć odpowiedzialność za kraj i nasze życie. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, moralnymi osobami, nie powinniśmy rządowi państwa i komunistycznej partii pozwolić na dalsze rujnowanie kraju. Mamy prawo wystąpić w roli obywateli. Wszyscy razem powinniśmy przemyśleć i przedyskutować sytuację, i zacząć wspólne działania, aby poprawić nasze życie i zadbać o sprawę publiczną, o sprawę wspólną. Ludzie rozpoczęli działanie.

4.

Gdzie tu jest obecny aspekt religijny?

Chciałbym najpierw ukazać ważność inspiracji religijnej dla uformowania się treści, zarysowanej wyżej nader szkicowo, składającej się na definicję sytuacji. Idea społeczeństwa obywatelskiego czy też obywatelskości, która była podstawą i zarazem głównym celem działania społecznego, może być

wywiedziona z moralnej tradycji chrześcijaństwa i współczesnej nauki Kościoła katolickiego. Idea obywatelskości, która rozwijała się w Polsce w 1980 roku, była zasadniczo moralistycznie ugruntowana. To odróżniało ją zasadniczo od klasycznie liberalnej idei *civil society*.

Jak można przedstawić tę ideę? Ludzie są wolnymi osobami. To znaczy, że każda jednostka jest wrażliwym, inteligentnym, obdarzonym wolną wolą podmiotem, który ma poczucie odpowiedzialności. Jako moralna osoba człowiek ma swą unikalną, osobistą godność. Pewne prawa przysługują jednostce ludzkiej po prostu, jako osobie i przysługują człowiekowi nie na mocy jakiegokolwiek decyzji kogokolwiek drugiego, lub całego społeczeństwa, ale są dane człowiekowi przez Boga. Stąd ludzie mogą działać jako moralne osoby odpowiedzialne za swe życie i działanie na mocy "naturalnych praw", które możemy potraktować jako właściwą, moralną postawę godnych zaakceptowania form życia społecznego i zasad społecznej organizacji. Ludzie jako osoby mają równe prawo uczestniczenia w życiu publicznym społeczeństwa: równe, "naturalnie" im dane prawo działania i brania udziału w debacie społecznej na interesujące wszystkich tematy. Każdy ma prawo działania w kierunku swego indywidualnego sukcesu, ale powodzenie indywidualne jest ściśle związane z powodzeniem innych ludzi i całej społeczności. Dlatego też demokracja jest jedyłą możliwą drogą, aby zapewnić warunki indywidualnej i społecznej prosperity /4/.

Taka argumentacja na rzecz demokracji ma specjalne konsekwencje: na przykład idea demokracji nie jest tutaj koniecznie związana z radykalnie egalitarnym ideałem ładu społecznego. Równość nie jest wartością absolutną, ani kryterium sprawiedliwości społecznej, lecz jest podporządkowana idei człowieczeństwa i ludzkiej wspólnoty. Oznacza to wprowadzenie zasady, która nakłada na obywateli moralne zobowiązanie troski i pomocy grupom ludzi, którym się gorzej wiedzie, pamiętania o biednych i zapobiegania nędzy na szerszą skalę społeczną.

Pojęcie "sprawiedliwości społecznej" jako ludzkiej solidarności i obowiązku pomocy potrzebującym - to następny, bardzo ważny element sposobu myślenia i działania "Solidarności". A ta idea jest niewątpliwie konsekwencją moralności chrześcijańskiej. Z socjologicznego punktu widzenia warto zwrócić uwagę na ewolucję ideałów egalitarnych w polskim społeczeństwie w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Zmiana polega na przekształceniu masowej akceptacji raczej radykalnego, socjalistycznego sformułowania ideologii egalitarnej w kierunku rozumienia "równości" przez szerokie kręgi społeczne w kategoriach sprawiedliwości społecznej, lub nawet merytokracji /5/.

Moralna tradycja katolicyzmu, jak i nowa nauka społeczna Kościoła niewątpliwie miała pewien wpływ na tę ewolucję postaw. Oznacza ona również spadek popularności tradycyjnych idei socjalistycznych, które - na ogół - były deklarowane również jako własne ideały przez komunistów. Deprecjacja tradycji socjalistycznej niemal automatycznie skłania ludzi w Polsce do zwrócenia się ku tradycji chrześcijańskiej i nauczaniu Kościoła. Lecz cóż miałyby oznaczać stwierdzenie "niemal automatycznie"? Mówiąc to miałem na myśli znaczenie

tradycyjnej, narodowej matrycy polskiej kultury, która bardzo ściśle wiąże ideały wolności, indywidualnej i narodowej godności z religią. Tradycyjny wzór kulturowy miał - rzecz jasna - wiele historycznych wcieleń, jak też rozmaicie był wyrażany i wykorzystywany w koncepcjach społeczno-politycznych. Niektóre z nich, jak na przykład koncepcja "Polaka-katolika", kształtowana na początku naszego wieku niemal całkowicie podporządkowywała chrześcijańską tradycję i katolicką identyfikację własnej narodowości, narodowym wartościom i interesom. Socjalistyczne kierunki w polskiej tradycji przeciwstawiały się stanowczo wzorowi "Polaka-katolika", wypracowanego przez Narodową Demokrację. Socjaliści postulowali odmienny ideał narodowy, inny ideał dobrego ładu społecznego i humanistyczny ethos. Programy socjalistyczne, ich ideały i hasła, były szeroko wykorzystywane przez propagandę państwową w powojennej Polsce. Co więcej, rządząca partia używała ich często nie tylko jako fasady, ale również jako argumentu dla usprawiedliwienia i samooczcyszczenia się z "błędów i wypaczeń" w momentach załamania politycznych i ostrych kryzysów społecznych. W ciągu lat siedemdziesiątych ideologia socjalistyczna została przekształcona w zbiór dekoracyjnych sloganów. Na początku lat osiemdziesiątych słowo "socjalizm" było bardzo wyraźnie zdyskredytowane w opinii publicznej. Przepaść pomiędzy socjalistycznymi sloganami i deklaracjami, głoszonymi przez PZPR i rząd PRL a codzienną praktyką polityczną kompromitowała ideały socjalistyczne i całą polską tradycję socjalizmu. Jeżeli nawet w 1980 roku wciąż wiele osób i grup odwoływało się do elementów ideologii socjalistycznych, to ich liczba oraz moralne, społeczne i polityczne znaczenie obniżało się. Rzecz jasna, wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku spowodowało gwałtowne rozszerzenie się postawy odrzucenia hasel socjalistycznych i deprecjację przynajmniej tradycyjnego słownika socjalistycznego wśród większości polskiego społeczeństwa. Być może jeszcze bardziej znaczący był fakt, że dotyczyło to również grup i osób, które związane były bliżej z tradycją socjalistyczną. Osoby i całe środowiska, które jeszcze kilka lat temu były ściśle związane z tradycjami socjalistycznymi, które używały socjalistycznej, lewicowej perspektywy jako żywego narzędzia społecznego (jeśli nie *stricte* politycznego) myślenia i działania, teraz zmieniły lub co najmniej zmodyfikowały swe moralne i polityczne opcje. Dyskredytacja ideologii socjalistycznej uczyniła ludzi podejrzliwymi wobec wszelkich treści, które wywodziły się i nawiązywały do socjalistycznej, lewicowej tradycji. Na skutek tego, tradycyjne, narodowe ideologie i polskie wzory kulturowe nabrały nowego życia. Reaktywacja tradycyjnych wzorów i postaw kultury narodowej oznacza zarazem ożywienie elementów religijnych. Religijnej, chrześcijańskiej podstawy kultury narodu, jak i religijnych wierzeń i uczuć. Żywe doświadczenie ludzi wskazywało im zasadność poglądu, że - ogólnie mówiąc - socjalistyczna droga jest fałszywa i niewłaściwa dla osiągnięcia powodzenia i moralnego porządku w społecznym i indywidualnym życiu. Motywowało to wielu ludzi, a szczególnie liczne grupy polskiej inteligencji, do powrotu do tradycji chrześcijańskiej, do Kościoła katolickiego i do rzeczywistości doświadczenia religijnego.

5.

Lecz to są już zjawiska, które miały miejsce w ciągu ostatnich lat. Lata 1982-85 przyniosły falę nawróceń wśród dotąd niewierzących oraz powrót wielu znaczących grup społecznych do Kościoła katolickiego. W roku 1980 proces ten nie był tak zaawansowany. Słuszniej należałoby raczej powiedzieć o roku 1980, że oznaczał on powrót do chrześcijańskiej tradycji moralnej, do religijnych korzeni późniejszych ethosów humanistycznych. Tym samym jednak ukształtowała się postawa otwartości i zaufania do Kościoła i do księży wśród ogółu, szczególnie - wśród robotników. Znaczenie i atrakcyjność Kościoła i chrześcijańskich ideałów dla Polaków, zwłaszcza zaś dla intelektualistów i licznych grup polskiej inteligencji jest zazwyczaj wyjaśniana jako fenomen *stricto* polityczny. Wydaje mi się, że jest to błędna interpretacja, chociaż wcale nie zamierzam lekceważyć zasadniczo politycznego komponentu i politycznej mocy "przyciągającej" ludzi do Kościoła katolickiego. Ale w 1980 roku znaczenie Kościoła było daleko bardziej duchowe i kulturowe, niż polityczne w wąskim sensie słowa. Rozumiem przez to, że Kościół był postrzegany jako instytucja, która jest gwarantem i obrońcą wartości ludzkiej godności, "naturalnych praw człowieka", które chronią wartość jednostki, ludzką indywidualność. Temat ten rozwinę nieco później.

Co było przyczyną wzrostu znaczenia religii i atrakcyjności Kościoła katolickiego? Utrzymując rzecz w perspektywie socjologicznej, można opisać sytuację następująco: atrakcyjność Kościoła i zwrot ku religii stanowił efekt działania dwóch równoległych procesów. Pierwszy z nich dotyczy samego Kościoła katolickiego i - do pewnego stopnia - transformacji współczesnej kultury. Rozumiem przez to zmiany i - mówiąc skrótowo - proces modernizacji Kościoła i katolickiej, chrześcijańskiej społeczności wierzących. Nowe formy religijności stanowiły wyraz akceptacji dla nowych i zróżnicowanych stylów życia, a zarazem inspirowały, by inaczej pojmować chrześcijaństwo, inaczej określać się w roli chrześcijanina i wierzącego. Oznacza to - skrótowo mówiąc - bardziej osobista, bardziej otwartą, znacznie bardziej humanistyczną perspektywę pojmowania i przeżywania religijności. Ten ogólny proces uległ w Polsce w latach siedemdziesiątych intensyfikacji.

Z drugiej strony, deklarowany na początku lat siedemdziesiątych przez Gierka program modernizacji system społeczno-ekonomicznego wyzwolił intensywne oczekiwania u większości ludzi w Polsce. Rok 1976 przyniósł załamanie się programu i poderwał zaufanie do Gierka i jego rządu. Zaufanie, które pewne kręgi elity społecznej zdecydowanie cofnęły już wcześniej, w 1975 roku, z powodu zmian w Konstytucji PRL wprowadzających konstytucyjne podporządkowanie ZSRR. Protest robotniczy w Radomiu i w Ursusie przeciwko niezapowiedzianym wcześniej podwyżkom cen został brutalnie stłumiony przez siły policyjne. Propaganda państwowa rozpoczęła wielką kampanię, która niezwykle ostro zarysowała poniżający obraz robotnika. Obraz moralnie zdegenerowanych protestujących robotników - i moralnie zdeprecjonowanych właśnie z powodu podjęcia protestu - upowszechniany przez środki masowego przekazu i publiczne akcje (takie jak wiece, np. wielki wiec na Stadionie X-lecia w Warszawie) dotknął ogromną rzeszę ludzi. W badaniach pod tytułem *Polacy - Jesień '80* dotyczących pr...

stawania NSZZ "Solidarność" w Warszawie bardzo często pojawiały się opinie, dotyczące wydarzeń czerwcowych 1976 roku i rozpętanej wokół nich kampanii propagandowej. Nasi rozmówcy pamiętali tamte dni jako moment poniżenia i upokorzenia robotników i - właściwie - większości ludzi pracy. Twierdzono też zgodnie, że przeżycia z tym związane miały bardzo istotny wpływ na przemianę postaw naszych rozmówców /6/. Powszeczenie twierdzono, że pracujący - nie tylko robotnicy - odebrali kampanię, skierowaną przeciwko protestującym, jako symboliczne poniżenie i upokorzenie "zwykłych ludzi", szarych obywateli przez władze partii-państwa. Tę operację symboliczną - utożsamianią się z poniżanymi robotnikami - ułatwił psychologicznie większości ludzi fakt, że wszyscy czuli się - jako pracownicy państwowych instytucji - jednakowo zależni od władzy partii-państwa. Większość łatwo zatem mogła identyfikować się z atakowanymi robotnikami, oraz z ich deprecjonowanym obrazem. W ciągu lat siedemdziesiątych władze partii-państwa konsekwentnie dążyły do unifikacji i ujednoczenia instytucjonalnych form życia społecznego. Dążono do centralnie zarządzanego jednolitego systemu instytucjonalnego. Centralna administracja dążyła również do powiązania i uzależnienia od siebie grup ludzi, którzy nie byli pracownikami państwowymi, jak np. chłopci. Wyraźnie starano się związać i uzależnić chłopów bezpośrednio od państwa i jego instytucji - włączyć ich w nie niejako. Tak, że pod koniec lat siedemdziesiątych rola "obywatela" i "pracownika państwowego" zaczęła się niemal ze sobą pokrywać /7/.

Samo-wyobrażenie robotników lub, ogólniej mówiąc, obraz siebie "pracowników państwowych" uległ moralnemu symbolicznemu dowartościowaniu najpierw dzięki powstaniu KOR-u. Powstanie i rozwój tzw. demokratycznej opozycji i - nade wszystko - niezależnej prasy i wydawnictw pozwolił na ukształtowanie się niezależnej od masowych środków przekazu perspektywy interpretowania codziennego doświadczenia oraz zapewnił możliwość wzrostu nowej, obywatelskiej mentalności.

Wydarzenia te miały również bardziej ogólne, ideologiczne konsekwencje. Codzienne doświadczenie społeczne degradowało i umniejszało znaczenie socjalistycznych sloganów. W ciągu lat siedemdziesiątych następował proces odrzucenia perspektywy socjalistycznej. Otwierało to nowe horyzonty dla zrozumienia i kierowania rzeczywistością społeczną. Codzienne doświadczenie domagało się wyjaśnienia i potrzebowało sformułowania na nowo dalekosiężnych celów, do których warto i powinno się dążyć. Krytycyzm wobec tradycji socjalistycznej, a nawet tendencji, które były luźno z socjalizmem związane, powodował potrzebę sformułowania innej, nowej wizji "lepszej przyszłości", dalekosiężnych celów życiowych, połączonych z indywidualnego i społecznego punktu widzenia. Stymulowało to refleksję na co dzień, zmuszało ludzi do myślenia i poszukiwania nowych rozwiązań.

Decydującą rolę w uformowaniu się nowej, obywatelsko-demokratycznej świadomości odegrała pierwsza wizyta Jana Pawła II w Polsce oraz jego nauka /8/. Papież mówił bardzo dużo na temat chrześcijańskiej - i z chrześcijaństwa wywodzącej się - idei "praw naturalnych człowieka". Ujmował je w humanistycznej i personalnej perspektywie. Idea, że każdemu człowiekowi przysługują nieodmienne prawa związana była w

papieskich wystąpieniach z poglądem, że jedynie szeroko ugruntowany w społeczności porządek polityczno-społeczny jest dobrym ładem, oraz że polityka nie może być amoralna. Wyrażana przez Papieża idea legalności władzy i dobrego, akceptowanego ładu społecznego jako zgodnego z zasadami moralnymi, tzn. respektującego naturalne prawa człowieka, była zbieżna ze stanowiskiem demokratycznej opozycji. Można powiedzieć, że wystąpienia Papieża, bardziej ogólne i bardziej religijnie zabarwione, wzmacniały bardziej politycznie wyrażane idee demokratycznej opozycji. Warto zauważyć, że socjologiczne znaczenie demokratycznej opozycji było raczej moralnego charakteru, niż *stricto* politycznego: opozycjoniści stali się niekonwencjonalnym modelem postaw, byli sami wzorem oraz formułowali wzór moralnej, niezależnej, aktywnej realizacji deklarowanych zasad /9/. Papieska nauka dostarczała większości ludzi w Polsce perspektywy poznawczej, dzięki której można było zobaczyć władzę, sprawowaną przez partię-państwo w nowym świetle. Pozwalała zarazem ocenić inaczej, znacznie bardziej pozytywnie grupy opozycji demokratycznej i jej działalność. Właśnie jako przykład prawdziwie odpowiedzialnej postawy wobec systemu społecznej sytuacji, zbieżnej w dodatku z deklaracjami ideowo-moralnymi, które były bliskie większości społeczeństwa. Przedstawiciele demokratycznej opozycji stali się przykładem ludzi, którzy podejmują życie zgodne z własnymi deklaracjami moralnymi.

Z drugiej strony, nauka Papieża pozwalała zobaczyć Kościół jako trwałą i mocną instytucję, która jest w stanie obronić - mimo historycznych meandrów i własnych błędów - podstawową wartość ludzkiej indywidualności, a nawet więcej - która może być ostoją dla przesłania tradycyjnego, humanistycznego ideału. Obraz Kościoła, który troszczy się o zachowanie w kulturze i życiu społecznym wartości osoby i o prawa człowieka, a więc sojusznika, gotowego przyłączyć się i poprzeć wysiłki idące w tym kierunku, był bardzo ważnym efektem papieskiej wizyty.

Właśnie taki obraz Kościoła katolickiego, jako sojusznika w walce o zachowanie wartości i praw osoby, był bardzo rozpowszechniony wśród aktywistów NSZZ "Solidarność", zarówno wierzących, jak i niewierzących /10/. Obie grupy - przynajmniej w ciągu pierwszych kilku miesięcy działalności Związku - często wyrażały aprobatę dla moralnego i kulturowego znaczenia Kościoła, dla roli, jaką odgrywał. Aprobata ta nie była związana z postawą osobistej zależności od Kościoła. Co więcej, głęboka aprobata roli Kościoła nie oznaczała bynajmniej skłonności do podporządkowania się aktywistów Związku sugestiom aktywistów Kościoła w aktualnych sprawach społecznych i politycznych. Chrześcijańska, etyczna nasycona wizja ludzkiego życia była na ogół traktowana jako podstawa dla poszukiwania dobrych rozwiązań społecznych, ale działacze Związkowi podejmowali niezależne decyzje w aktualnych sprawach. Można więc powiedzieć, że w okresie publicznej działalności "Solidarności" głos Kościoła - wyrażany przez kler lub świeckich, związanych z hierarchią kościelną - był jednym ze stanowisk w społecznej i politycznej debacie, jaka toczyła się na aktualne tematy. Często był to głos traktowany ze szczególną uwagą i znacznie ważniejszy, niż inne głosy, ale w obszarze działania społecznego nie był on traktowany jako "jedynie słuszny", i obowiązujący; był jednym z wielu stanowisk, które wyrażano w spo-

tecznej debacie, chociaż na ogół ważniejszym od innych.

Podkreślam to, bowiem sytuacja uległa istotnej zmianie po wprowadzeniu stanu wojennego. Kościół stał się wówczas jedynym wyrazicielem postaw i interesów społeczeństwa, jedynym jawnie działającym sojusznikiem oraz obrońcą ruchu społecznego i ofiar przemocy, której doświadczyła "Solidarność". Stał też oczekiwania i nadzieje ludzi zwróciły się teraz całkowicie ku Kościołowi.

Następujące po wprowadzeniu stanu wojennego lata przyniosły istotne przekształcenia w układzie stosunków społecznych. Przede wszystkim quasi-demokratyczna relacja między Kościołem-instytucją a społeczeństwem ulegała przekształceniu, podobnie jak i wzór relacji w obrębie Kościoła-wspólnoty wierzących. Quasi-demokratyczne stosunki ewoluowały w kierunku bardziej hierarchicznego i autorytarnego modelu. W ciągu lat 1982-1986 niewątpliwie powstrzymane zostały ewolucja Kościoła w kierunku mniej hierarchicznej wspólnoty oraz przemiany autorytarnej struktury postaw w inny model: autentycznego współuczestnictwa i współodpowiedzialności wszystkich członków społeczności za dzieło Kościoła.

Jednakże w końcu lat siedemdziesiątych mieliśmy do czynienia właśnie ze kształtującym się nowym obrazem katolickich ideałów i samego Kościoła - obrazem, który pozwalał pokonywać, a w każdym razie znacznie osłabiał stare nieporozumienia i podejrzliwość wobec kleru i instytucji kościelnej, szczególnie wśród socjalistycznej i humanistycznej inteligencji polskiej. Moralny autorytet Kościoła wydawał się nie przeciwstawić rozwijającej się idei społeczeństwa obywateli i demokracji. Można powiedzieć, że było wręcz odwrotnie: nauka papieska oraz stanowisko manifestowane przez hierarchię, wzmacniało demokratyczne tendencje, szczególnie dzięki akcentowi, jaki kładziono na prawa człowieka, prawo wolnego stanowienia o sobie przez wspólnotę społeczną, prawo narodu do decydowania o typie porządku społecznego, jaki go obowiązuje. Naród jest historycznym podmiotem instytucji społecznych i organizacji władzy w społeczeństwie. Jako wspólnota wolnych osób, ma prawo decydować o sobie. Stanowisko takie, odwołujące się do uczuć narodowych, stanowiło zarazem dobrą kombinację postulatów narodowej i indywidualnej wolności i godności.

W ten sposób "demokracja" stawała się jedynym, możliwym do zaakceptowania sposobem i warunkiem rozwiązania narastających przed społeczeństwem problemów ekonomicznych, politycznych i moralnych.

6.

Chociaż ideały demokratyczne podzielane były coraz bardziej masowo przez polskie społeczeństwo, nie były one dla wszystkich identyczne. Nie wszyscy przypisywali im taki sam sens.

Nauczanie Jana Pawła II oraz stanowisko Kościoła, wspólnie z moralnymi programami demokratycznej opozycji utworzyły podstawę i jakby ideową ramę dla formującego się pojęcia obywatelskości i społeczeństwa obywatelskiego. Ideały demokratyczne oraz postawy wobec Kościoła i tradycji chrześcijań-

skiej okazały się być ze sobą ściśle związane. W trakcie cytowanych już badań nad powstawaniem "Solidarności" w regionie warszawskim znaleźliśmy przekonującą ilustrację dwóch modeli demokracji i zarazem - dwóch typów postaw wobec Kościoła (katolickiego) i religii /11/.

Jeden z nich nazwałem "bardziej liberalnym" modelem demokracji, drugi - "bardziej autorytarnym". Zwolennicy "bardziej liberalnego" modelu widzieli w demokracji coś więcej niż tylko społeczne narzędzie do podejmowania decyzji. Demokracja oznaczała dla nich możliwość i konieczność uczestnictwa każdego z członków społeczności we wspólnej debacie, w procesie negocjacji i społecznego działania. Każdy powinien móc zabrać głos i wyrazić swoją opinię, powinien móc rozwinąć własne inicjatywy, indywidualne i grupowe. Porządek demokratyczny był traktowany jako elastyczny, zmieniający się, wciąż na nowo ustanawiany i uzgadniany proces współdziałania społecznego i nieustannej społecznej dyskusji. Model ten akcentował obywatelskie, indywidualne, spontaniczne zaangażowanie się w proces działań społecznych, indywidualną wolność i niezależność oraz swobodę podejmowania zbiorowych, grupowych działań; akcentował wartość zdecentralizowanego, zróżnicowanego życia społecznego, wartość pluralizmu.

Moralną podstawą tego modelu demokracji były "prawa człowieka" i personalistyczna perspektywa. Tradycja chrześcijańska odgrywała tu ważną rolę jako duchowa, transcendentna podstawa i oparcie dla godności człowieka, wolności, wartości indywidualum oraz znaczenia współpracy i więzi między różnicowanymi jednostkami we wspólnotie. Ta interpretacja religii była bardzo uniwersalna, ekumeniczna, akcentowała osobiste zaangażowanie i osobisty walor wiary, a także indywidualną odpowiedzialność moralną jednostki. Kościół traktowano nie jako hierarchiczną instytucję, ale raczej jako społeczność wiernych, nie tyle jako zorganizowany autorytet, ile jako instytucję, powołaną do ochrony i ukazywania duchowego i etycznego sensu człowieczeństwa: nie jako stróża i nadzorcę prywatnego i publicznego życia ludzi, ale raczej jako sojusznika i wspomożyciela przynoszącego pojednanie i przebaczenie, pomagającego ludziom ustanowić harmonię zarówno między ich prywatnym, jak i publicznym życiem oraz między nimi samymi a metafizycznym porządkiem świata oraz duchowymi wartościami.

Taka postawa wobec Kościoła nie wymagała koniecznie osobistego, religijnego zaangażowania, uczestnictwa w aktualnych formach życia religijnego. Mogła bowiem - by tak rzec - ujmować doświadczenie religijne w kategoriach uniwersalnego wzoru kulturowego. Jej zwolennicy mogli powiedzieć, że podobne cele osiągnąć mogą również w inny sposób, poza Kościołem. Chrześcijaństwo mogło być tutaj potraktowane jako wzór - powiedzmy tak - duchowego humanizmu. Choć - z drugiej strony - można powiedzieć, że ta sama postawa pozwalała wejść bardzo głęboko w problem wiary i osobistego zaangażowania człowieka w świat transcendentnych wartości, stać się zaczątkiem głębokiej, osobistej wiary.

Drugi model, "bardziej autorytarny", traktował demokrację bardziej jako dobre narzędzie podejmowania sprawiedliwych i zgodnych z wolą większości decyzji, a zarazem jako sposób, który pozwalałby wyeliminować w społeczności władzę mniejszości. Demokracja była więc tu pojmowana przede wszystkim

jako sposób kontrolowania władzy w życiu społecznym i sposób wybierania autorytetów wśród tych, którzy cieszą się prawdziwym uznaniem i poparciem większości dla swych osobistych walorów, zgodnych, rzecz jasna, z transcendentnymi wartościami. Zwolennicy tego modelu akcentowali skuteczność demokratycznej kontroli władz państwowych oraz wszystkich reprezentantów opinii i interesów społecznych. Podobnie jak zwolennicy pierwszego modelu, również zwolennicy tego drugiego akcentowali znaczenie demokracji jako gwaranta i ram umożliwiających rozwój indywidualnej wolności, swobody działania, zarówno jednostkowego, jak i zbiorowego, dla osiągnięcia swych celów. Ale w odróżnieniu od poprzedniego modelu demokracji zwolennicy "bardziej autorytarnego" typu znacznie mocniej podkreślali wartość wzajemnych zobowiązań obywateli. Upatrywali wartość w tym, że obywatele, którzy przyjęli i wzajemnie uzgodnili zasady współżycia, będą ich przestrzegać i lojalnie działać zgodnie z nimi dla wspólnego dobra.

Zwolennicy tego modelu zwracali znacznie większą uwagę na tradycję narodową i znaczenie wartości narodowych. Odgrywały one ważną rolę w ich wizji procesu społecznych negocjacji i uzgadniania wspólnego działania. Społeczeństwo wolnych obywateli powinno pamiętać o tradycji, o spuście narodowej, o jedności narodu jako istotnej wartości. To właśnie wzgląd na wspólnotę narodową nakazywał umiarkowanie w zaspokajaniu własnych interesów i troskę o dobro innych rodaków. Dlatego też postawa osobista ludzi wobec Kościoła miała większe znaczenie dla zwolenników tego modelu. Postawa wierzącego była znakiem sojusznictwa w dążeniach do demokratycznego ładu. Bowiem Kościół był tu widziany jako źródło, ostoją i obrońcą trwałości i narodowej kultury. Chrześcijaństwo traktowano jako podstawę narodowej kultury, jego uniwersalne przesłanie ujmowano w powiązaniu z wartościami narodowymi i pojęciem narodowej tożsamości. Kościół odgrywał więc rolę zarówno wyraziciela treści narodowej kultury, jak i obrońcy indywidualnych, ludzkich praw na równi z prawem wyrażania narodowej tożsamości, stanowienia narodu o sobie. Nie oznacza to bynajmniej w pełni "nacjonalistycznej" interpretacji katolicyzmu, chrześcijaństwa, Kościoła. Ale w porównaniu z poprzednim modelem demokracji i jego uniwersalnym nastawieniem, traktującym przykład Chrystusa jako wyraz transcendentnych wartości humanistycznych, ten drugi model był bardzo wyraźnie zabarwiony szczególnie, narodowymi uczuciami. Był też znacznie mniej duchowy i intelektualny, a bardziej moralistyczny, niż poprzedni /12/.

Zaprezentowane wyżej nader szkicowo modele postaw wobec demokracji i - zarazem - Kościoła są idealizacjami w weberskim sensie słowa. Wolno jednak potraktować je jako "idealizacje empiryczne" /13/, ponieważ znaleźliśmy w badaniach rzeczywiste przykłady obu tych modeli postaw. Okazało się, że nie są to jedynie modele postaw indywidualnych. Zakładowe organizacje związkowe "Solidarności" w dwóch wielkich i ważnych zakładach przemysłowych Warszawy okazały się reprezentować nastawienie charakterystyczne dla naszych modeli. Większość aktywistów związkowych w jednym z tych zakładów reprezentowała postawy i wyrażała poglądy, które ujęliśmy jako "bardziej liberalny" model demokracji. W drugim zakładzie większość aktywistów wyznawała opinie i zasady, jakie znalazły się w naszym "bardziej autorytarnym" modelu. Wpłynęło to - rzecz jasna - na klimat, na atmosferę działania

organizacji zakładowych, a w pewnym stopniu również na styl i cele działania. Można było wskazać bardzo wyraźne różnice stylu i niektórych zasad działania komisji zakładowych "Solidarności" w obu zakładach. Chociaż - z drugiej strony - nie należy tego zróżnicowania przeceniać: nie umożliwiała ono bliskiej i intensywnej współpracy między obiema organizacjami, ani też nie oznaczało niemożności reprezentowania postaw przeciwstawnego modelu w danym zakładzie.

Pozwala to stwierdzić, iż postawy wobec demokracji i sposób jej pojmowania uporządkować możemy na skali, której ekstremalne punkty stanowią wyodrębnione wyżej modele postaw. Oznaczałoby to możliwość uporządkowania demokratycznych poglądów ludzi na tak skonstruowanej skali. Wniosek ten może być jednak nie całkiem uzasadniony w odniesieniu do całego ruchu "Solidarności". Wydaje się on dosyć dobrze potwierdzony w Warszawie i w byłym Regionie Mazowsze. Całkiem uzasadnione jest jednak przypuszczenie, że postawy ludzi i sposób pojmowania demokracji w całym kraju mogły być bardziej zróżnicowane niż w Warszawie i jej okolicach. Zresztą również i w stolicy, w lecie 1981 roku zmanifestowano nowe modele postaw i pojawiły się tendencje, które były znacznie bardziej oddalone od siebie niż wyżej wskazane. Mam tu na myśli przede wszystkim grupę tzw. "prawdziwych Polaków", których silnie nacjonalistyczne nastawienie wzbudzało niepokój u większości działaczy i związkowców. Jak się wydaje, "prawdziwi Polacy" osiągnęli granicę, której przekroczenie groziło załamaniem się społecznego konsensusu co do pojmowania wartości demokratycznych i sensu społeczeństwa obywatelskiego. Prawdopodobnie podobne grupy pojawiły się również w innych miastach i regionach Polski.

Stanowiska tych grup - aczkolwiek niejednokrotnie używały one sloganów demokratycznych - w gruncie rzeczy nie były modelami ładu demokratycznego i postaciami demokratycznymi. Walka o reformy społeczne i dążenie do społeczeństwa obywatelskiego było pojmowane jako zdobycie władzy, kontroli nad państwem przez naród oraz ustanowienie rządów zgodnych z narodowo-katolicką tradycją. Celem zasadniczym była eliminacja "obcych" i tego wszystkiego, co nie było zgodne z tradycyjnymi wyobrażeniami "Polaka-katolika". "Obcymi" zaś byli rządzący komuniści, jakieżnaczną część działaczy opozycji demokratycznej i własnych aktywistów Związku.

Jednakże prawdziwa reanimacja z socjologicznego punktu widzenia tradycyjnych, a nawet archaicznych wzorów i ideologicznych koncepcji nastąpiła po wprowadzeniu stanu wojennego.

7.

Tak więc w ciągu minionych kilku lat odrzucenie socjalizmu z jednej strony, a wzrost znaczenia Kościoła i religii z drugiej, spowodowały pojawienie się wielu różnych tendencji. Obecna sytuacja jest złożona i skomplikowana, a także nie tak wyraźna, jak to było w okresie "Solidarności".

Odrzucenie socjalizmu skłoniło niektóre grupy i środowiska do opowiedzenia się za nacjonalistycznym wzorcem religijności. Stąd można zaobserwować ożywienie tradycyjnego wzorca "Polaka-katolika". Oznacza to powrót do życia agresyw-

nie narodowych, ksenofobicznych i antysemickich postaw oraz pełni narodową interpretację katolicyzmu. Ten zespół postaw skłania ludzi do powrotu do ideologii Narodowej Demokracji, z tym, że dodane jest teraz do odziedziczonej ideologii wyraźnie antyrosyjskie nastawienie.

Lecz zarazem odrzucenie socjalizmu przez ogół ludzi w Polsce jako ogólnej perspektywy i sposobu określania dobrego, pożądanego ładu społecznego nie oznacza, iż ludzie odrzucają wszystko, co wywodzi się z politycznej i ideologicznej tradycji socjalistycznej. Wracając do spraw Kościoła i religii, zwłaszcza intelektualistów i różne grupy inteligencji polskiej skłonne są uznawać niektóre elementy spuścizny i dorobku socjalistów - a zarazem nie są skłonne przyznawać wartości wielu tradycyjnym formom polskiego katolicyzmu. Patrzą oni krytycznie na modelowe postawy społeczności wierzących w kraju. Pragną bowiem zachować bardziej krytyczną i niezależną postawę wobec Kościoła-instytucji, niż jest to możliwe dla zwolenników tradycyjnych postaw.

"Nowi wierzący", wywodzący się z humanistycznych i socjalistycznych grup inteligencji, są bliscy nowoczesnym tendencjom w łonie Kościoła katolickiego. Ich postawy niekiedy wyraźnie różnią się od postaw ludzi, którzy od dzieciństwa związani byli z religią oraz uczestniczyli w liturgii i życiu Kościoła katolickiego. Jednakże - ogólnie rzecz ujmując - ich obecność wzmacnia i ożywia tendencje modernizacyjne w Kościele polskim, które zapoczątkował II Sobór Watykański. "Nowi wierzący" wnoszą też nowe elementy do tradycji, jaką uformowała w polskim Kościele i wspólnocie wierzących grupa katolickiej inteligencji polskiej w minionych pięćdziesięciu latach. Nowoczesna grupa katolickiej inteligencji była przez lata wyraźną mniejszością w polskim Kościele. Poglądy, styl życia i ethos tej grupy bardzo różnił się od wzoru, przyjmowanego przez większość polskich katolików. Lokowali się oni - mniej lub bardziej - niejako na marginesie życia katolickiego. Obecnie dorobek tej grupy katolickiej inteligencji rozpowszechnia się i ma szansę, by stać się własnością znacznie większej liczby wierzących. Zaczyna on wpływać, poprzez modyfikacje, na wzorce postaw i formy religijności większości.

Można wskazać jeszcze inną tendencję nie tylko wśród inteligencji, ale również w kręgu aktywistów "Solidarności". Tendencja ta rozwija próby sformułowania nowego obrazu dobrego i pożądanego ładu społecznego, nowej wizji w pełni sensownego życia ludzkiego w oparciu o europejskie i amerykańskie tradycje liberalno-konserwatywne. Popularność zarówno klasycznych idei konserwatywnych, jak i poglądów tzw., neo-konserwatystów amerykańskich staje się charakterystyczną cechą dla, że się tak wyrażę, "nowej" polskiej elity społecznej. "Nowej" - tej, która wyłoniła się w latach 1980-81 i potem. Pod tym określeniem rozumiem grupę ludzi, którzy stali się widocznymi, byli aktywni i często odgrywali rolę przywódców w ruchu społecznym "Solidarności". Mianem tym obejmuję jednak nie tylko aktywistów i aktywnych sympatyków NSZZ "Solidarność", lecz również grupę aktywnych chłopów (zwłaszcza rozwijających niezależne działania i manifestujących niezależnie postawy po wprowadzeniu stanu wojennego), jak też aktywistów niezależnego ruchu studenckiego. "Nowa elita" byłaby zatem rozległa grupa, powiązana przez zaangażowanie w ruch demokratycznych reform i zarazem grupa, któ-

ra zyskała swego czasu poparcie opinii publicznej. Liczne kręgi tej "nowej elity" tworzą obecnie grupy aktywistów specjalnych duszpasterstw środowiskowych (Duszpasterstwo Wiejskie, Ludzi Pracy itp.)

Obok tych niewątpliwie nowatorskich tendencji mamy do czynienia z próbami ożywienia starych i wręcz archaicznych postaw i ideologii. Według mnie, ekstremalnie nacjonalistyczne tendencje, które ożywiają wzór "Polaka-katolika" są raczej marginesowe, chociaż rzucają się w oczy. Tymczasem przekonania religijne i związane z nimi moralne i polityczne postawy większości Polaków są raczej nie zrównoważone, dla samych ludzi nie do końca sprecyzowane, mętne; wydaje mi się, iż można opisać stanowisko większości jako lokujące się między nowoczesnym, humanistycznym, personalistycznym, osobistym i ekumenicznym chrześcijaństwem, które stanowi rozwinięcie idei II Soboru Watykańskiego (jak też w dużym stopniu wyrażana jest przez Jana Pawła II), a tradycyjnym pojmowaniem katolickiej religijności, gdzie wartości narodowe odgrywają bardzo ważną rolę.

Opisać więc byłbym skłonny strukturę postaw "wierzącej większości" jako pełną niespodziewanych sprzeczności, "mozaikowa", a zatem będącą w procesie krystalizowania się.

8.

Powyższy tekst nie aspiruje - oczywiście - do pełnego opisu tego, co nazwałem na wstępie "religijnym aspektem" ruchu społecznego "Solidarności". Zresztą rozliczne fragmenty powyższych rozważań wykraczają znacznie poza ramy tytułowe; starałem się bowiem dać jakieś przybliżenie procesów i przekształceń postaw, jakie wystąpiły po brutalnym zdławieniu ruchu związkowego i społecznych reform. Takie "przedłużenie" perspektywy czasowej wydało mi się znacznie bardziej interesujące, a ponadto konieczne - "dalszy ciąg" pozwala bowiem zobaczyć we właściwym świetle naprawdę unikalne cechy czasu działania "Solidarności". Owa unikalność dotyczy również spraw, które wchodzą w zakres aspektu religijnego działań i uczuć społecznych.

Powyższy tekst sprawiać może wrażenie niedokończonego. Istotnie, należałoby zastanowić się bardziej systematycznie zarówno nad "nową elitą", jak i nad inteligencją i ich stosunkiem do Kościoła i do religii obecnie. Sprawa ma wielkie i aktualne znaczenie. Miejmy nadzieję, że problem będzie można podjąć i swobodnie przedyskutować w najbliższej przyszłości.

Niniejszy tekst jest właściwie tłumaczeniem referatu, przygotowanego przeze mnie w języku angielskim na konferencję w Wiedniu. Ponieważ pomyślany był jako referat i ewentualnie tekst, który ma się ukazać w zagranicznym wydawnictwie, ma on pewne cechy szczególne, które mogą nieco denerwować krajowego czytelnika. Przyjmuje też w nim ton - by tak rzec - "prezentywistyczny" i czasem ta "prezentacja", czy niektóre wyjaśnienia wydać się mogą zbędne, a nawet śmieszne. Ponieważ jednak wydawało mi się, iż sprawy, które tutaj poruszam oraz obraz, jaki zarysowuję, jest sprawą dla nas wszystkich ważną - bez względu na osobiste wyznanie

wiary i przynależność religijną i ponieważ zarazem niewiele jest tekstów, które w podobny sposób podchodziłyby do sprawy, postanowiłem w tej wersji go opublikować.

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

PRZYPISY

1. Por. np. D. Bell *Sociological Journeys: Essays 1960-1980*; Heinemann, London, 1980.
L. Kołakowski, *Religion*, Fontane Paper-Books, 1982.
po polsku np. D. Bell, J. Ellul, M. Eliade, L. Kołakowski, *Powrót sacrum*, wyd. Głosy, Poznań 1985; również L. Kołakowski, *Czy diabeł może być zbawiony?*
2. Przedstawiam te tezy w oparciu o wyniki badań, prowadzonych jesienią 1980 roku. Zob. I. Krzemiński, G. Bakuniak, E. Banaszak, A. Kruczkowska, *Polacy-Jesień'80*, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1983.
3. I. Krzemiński, "Solidarność" - sens ludzkiego doświadczenia, "Aneks", nr. 40, 1985. Również: "Przegląd Polityczny", nr 6, 1985.
4. I. Krzemiński, *Proces społeczny - działania i symbole*, w: *Polacy-Jesień'80*, op. cit.
5. Por. M. Gadomska, *Przemiany w percepcji podziałów społecznych*, w: *Społeczeństwo polskie w czasach kryzysu*, red. S. Nowak, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1984.
L. Kolarska-Bobińska, *Interesy społeczne i postawy egalitarne a zmiana ładu gospodarczego*, "Studia Socjologiczne", nr 2/1985.
6. I. Krzemiński, *Proces społeczny...*, op. cit. Również G. Bakuniak, *My - "solidarność" - nowy związek we własnych oczach*, w: *Polacy-Jesień'80* op. cit.
7. I. Krzemiński, *System społeczny "epoki gierkowskiej"*, w: *Społeczeństwo polskie czasu kryzysu*, op. cit.
8. *Ibidem*
9. T. Szawiel, *Struktura społeczna i postawy a grupy ethosowe*, "Studia Socjologiczne" I-2, 1984.
10. I. Krzemiński, *Polacy-Jesień'80*, op. cit.
11. *Ibidem*; patrz także I. Krzemiński, "solidarność - sens ludzkiego doświadczenia", op. cit.
12. Duchowe znaczenie ideologii "Solidarności" analizowałem w: I. Krzemiński, *Zakorzenienie*, "Aneks" 43-44, 1986.
13. Ilja Lazari-Pawłowska, *O model typologiczny w humanistyce*, Warszawa 1966.

Lech Mażewski

CZY PRL JEST NADAL PAŃSTWEM TOTALITARNYM?

Trudności w ustaleniu, czy PRL w chwili obecnej jest państwem totalitarnym, nie wynikają przede wszystkim ze skomplikowanego charakteru samego problemu. Pojęcie totalitaryzmu, analizowane i dyskutowane przez zachodnich politologów w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, przeszło w ostatnim dziesięcioleciu do języka potocznego Polaków. Trafiając pod strzechy termin ten utracił swój pierwotny, zbliżony do naukowego, charakter. Stał się polityczną bronią tym wygodniejszą, im bardziej jednoznaczny jest sens emocjonalny i etyczny słowa "totalitaryzm". Określenie to bowiem wskazuje na zło radykalne, zło, jakiego dzieje ludzkie do tej pory nie znały. Skoro walka z totalitaryzmem nie jest walką ze złem cząstkowym, to nie pozwala na normalne i konieczne manewry, przetargi, polityczny kompromis. To walka wedle reguły *out-out*, na śmierć i życie.

Sukcesy radykalnie antytotalitarnych działań polskiego cywilnego ruchu oporu są niezaprzeczalne. W ostatniej dekadzie, w przybliżeniu od czasu protestów społecznych przeciwko zmianie konstytucji PRL /1976 r./, rozpoczął się nowy, trwający do dzisiaj, okres w życiu naszego społeczeństwa i PRL w ogóle. Jedną z charakterystycznych cech tego czasu jest niespodziewane pojawienie się "Solidarności", a następnie jej błyskawiczny rozwój i równie szybki upadek - przynajmniej jako ruchu masowego. Innym istotnym znamieniem tych lat jest stopniowe ujawnianie się nowego *image'u* PRL. Czy w tej sytuacji, obstając nadal przy kwalifikacji PRL jako państwa totalitarnego, nie grozi prześlepienie własnego czasu, przegapienie tego, że zmienił się kraj, przeciwnik, sojusznicy, warunki działania? Czy operowanie w odniesieniu do współczesnej Polski pojęciem totalitaryzmu nie osłabia naszych szans rozwijania pogłębionego intelektualnie myślenia o społecznej rzeczywistości w kategoriach politycznych? Sprawy te mają dla nas niebagatelne znaczenie.

CECHY SYSTEMU TOTALITARNEGO

Częsty sposób analizy systemów totalitarnych polega na ich opisie i na tej podstawie stwierdzaniu występowania cech wspólnych. Takie postępowanie doprowadza do wyróżnienia kilku istot-

nych zjawisk w systemach uznanych za totalitarne. Najczęściej zalicza się do nich: istnienie oficjalnej ideologii i związany z tym monopol kontroli nad wszelkim środkami efektywnej komunikacji społecznej, masową monopartię, kierowaną zazwyczaj przez jednostkę nadrzędną lub/i powiązaną z biurokracją państwową, rozbudowany system psychicznej lub fizycznej przemocy policyjnej, monopol kontroli nad bronią przez partię i podporządkowaną jej biurokrację, centralną kontrolę i kierowanie całą gospodarką oraz specyficzne zasady zorganizowania społeczeństwa.

O f i c j a l n a i d e o l o g i a. Podkreślając rolę ideologii jako jednego z konstytutywnych czynników systemu totalitarnego, zwrócić należy uwagę na jej wyłączność i wszechobecność we wszystkich sferach życia społeczeństwa oraz nadrzędny i determinujący charakter zarówno wobec zachowań władzy, jak społeczeństwa. Funkcja ideologii wynika z jej treści, zawierającej utopijne elementy, pewną wizję rajy na ziemi. Ten utopijny i chiliastyczny aspekt ideologii totalitarnych nadaje im pseudonaukową jakość, zastępując tym samym platformy wyborcze partii politycznych, zawsze krytycznych wobec istniejącego stanu rzeczy - ideologie totalitarne są przeciwieństwem takich programów.

Oficjalna ideologia generuje działanie władzy poprzez określenie pozytywnego celu oraz wyznaczenie strategii jego realizacji. Stanowiąc konstruktywne myślowe określenia cel całego systemu i sposoby jego osiągnięcia oraz uzasadniając poczynania władzy, pełni funkcję legitymizowania nowego reżimu. Ale ważny jest również wpływ ideologii na społeczeństwo - ma ona mobilizować masy do wspólnego wysiłku i doprowadzić je do wymaganej jedności. Mobilizowanie społeczeństwa dokonuje się za pośrednictwem propagandy, której efektywność wzmocniona jest wyłącznością kontroli środków masowego przekazu, pozostającej w rękach władzy. Panowanie oficjalnej ideologii wsparte na monopolu środków masowego przekazu ma uzasadnić fikcję jedności społeczeństwa.

S y s t e m m o n o p a r t y j n y. Jednopartyjność to kolejna cecha systemu totalitarnego. Istnienie jednej tylko partii, to skutek oficjalnej ideologii, ale także przyczyna określonego kształtu struktur politycznych i ich funkcjonowania. Z faktu istnienia jednej, masowej partii, kierowanej przez jednego człowieka i składającej się z relatywnie małego odsetka całej populacji, wynika określona jej organizacja wewnętrzna oraz charakterystyczne związki z aparatem państwowym.

Organizacja wewnętrzna monopartii bywa określana jako oparta na wzorze autorytarnym. Partia jest hierarchicznie ustrukturyzowaną maszyną polityczną, a biurokraci partyjni koniecznymi politycznymi pomocnikami dyktatora. Sztywna hierarchia i scentralizowana władza to wynik stopniowego procesu, w którym dominująca tendencja wiedzie ku elitarności. W tym miejscu podkreślić należy rolę przywódcy partii. Zajmuje on uprzywilejowaną pozycję na wierzchołku struktury partyjnej, jest wykonawcą ideologicznych wizji i łącznikiem ze światem zewnętrznym. Powiązanie partii z państwem w systemie totalitarnym polega na wyłączności dysponowania przez partię dostępem do aparatu państwowego oraz na skupieniu w jej ręku władzy politycznej i duchowej. W rezultacie partia nie tylko podporządkowuje sobie państwo, ale uzyskuje efektywną możliwość oddziaływania na spo-

teczestwo.

Zorganizowany przymus i przemoc. Kolejnym powszechnym zjawiskiem występującym w totalitaryzmie jest sprężona z ideologią przemoc, realizowana głównie przez system intensywnej kontroli policyjnej. System ten chroni, ale również nadzoruje partię z polecenia przywódców. Zorganizowana przemoc, co charakterystyczne, skierowana jest nie tylko przeciw rzeczywistym przeciwnikom, ale także przeciwko arbitralnie wybranym z populacji grupom - często są to także członkowie samej partii. Kategoria "wroga" ma charakter w dużym stopniu arbitralny, bowiem zaliczenie do tej zbiorowości zależy wyłącznie od swobodnego uznania władzy. Z "tropieniem wroga" związana jest specyfika funkcji policji. Jej głównym zadaniem nie jest wcale wykrywanie przestępstw, ale dyspozycyjność wobec rządzących, gdy władza decyduje się aresztować pewne grupy ludzi w celu ich eliminacji z życia publicznego. Przemoc i przymus są wszakże uzasadnione. Wspomagają one realizację oficjalnej ideologii, bo nie dokona tego żadne spontaniczne działanie ludzi, są zatem niezbędnym elementem totalitarnego przyspieszenia. Pełna skuteczność działań policyjnych możliwa jest jednak wyłącznie w społeczeństwie zatimizowanym, a więc wśród ludzi wzajemnie od siebie odizolowanych.

Monopol kontroli nad bronią. Z panowania oficjalnej ideologii wynika zatarcie istotnego dla systemów demokratycznych rozróżnienia na sfery cywilną i wojskową, a w konsekwencji wyłączenie tej ostatniej z bieżącej gry politycznej. Totalitaryzm upolityczniając wszystkie dziedziny ludzkiej aktywności nie może oczywiście pominąć wojskowości. Armia traci swój apolityczny charakter i w mniejszym lub większym stopniu staje się partyjną przybudówką. Podporządkowanie sił zbrojnych decyzjom partyjnym zapewnione jest m.in. przez wysoki stopień upartyjnienia korpusu zawodowego armii i dyspozycyjność dowództwa wobec kierowniczych instancji monopartii. Siły zbrojne w systemie totalitarnym mają do wypełnienia nie tylko zadania zewnętrzne - zabezpieczenie terytorialnego rozwoju totalitarnego imperium. Nie mniej istotną ich funkcją jest rola, jaką odgrywają wewnątrz państwa. W pewnych sytuacjach zadania wojska mogą zostać rozszerzone nie tylko na wspomaganie policji w realizacji masowego terroru, ale armia może także wystąpić jako siła rezerwowa systemu, gdy buntu społeczeństwa nie da się opanować normalnymi, tj. policyjnymi środkami. W tej ostatniej sytuacji "armia nowego typu" staje się ostatnią siłą rezerwową "partii nowego typu".

Centralna kontrola gospodarki. Naczelnym celem gospodarowania w systemach totalitarnych jest maksymalizacja panowania politycznej grupy rządzącej. Zasada maksymalizacji przywództwa politycznego wypiera zasadę maksymalizacji użyteczności i zysku w wymianie pomiędzy konsumentem a producentem.

W obu formach totalitarnego socjalizmu - nacjonalistycznej /fasyzm i nazizm/ i internacjonalistycznej /bolszewizm/ - społeczna kontrola produkcji dla wspólnego dobra uchodzi za rzecz konieczną. Model stworzony w ZSRR, Chinach i innych krajach komunistycznych, okazał się bardziej konsekwentny i bardziej odporny niż faszizm lub nazizm. W ramach tego modelu dokonano całkowitej nacjonalizacji środków produkcji i podziału w mniemaniu, że położono w ten sposób podwaliny pod wszechobejmujące,

powszechne panowanie. Całkiem konsekwentny ustrój totalitarny zakłada całkowitą państwową kontrolę działalności gospodarczej; stąd da się pomyśleć tylko w ramach ustroju socjalistycznego. Faszyzm i nazizm nie usiłowały przeprowadzić całkowitej nacjonalizacji; być może dlatego ich panowanie było względnie krótkotrwałe. O tyle więc były mniej totalistyczne, o ile pozostawiały pewne segmenty społeczeństwa w mniejszej zależności gospodarczej od władzy państwowej. Nie oznacza to jednak, że były "lepsze" w ludzkich kategoriach: pod wieloma względami nazizm był bardziej barbarzyński niż bolszewizm.

O r g a n i z a c j a s p o ł e c z e ń s t w a. Organizacja społeczeństwa w systemie totalitarnym ma dwa aspekty: instytucjonalny i jednostkowy. Instytucjonalny charakter organizacji społeczeństwa totalitarnego wyróżnia się zlikwidowaniem organizacji nie związanych z zasadniczym celem reżimu. Władzy państwowo-partyjnej podporządkowane są wszystkie organizacje społeczne, stanowiące fasadę wobec świata zewnętrznego. Natomiast jednostkowa organizacja totalitarnego społeczeństwa wyraża się - zdaniem Hannah Arendt - występowaniem "mas". Termin ten odnosi się do ludzi, którzy albo z powodu swej ilości, albo obojętności, nie mogą być zintegrowani w żadną organizację opartą na wspólnych zainteresowaniach. Masy nie mają świadomości wspólnych interesów i zanika u nich ta specyficzna grupa artykulacja, która przejawiałaby się gdyby były one zdolne do określania osiągalnych celów. Ruch totalitarny organizuje masy, oferując sens istnienia oparty na przynależności do partii i różnych organizacji kontrolowanych przez władzę, przedstawiając programy pozbawione konkretnej treści, żądając jednocześnie w zamian całkowitej, nieograniczonej, bezwarunkowej lojalności. Oczekiwanie lojalności od ludzi nieprzywiązanych do rodziny, przyjaciół, znajomych pociąga za sobą eliminowanie z życia społecznego wszelkich przejawów niezależności i nieortodoksyjności.

Zanik autentycznego pluralizmu, fasadowość odgórnie kierowanych organizacji, atomizacja społeczeństwa i rozpad więzi społecznych to cechy wyróżniające totalitarny system społeczny.

Łatwo zauważyć, iż spośród cech totalitaryzmu niektóre odnoszą się do społeczeństwa totalitarnego, inne zaś do totalitarnego państwa i systemu politycznego. Uwagę zwraca zatarcie granicy między nimi, przede wszystkim poprzez przerost struktur biurokratycznych i wpływ państwa na organizacje społeczne. Można zatem powiedzieć, iż w klasycznym "idealnym typie" paradygmatu totalitarnego społeczeństwo - w takim sensie tego słowa, jakie nadaje mu socjolog - nie istnieje. Istnieje bierna masa składająca się ze zatomizowanych jednostek. Interesy społeczne nie artykułują się spontanicznie, lecz są narzucane odgórnie. Organizacje /w tym gospodarcze/ nie są wyrazicielami żadnych grupowych interesów. Praktycznie bowiem cały ład społeczny stanowi jedną organizację.

WYSTĘPOWANIE CECH SYSTEMU TOTALITARNEGO W PRL

Po wyodrębnieniu i syntetycznym opisanu postawowych cech systemu totalitarnego można przystąpić do próby odpowiedzi na tytułowe pytanie. Dyskusję tego problemu rozpocząć należy od rozważenia na ile cechy totalitarnistyczne występują w chwili obecnej w budowie i funkcjonowaniu zarówno PRL-owskiego systemu politycznego, jak polskiego społeczeństwa.

Smierć oficjalnej ideologii. Specyfika totalitaryzmu polega na tym, że cele swe osiąga on bynajmniej nie poprzez prymitywny terror fizyczny /co potrafi być jaka dyktatura/, ale dzięki precyzyjnie wyważonej kombinacji terroru fizycznego i psychicznego, przy czym ten drugi w długiej perspektywie jest ważniejszy od pierwszego. Słowem, totalitaryzm wychodzi z założenia, że tylko wówczas może utrzymać swój stan posiadania i zapewnić posłuszeństwo swych poddanych, jeśli uda mu się podporządkować duszę człowieka. A to w obecnej Polsce jest całkowicie nierealne. Wiara komunistyczna w pewnych okresach dziejów PRL niewątpliwie istniała jako wiara żywa. Lecz dziś można bez wahania stwierdzić, że zniknęła, że PRL-owski system władzy musi się obywać bez niej. Oficjalna ideologia jest konieczna dla uprawomocnienia systemu władzy, ale ani rządzący, ani rządzeni w współczesnej Polsce nie traktują jej już poważnie.

Smierć oficjalnej ideologii w PRL nastąpiła w dwu odrębnych sekwencjach wydarzeń. Przede wszystkim marksyzm-leninizm nigdy nie uzyskał pełnego ideologicznego monopolu. Na przeskodzie stanęło tu chrześcijaństwo ze swoją nauką o nadprzyrodzonej godności osoby ludzkiej jako *imago Dei* oraz z Chrystusowym żądaniem rozdziału władzy duchowej od świeckiej. Uchronienie we wczesnych latach pięćdziesiątych depozytu wiary przed deprawacją umożliwiało stopniowe ograniczanie roszczeń oficjalnej ideologii. Właściwym początkiem końca oficjalnej ideologii był pogrom rewizjonistów w marcu 1968 roku. Po opuszczeniu przez nich PZPR marksyzm w świadomości polskich elit umarł. Proces ten przypieczętowało wydanie "Głównych nurtów marksizmu" Leszka Kołakowskiego. Niedługo potem następuje śmierć ideologii w świadomości masowej. Samo powstanie i istnienie "Solidarności" jest kresem podstawowej formuły legitymizującej władzę komunistyczną, tj. mitu awangardy proletariatu. Od początku działalności Lenina było jasne, że proletariacka mniejszość ma wprawdzie sprawować władzę, lecz bynajmniej nie wedle modelu zawartego w *Państwie a rewolucji*, ale zgodnie z zasadami wyłożonymi w *Co robić?*. W myśl tych zasad świadomość proletariacka wnoszona jest do klasy robotniczej z zewnątrz i dopiero, gdy wykształci się odpowiednia forma tej świadomości, zwana świadomością polityczną, powstaje partia - jedna tylko - formująca interesy klasy. Tymczasem polscy robotnicy, tworząc "Solidarność", sami, a więc bez pośrednictwa partii komunistycznej, rozpoczęli artykułowanie swoich rzeczywistych interesów. W ten sposób leninowska awangarda klasy robotniczej otrzymała wyzwanie od zorganizowanej reprezentacji tejże samej klasy. Nie mogąc sprostać temu wyzwaniu, w imię "obiektywnego interesu" klasy robotniczej, państwo komunistyczne przemocą rozbija Związek. Ratując władzę polityczną grupy rządzącej, uśmiercono - już nie tylko w odczuciu elit, ale całego społeczeństwa - oficjalną ideologię.

Fakt, że komunistyczna władza nie próbuje już nawet utwierdzać zasady własnej prawomocności i że czuła się zmuszona do wystąpienia bez ideologicznej osłony jako naga przemoc - jest sam w sobie wymownym symptomem rozkładu totalitarnego systemu władzy. Śmierć oficjalnej ideologii spowodowała, że jej główna funkcja sprowadza się obecnie do pozbawienia społeczeństwa własnego języka. W wyniku tego, że dyskusja o problemach społecznych w środkach masowego przekazu prowadzona jest prawie wyłącznie językiem niezrozumiałych frazesów, ludzie rzeczywiście tracą zainteresowanie tymi problemami. Mają ciągle niewielkie

możliwości dania wyrazu swemu niezadowoleniu, są bowiem często pozbawieni możliwości nieideologicznego myślenia. Istnieje groźba, że choćby ze względu na swój język nieuchronnie mogą pozostać jednostkami zamkniętymi w kręgu swoich prywatnych spraw. Długofalowe nadzieje na przywrócenie społeczeństwu umiejętności publicznej dysputy wiązać należy z ostatecznym obaleniem komunistycznego monopolu na środki masowej komunikacji. Niezależna prasa i nieocenzurowana książka są jedną z dróg prowadzących do ponownego uobywatelnienia Polaków.

M a r t w o t a m o n o p a r t i i. Społeczeństwo w systemie komunistycznym nie jest wzywane wyłącznie do posłuszeństwa, ale również do aktywności. Z jego najbardziej aktywnej części formuje się kadry masowej monopartii o pionowej - bez horyzontalnych połączeń - strukturze wewnętrznej. Ta ostatnia faktycznie łączy się z aparatem państwa w jeden nierozzerwalny i wszechogarniający oraz wertykalny system władzy, którego totalnej dominacji jest poddawane całe społeczeństwo.

W dziejach PRL dwukrotnie podjęto próbę demokratyzacji PZPR. W 1956 roku Julian Hochfeld proponował m.in. utworzenie kilku równorzędnych ośrodków kierowniczych w partii. Szczególnie chodziło o to, aby klub poselski stał się zespołem do kolektywnego realizowania przywódczej roli partii w Sejmie, a nie zespołem czysto wykonawczym w stosunku do klasycznych kierowniczych instancji partyjnych /Biura Politycznego czy Sekretariatu/. Na krótką metę pluralizm wewnątrz kierowniczych organów partii zawocowałaby funkcjonowaniem kontroli wewnętrznej. W dłuższej perspektywie sytuacja taka musiałaby doprowadzić do powstania frakcji, a ich trwałe istnienie równoznaczne byłoby z faktyczną wielopartyjnością. To zaś byłby kres totalitarnej wersji komunizmu. Próba ta nie powiodła się. Na przełomie lat 1980/81 mieliśmy do czynienia z drugą inicjatywą wewnętrzną demokratyzacji PZPR. Wysiłki te podjęte były przez ruch struktur partyjnych, a więc grupy członków partii negujących samą istotę leninizmu, czyli wertykalną budowę partii komunistycznej. Żądano przede wszystkim ograniczenia pozycji aparatu partyjnego poprzez odebranie mu prawa do podejmowania decyzji politycznych; te miały być podejmowane tylko przez organy pochodzące z wyboru. Zmianie ulec miała pozycja Biura Politycznego, które stałoby się ciałem koordynującym działania Komitetu Centralnego, a nie podejmującym bezpośrednie decyzje. Domagano się również prawa do tworzenia osobnych "platform" wewnątrzpartyjnych, a więc w praktyce uchylenia zakazu frakcyjności uchwalonego na X zjeździe RKP/b/ w 1921 roku. Ta próba także nie powiodła się.

Obie próby obalenia leninowskiej struktury PZPR w przypadku powodzenia w poważny sposób przyspieszyłyby proces detotalizacji PRL. Zakończyły się one jednak porażkami. Uwzględniając uwiad oficjalnej ideologii, zrozumiała stanie się biurokratyczna martwota partii polskich komunistów. Co prawda, nie doszło do jej oficjalnej samolikwidacji, ale partia faktycznie zaczęła przekształcać się w rodzaj sanacyjnego BBWR. Słowem, nie mogąc się zdemokratyzować, czyli przestać istnieć jako partia leninowska, traci powoli, zachowując leninowskie normy, realny byt polityczny. Jednym ze skutków politycznej degeneracji PZPR są istotne przegrupowania, jakie nastąpiły w elicie władzy na skutek kryzysu z lat 1980/81. Armia, jako jedyna wyszła z okresu solidarnościowego, stanu wojennego i dotrwała do dzisiaj nienaruszona organizacyjnie, z umocnionym morale, w glorii "zbawcy systemu" i ze świadomością długu, jaki zaciągnął u niej aparat partyjny. Wobec postępującej destrukcji komunizmu może

to oznaczać w dalszej perspektywie przekształcenie reżimu w dyktaturę wojskową lub wojskowo-policyjną.

Terror selektywny zamiast masowego. Natura systemu totalitarnego wymaga całkowitej koncentracji ośrodka dyspozycyjnego, dlatego władza Stalina jest najdoskonalszym wcieleniem założeń komunizmu. Ale też niemożność jej przywrócenia wynika z niemożności pogodzenia dwu wartości, równie istotnych dla aparatu partyjnego: jedności i bezpieczeństwa. Konflikty wewnątrz aparatu nie mogą być zinstytucjonalizowane pod groźbą ruiny całego systemu, gdyż instytucjonalizacja taka oznaczałaby legalizację działalności frakcyjnej w partii, co nieznacznie tylko różni się od wielopartyjności. W konsekwencji doszłoby do faktycznej likwidacji monopartyjności. Dlatego ideałem jest jednoosobowa tyrania, która potrafiłaby udaremnić wszelką krystalizację grup w aparacie za pomocą kolejnych fal masowego terroru. Lecz to właśnie jaskrawo koliduje z potrzebą bezpieczeństwa tegoż aparatu, który niechce żyć w cieniu stałej groźby utraty wolności, a nawet życia.

Obalenie masowego terroru /w tym samoterroru aparatu/ równoznaczne jest z przejściem od jedynowładztwa do władzy oligarchii zwanej "kolegialnym kierownictwem". Przemiana ta leżała w żywotnym interesie rządzącego aparatu i nie jest bynajmniej nieznaczająca dla rządzonych. Nie chodzi tu tylko o znaczne ograniczenie despotycznych form rządzenia poprzez zastąpienie masowego terroru selektywnym, ale przede wszystkim o poważne naruszenie stabilności władzy i jej nieuchronną decentralizację /bynajmniej nie demokratyzację/. Ten aparat nie jest już w stanie zapobiec utajonej frakcyjności, co nieustannie osłabia jego wydolność. Ale też z drugiej strony opór społeczny jest najbardziej prawdopodobny i najbardziej skuteczny nie wtedy, kiedy ucisk jest najdotkliwszy, lecz, przeciwnie, w momentach względnego rozluźnienia spowodowanego dezintegracją rządzącego aparatu. Często w takich sytuacjach jedna z partyjnych klik próbuje wciągnąć do wewnętrznej rozgrywki jakąś część społeczeństwa. Nie zawsze uchodzi to bezkarnie, bowiem istnieje groźba, że manipulowane masy mogą się wymknąć spod partyjnej kontroli. W konsekwencji należy stwierdzić, że sprawie przymusem sytuacji zastąpienie masowego terroru selektywnym wprawiło w ruch mechanizm degradacji władzy, który umożliwił społeczny opór. Co więcej, sytuacja częściowego paraliżu aparatu władzy staje się nieuleczalna, gdyż nie ma powrotu do masowego terroru.

Utrzymanie monopolu nad bronią. Jest to jedyna cecha systemu totalitarnego utrzymana w pełni w PRL. Nie jest to jednak do końca jasne, w czyich rękach znajduje się panowanie nad bronią. Czy należy ono - zgodnie z zasadami systemu komunistycznego - do aparatu partyjnego, czy przejęło je same wojsko? Tej drugiej ewentualności - wobec biurokratycznej martwoty PZPR równoznacznej z jej wewnętrznym bankructwem - nie można wykluczyć. Ponadto wolno oczekiwać, że wraz z dalszym pogarszaniem się sytuacji gospodarczej czy w wypadku innych zagrożeń systemu, armia jako instytucja o najlepszym morale i poczuciu wysokiej sprawności, jakie wyniosła ze stanu wojennego, gotowa będzie wziąć odpowiedzialność przejmując po prostu władzę, lub co bardziej prawdopodobne, obejmując ją metodą "pełzającego *coup d'eta*" - wzmoczonego nasycania sfer cywilnych swoim personelem. Ten kierunek wydarzeń nie prowadziłby jednak do powstania polskiej mutacji społeczeństwa

stratokratycznego, ale znamionowałby przejście od totalitarnej do autorytarnej wersji reżimu.

Ograniczenie dominacji nad gospodarką. W PRL dominacja partii nad gospodarką nigdy nie była pełna, gdyż nie powiodło się skolektywizowanie rolnictwa. Chociaż chłopstwo miało niewielki bezpośredni wpływ na życie polityczne Polski, stanowi ważną grupę społeczną, która z powodzeniem potrafi przeciwdziałać poczynaniom władzy niezgodnym z ich interesami. Chłopi są tą zbiorowością, która zarówno w okresie kryzysu pośmierci Stalina, jak i w 1970 roku, uzyskała najistotniejsze dostaw obowiązkowych/. Tendencję tę potwierdziły także lata 1980/81, kiedy postawione przez ruch chłopski żądanie uznania trwałości chłopskiego gospodarstwa i zagwarantowanie tego zapisem konstytucyjnym zostało spełnione. W dalszej perspektywie oczekiwać można efektywnego ograniczenia dominacji partyjnej nad gospodarką ze strony rynku. Władza totalitarna, zamykając przed jednostkami cele społeczne, zmuszona jest do kierowania ich aktywności w sferę spraw prywatnych, chcąc nie chcąc pobudzając postawy konsumpcyjne wbrew obowiązującej ideologii. Chcąc zaspokoić społeczne oczekiwania konsumpcyjne aparat zmuszony jest do inicjowania pewnych reform gospodarczych i uruchamiania mechanizmu rynkowego. W wyniku powodzenia ewentualnych reform sam system naraża się jednak na niebezpieczeństwo, gdyż mechanizmy rynkowe ożywiają sferę ekonomiczną, która uzyskuje stopniowo autonomię, co prowadzi do ograniczenia hegemonii władzy. Dominująca sprzeczność komunizmu polega na tym, że swoją totalitarną strukturę władzy może utrzymać wyłącznie pod warunkiem sprowadzenia działalności ludzkiej do sfery prywatnej. Dążąc zaś do tego celu, system zmuszony jest do wprowadzenia takich mechanizmów, które w jednakowym stopniu zagrażają jemu samemu, w jakim zagrażałyby mu inicjatywy zorientowane społecznie.

Odbudowa niezależnego społeczeństwa. Program samoorganizacji społeczeństwa - jako idea regulatywna pozasystemowej opozycji powstałej w połowie lat siedemdziesiątych - wymierzony był w zanik autentycznego życia społecznego. Czynnikiem, które miały spowodować odbudowę autonomicznego społeczeństwa, były niezależne inicjatywy społeczne lokujące się poza systemem. Samoorganizacja społeczeństwa stanowiła zarówno cel, środek jak i metodę. Droga presji społecznej starano się wymusić zgodę władzy na powstanie niezależnych instytucji społecznych, na demokratyzację systemu. KOR-owscy twórcy idei samoorganizującego się społeczeństwa chcieli poprzez ewolucyjne "reformy od dołu" uniknąć losu węgierskiej "rewolucji od dołu" i czeskiej "reformy od góry".

W niespodziewanie krótkim czasie wysiłki te przyniosły powodzenie. Porozumienie Gdańskie usankcjonowało odrodzenie się niezależnego społeczeństwa. Pierwotny model jego funkcjonowania można określić mianem separacji społeczeństwa i państwa, opartej na podwójnym samoograniczeniu. Z jednej bowiem strony Związek uznał "kierowniczą rolę w państwie" partii komunistycznej, z drugiej zaś PZPR zmuszona była do ograniczenia swojej aktywności do sfery państwa, gdzie zachowywała dominującą pozycję. W końcowym efekcie oznaczałoby to depolityzację społeczeństwa i ograniczenie komunistycznego państwa do dziedziny tradycyjnie rozumianej polityki. Bieg wydarzeń spowodował odrzucenie koncepcji depolityzacji społeczeństwa i obecność sfer-

ry politycznej na równi w państwie i społeczeństwie. Oznaczać to musiało dualizm władzy politycznej, a tym samym uczestnictwo "Solidarności" w wykonywaniu władzy w wymiarze społeczeństwa globalnego. Niemożność znalezienia *modus vivendi* między niezależnym społeczeństwem a komunistyczną władzą doprowadziła do wprowadzenia stanu wojennego. W wyniku działania militarnej "samoochraniającej się kontrrewolucji" doszło wprawdzie do zgnięcia "Solidarności" jako ruchu masowego, ale nie nastąpiło kompletne uderzenie w polskie społeczeństwo. Przyszłość dalszych stosunków między państwem a społeczeństwem jest w chwili obecnej niejasna, co nie znaczy, aby możliwy był powrót do sytuacji sprzed powstania pozasystemowej opozycji.

Przeprowadzona analiza występowania cech systemu totalitarnego w PRL pozwala stwierdzić jego daleko idącą dekompozycję. We współczesnej Polsce w stanie nienaruszonym występuje tylko jedna cecha tego systemu, monopol grupy rządzącej nad bronią. Ale nie jest to cecha konstytutywna dla totalizmu, lecz charakteryzuje ona raczej porządek autorytarny. Pozostałe elementy totalitaryzmu są albo w zaniku, albo podlegają daleko idącym ograniczeniom bądź przekształceniom. W rezultacie powstrzymany został w PRL proces całkowitego zniszczenia dziedziny społecznej przez polityczną. Odbudowa niezależnego od władzy społeczeństwa jest faktem, którego wagę trudno przecenić.

PRL: KULEJACY TOTALITARYZM CZY NIEPEŁNY AUTORYTARYZM?

W nowym polskim społeczeństwie: 1/ system polityczny nie odgrywa już kluczowej roli - występuje w cieniu katolicyzmu jako religii ludowej i niezależnych instytucji opozycyjnego pochodzenia; 2/ społeczeństwo przestało być zatowiszowaną masą dzięki obecności Kościoła i działalności ruchów niezależnych; 3/ więzi społeczne nabierają charakteru autonomicznego, niezależnego od struktury władzy; 4/ życie społeczne jest coraz bardziej niezdeteterminowane centralnie, odgórna kontrola staje się mniej dotkliwa; 5/ śmierć oficjalnej ideologii uniemożliwia zorganizowanie życia społecznego ukierunkowanego na realizację jednego celu.

W tej sytuacji zasadnie można postawić pytanie, czy w PRL nadal mamy do czynienia z systemem totalitarnym. W systemie totalitarnym władza zasadniczo nie podlega żadnym ograniczeniom w swym sterowaniu zjawiskami społecznymi - jakkolwiek może sobie takie ograniczenia narzucać sama - społeczeństwo zaś nie posiada żadnych możliwości wpływania na działalność grupy rządzącej. Oczywiście jest, że w obecnej Polsce nie jesteśmy świadkami takiej sytuacji. Istnienie niezależnego Kościoła i jego rola w życiu publicznym, prywatna własność gospodarstw rolnych i pewne mechanizmy rynkowe, odbudowa niezależnego społeczeństwa i działalność ruchów opozycyjnych - to elementy realnego ograniczenia władzy. Możemy oczywiście upierać się, że pojęcie "totalitaryzm" oznacza pewien typ ideały, którego empiryczna realizacja będzie, co najwyżej, "kulejącym totalizmem". W tym sensie wszystkie reżimy komunistyczne są totalitarne, choć różnią się między sobą stopniem swoich dokonanych dystansów dzielących ich rzeczywiste warunki od niemożliwego wzorca. Konkludując, Polska tkwiłaby nadal w okowach totalizmu.

W chwili obecnej polskie odstępstwa od totalitarnego ideału są jednak tak olbrzymie, że nie wystarczy tutaj określenie "ku-

lejący totalitaryzm". Powolny, ale rzeczywisty, wsteczny ruch totalizmu w Polsce nie ma nic wspólnego z brakiem totalitarnej woli wewnątrz systemu i jego grupy rządzącej albo z "demokratyzacją" reżimu. Polega on na niechętnych czynionych ustępstwach na rzecz nieodpartej rzeczywistości, czy raczej przez nią wymuszonych. Nie da się naszym krajem rządzić bez, choćby konfliktowej, współpracy z Kościołem. Wszystkie reformy gospodarcze w Polsce, o ile przyniosą jakiegokolwiek rezultaty, idą w tym samym kierunku: częściowego wyzwolenia mechanizmów rynkowych. Kryzys prawomocności ustroju jest równie oczywisty, jak rozpaczyliwie poszukiwanie nowej formuły ideologicznej. Skutek jest taki, że oficjalna ideologia staje się coraz bardziej niekoherentna, wręcz bezsensowna. System dryfuje w kierunku porządku autorytarnego.

Pamiętając, iż już XIX wiek znał idee i instytucje, którym najlepiej odpowiadałyby nazwy "autorytarny" i "autorytaryzm", można ująć ubiegłowieczny autorytaryzm jako przeciwieństwo ówczesnego liberalizmu. Ten ostatni wypierał republikańskie, demokratyczne i pluralistyczne modele państwa, a autorytaryzm monarchiczne, centralistyczno-biurokratyczne i unitarne. Stąd znana definicja dziewiętnastowiecznego autorytaryzmu /autorstwa Ernesta Noltego/ stwierdzająca, iż autorytarną można nazwać każdą formę ustrojową, w której przynajmniej wyższą pozycję innemu składnikowi władzy publicznej niż parlament. Takie ujęcie oznacza, że autorytaryzm jest systemem ponadparlamentarnym, lub pozaparlamentarnym, a zatem antydemokratycznym, skoro parlament jako rządy sformalizowanej większości uważany jest za wyraz demokracji. Zarówno totalitaryzm, jak autokratyzm są przejawem rządów niedemokratycznych. Ale każdy totalizm jest autorytaryzmem, a nie każdy autorytaryzm jest totalitaryzmem, albowiem autorytaryzm jest dyktaturą pozostawiającą pewne sfery wolności, będąc ustrojem ograniczonego pluralizmu. Na tym tle wyraźnie pojawiają się różnice między XX-wiecznym autorytaryzmem a totalizmem: 1/ brak w systemach autorytarnych celów i totalności metod typowych dla totalizmu; 2/ nietworzenie wzorem totalizmów rozwiniętych systemów ideologicznych i programów wzywających do dynamicznej negacji zastanych struktur, a ograniczenie się do programów odnowy i kontynuacji przez aktywizację w ramach zastanych czy danych struktur politycznych i społecznych; 3/ uszanowanie szczególnego statusu religii i Kościoła przez systemy autorytarne zamiast dążeń do stworzenia nowej świeckiej religii i uczyńnięcia z Kościoła do czasu jego eliminacji dyspozycyjnego ogniwa wobec władzy; 4/ utrzymanie starego systemu władzy przez częściową odnowioną elitę skupioną dookoła dyktatora starego typu, wspierającego się na armii i biurokracji, podczas gdy w totalizmie dynamiczny i nowoczesny przywódca otoczony przez nową elitę opiera się na aktywności masowej monopartii; 5/ system autorytarny opiera się na wykształconej bierności zacofanego społeczeństwa, próby ogólnego stworzenia masowych organizacji po zdobyciu władzy kończą się niepowodzeniem, podczas gdy systemy totalitarne dążą i zdobywają aktywne i masowe poparcie w nowoczesnym społeczeństwie za pomocą monopartii powstałej jeszcze przed zdobyciem władzy; i wreszcie 6/ reżimy autorytarne w odróżnieniu od totalitarnych z reguły nie realizują pełnej i konsekwentnej likwidacji pluralizmu politycznego oraz systemu parlamentarnego i wolności jednostki, a tym samym najczęściej pozostawiają pewne marginesy swobód demokratycznych.

Zestawiając cechy systemu politycznego PRL i polskiego spo-

leczeństwa z cechami systemów totalitarnych i autorytarnych, możemy stwierdzić następujące elementy PRL-owskiego autorytaryzmu: 1/ brak celów i totalności metod typowych dla komunizmu; 2/ niemożność odbudowy oficjalnej ideologii, która zastąpiłaby w tej roli marksizm-leninizm; 3/ uszanowanie szczególnego statusu religii i Kościoła zamiast dążeń do stworzenia nowej świeckiej religii; 4/ przemiany w elicie władzy, prowadzące do wysunięcia na jej czoło przedstawicieli armii i biurokracji; 5/ powolne ograniczanie zakresu ingerencji państwa w życie gospodarcze; 6/ tolerowanie istnienia instytucji i działań dążących do rekonstrukcji niezależnego społeczeństwa.

System autorytarny w PRL ma ciągle niepełny charakter, stale ewoluuje. PRL-owski autorytaryzm nie powstał w wyniku gwałtownego obalenia systemu totalitarnego. Stąd jego charakterystyczną cechą: utrzymanie martwej totalitarnej struktury z ewolucyjnie narastającą autorytarną zawartością. W tej chwili trudno powiedzieć, jaka dokładnie będzie rola Kościoła w nowym reżimie politycznym, niejasno przedstawia się również zasięg mechanizmów rynkowych w gospodarce, nie wiadomo, w jaki sposób ułożą się stosunki między odbudowującym się społeczeństwem a autorytarnym państwem. Jedno wydaje się pewne: **trend do autorytaryzacji jest nieodwracalny**. Na jego straży - obok potężnego Kościoła, prywatnego rolnictwa, rynkowych mechanizmów w gospodarce, opozycyjnych elit, odbudowującego się niezależnego społeczeństwa, świadomości społecznej uwolnionej od komunistycznego dogmatu - stoi sama grupa rządząca. Bowierni totalitaryzm w PRL można by przywrócić tylko za pomocą masowego terroru, równego jedynie co do skali stalinowskiej "wielkiej czystce" z lat trzydziestych. Rządzący jednak wiedzą, że raz rozpetana machina terroru prędzej czy później zacznie zbierać swoje żniwo w obozie władzy. A na to, nawet pod groźbą destrukcji systemu, rządzący aparat nie wyrazi swojej zgody.

Powstanie niepełnego systemu autorytarnego w PRL jest wielkim sukcesem polskiego społeczeństwa. O ile bowiem struktury władzy totalitarnej są w swej wewnętrznej logice spójne i nie pozostawiają miejsca na żadne zjawiska, które mogłyby ograniczać ich funkcjonowanie, o tyle w ramach struktur władzy autorytarnej istnieją luki czyniące system ten nie w pełni spójnym, luki, które zawężają możliwości swobodnego sterowania społeczeństwem przez grupę rządzącą. Dlatego władza autorytarna w przeciwieństwie do totalitarnej musi tolerować w obrębie społeczeństwa, którym rządzi, zjawiska czy wręcz instytucje względnie autonomiczne, co w istocie czyni możliwym artykulację poglądów i interesów niekoniecznie tożsamy z uznawanymi przez państwo. Owa względna autonomia możliwa jest, co prawda, tylko w sferze zjawisk ekonomicznych oraz kształtowania świadomości i nie podważa monopolu władzy politycznej grupy rządzącej, lecz niewątpliwie ogranicza zakres jej oddziaływania.

Swoistością systemu autorytarnego w PRL będzie jego względna niestabilność. Objawia się ona już w tej chwili w postaci oscylacji między dwiema tendencjami: do totalizacji i do dalszej detotalizacji. Wyrazicielem pierwszej tendencji jest oczywiście grupa rządząca, drugiej zaś społeczeństwo dążące do uzyskania podmiotowości, a w szczególności jego elity. Aktualny stan systemu jest więc wypadkową obu tych tendencji, przy czym wpływ na to, z jaką siłą się one objawiają, ma wiele zjawisk, wśród których dwa odgrywają zasadniczą rolę. Chodzi tu o stan stosunków międzynarodowych i sytuację gospodarczą. Najogólniej można

stwierdzić, że zły stan stosunków między ZSRR a Zachodem będzie sprzyjał wzmocnieniu trendu do totalitaryzacji systemu, podczas gdy trudności gospodarcze z reguły wywołują silniejszą presję społeczeństwa na reformowanie systemu. Cała rzecz w tym, by umiejętnie wykorzystywać pojawiające się możliwości detotalizacji reżimu i umieć bronić się przed jego ponowną totalitaryzacją.

PROCES DETOTALIZACJI PRL

Zastanawiając się nad przebiegiem procesu detotalizacji PRL, musimy uświadomić sobie na wstępie, iż intensywna totalizacja Polski trwała krótko, a jej rezultaty dalekie były od sowieckich wzorców. Co prawda, w latach 1944-48 zniszczono opozycję /zarówno legalną, jak podziemną/ oraz dokonano upaństwowienia gospodarki, ale w następnym okresie nie udało się ani skolektywizować rolnictwa, ani też złamać niezależności Kościoła. Podjęta w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych próba likwidacji tych szczytkowych elementów autonomicznego społeczeństwa nie powiodła się.

Niezależny Kościół i prywatne rolnictwo nie były jedynymi zdobyczami polskiego społeczeństwa w okresie kryzysu po śmierci Stalina. Ponadto w istotny sposób zwiększył się zakres wewnętrznej niezależności rządzącego aparatu wobec ZSRR, zaprzestano stosowania masowych represji, uznano rady robotnicze, ograniczono cenzurę, uczelniom przyznano autonomię, zniesiono system zniewolenia robotników w postaci przepisów o dyscyplinie pracy, dokonano zmian w funkcjonowaniu aparatu państwowego. Nacisk społeczeństwa oraz tendencje reformistyczne w PZPR były wystarczająco silne, aby zapewnić trwałość pewnych ustępstw, były jednak zbyt słabe, aby utrzymać wszystkie. Najogólniej można powiedzieć, że udało się zachować te koncesje, które ograniczały zasięg władzy, utracone zaś zostało na ogół wszystko, co dotyczyło zmian zasad funkcjonowania systemu, czy to w dziedzinie gospodarki, w życiu społecznym, czy też w życiu politycznym *sensu stricto*. Słowem, powiodła się liberalizacja systemu, ale nie demokratyzacja. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że oznacza to nieodwracalne naruszenie schematu totalitarnego w PRL.

Po 1956 roku - mimo kolejnych prób ograniczenia praw Kościoła - władza nie powróciła już do polityki przesładań. Kościół z próby lat 1949-56 wyszedł silniejszy niż kiedykolwiek. Stał się jedyną niezależną instytucją w Polsce, wpływ której na detotalizację reżimu trudno przecenić. Polska stanowi szczególnie przypadek w świecie komunistycznym, bowiem siła i niezależność Kościoła katolickiego wprowadza do systemu politycznego realny pluralizm na płaszczyźnie ideologii i struktur organizacyjnych. Kościół stanowi grupę nacisku, z którą konieczne trzeba się liczyć. Między państwem a Kościołem powstały stosunki konfliktowej współpracy: jedno respektuje drugie pod warunkiem bycia respektowanym. Ten dualizm sprawia, że system traci swój totalitarny charakter. W jednym z listów więziennych Adam Michnik napisał: "Kościół katolicki dlatego - myślę - jest najważniejszą w Polsce instytucją, że naucza nas wszystkich, iż zgiąć kolana wolno nam tylko przed Bogiem".

Kościół w swych stosunkach z państwem przez cały czas wspierał sprawę odbudowy niezależnego społeczeństwa. Działalność Kościoła w tej dziedzinie sprowadzić można do kilku podstawowych rodzajów aktywności: 1/ rola Kościoła w obronie praw człowieka i obywatela; 2/ znaczenie kościelnego żądania złamania monopolu państwa w zakresie kształcenia i wychowania młodzieży; 3/ nalegania Kościoła, aby ograniczyć dominację jednej grupy - partii komunistycznej - nad resztą polskiego społeczeństwa; 4/ rola biskupów w uśmierzeniu rozpętywanych represji /zarówno w 1970 roku i 1976 roku, jak po wprowadzeniu stanu wojennego/; 5/ mediacyjna funkcja Kościoła, wyraźnie widoczna w całym okresie legalnego istnienia "Solidarności" oraz w czasie stanu wojennego; 6/ kreacja instytucji bezpośrednio wspierających odbudowę niezależnego społeczeństwa - chodzi tu między innymi o powstanie Rady Społecznej przy Prymasie Polski oraz nieskuteczne wysiłki na rzecz powołania fundacji rolniczej.

Kościół, pełniąc rolę parasola organizacyjnego nad elementami niezależnego społeczeństwa, ma swój wkład w powstanie pozasystemowej opozycji w Polsce. Trzeba stwierdzić, że Kościół i organizacje katolickiego laikatu stanowiły społeczną infrastrukturę - warto zauważyć: nieobecną w innych państwach komunistycznych - umożliwiającą powstanie "Solidarności". Często również podkreśla się zasadnicze znaczenie pierwszej pielgrzymki papieskiej w 1979 roku dla okrzepnięcia opozycji i narodzin w rok później Związku.

Dużo - i trafnie - pisze się o samoorganizacji społeczeństwa w latach 1976-80, o powstaniu niezależnych instytucji o ważnym znaczeniu dla życia publicznego, o pojawieniu się nieocenzurowanej informacji, o licznych tytułach książek i prasy, o niezależnej oświacie. Mało natomiast uwagi zwraca się na znaczenie tych przemian w strukturze władzy w PRL, które umożliwiły rozpoczęcie procesów samoorganizacji społecznej. Mam tu na myśli przede wszystkim dalekosiężny skutek wydarzeń marcowych, a więc kres wewnątrzsystemowej opozycji PZPR-owskich rewizjonistów. Powstała w ten sposób grupa byłych rewizjonistów partyjnych, którzy nie zostali ani ostatecznie wyeliminowani z życia publicznego metodami policyjnymi, ani też nie mogli być przez partię dokooptowani do istniejącej struktury władzy. Jeżeli istnieje w danym systemie grupa społeczna, która kontroluje realizację ważnych funkcji społecznych / na przykład w zakresie działalności ideowej / i grupa ta nie może być dokooptowana bez drastycznej zmiany do układu władzy, to staje się ona potencjalnym przywódcą rewindykacyjnych dążeń społeczeństwa. To samo można wyrazić w języku teorii elit. Ci, którzy z racji położenia społecznego /na przykład z powodu przegród politycznych/ nie mogą wejść do grupy kierowniczej, stanowią tzw. kontr-elitę. Równowaga społeczna wymaga pewnej cyrkulacji elit. Gdy proces ten zostaje powstrzymany, kontr-elita przy pomocy zmobilizowanego przez siebie społeczeństwa /lub nawet bez niego/ próbuje obalić władzę dotychczasowej elity, sama ustanawiając własne panowanie.

Powstanie pozasystemowej opozycji w PRL poprzedzone było dokonującą się w latach siedemdziesiątych ewolucją form wyrażania interesów społeczeństwa. Kierunek zmian artykulacji społecznych interesów przebiega od formy populistycznej, bazującej na jednym przedsiębiorstwie /grudzień 1970/, poprzez korporacyjny typ reprezentacji /strajki z lat 1976-80/, do klasowej formy

artykulacji interesów /powstanie w sierpniu 1980 roku MKS, a następnie "Solidarności"/. Narodzenie się Związku stanowi precedens ideologiczny, bowiem "leninowska awangarda klasy robotniczej" otrzymała wyzwanie od zorganizowanej reprezentacji samych robotników.

Zbiegnięcie się działań pozasystemowej opozycji z dokonującą się w latach siedemdziesiątych ewolucją form protestu społecznego doprowadziło do ukonstytuowania się niezależnego społeczeństwa. Stosunki między "Solidarnością" reprezentującą upodmiotowione społeczeństwo a aparatem partyjno-państwowym przeszły w latach 1980-81 przez trzy fazy. W pierwszym okresie charakteryzowały się próbą depolityzacji społeczeństwa i zamknięcia komunistycznego państwa w sferze tradycyjnie rozumianej polityki. Dynamika społecznej sytuacji doprowadziła do wykształcenia drugiego modelu, w którym sfera polityki występowała zarówno w państwie, jak społeczeństwie. Oznaczało to dualizm władzy politycznej, a tym samym uczestnictwo "Solidarności" w wykonywaniu władzy w wymiarze całego społeczeństwa. W ostatniej fazie stosunków między aparatem władzy a upodmiotowionym społeczeństwem dochodziło do dalszej polityzacji społeczeństwa w sytuacji depolityzacji państwa. Sfera polityki przeszłaby w rezultacie w całości w ręce podmiotów reprezentujących społeczeństwo. W ten sposób nastąpiłby kres totalitaryzmu w Polsce.

Przyszłość dalszych stosunków między państwem a społeczeństwem jest obecnie niejasna. Wydaje się jednak, że sytuację społeczno-polityczną w Polsce pod koniec lat osiemdziesiątych opisać można wskazując na dwie jej podstawowe cechy: odrzucanie systemu mające miejsce w sferze symbolicznej oraz akceptowanie go, aktywne bądź bierne, w sferze działań. Trwający obecnie consensus między władzą a społeczeństwem zawarty został /jeśli przyjąć określenie publicysty pisma "21"/, w imię "spokoju społecznego" i "bezpieczeństwa socjalnego" - dwu wartości tworzących aktualny sens zbiorowy. Te dwie jakości życia społecznego zdobyły swe szczególne znaczenie w okresie bezpośrednio poprzedzającym wprowadzenie stanu wojennego i znaczenie to jak dotychczas utrzymują.

Ciągle niedostatecznie wykorzystany potencjał detotalizacyjny tkwi w urynkowieniu gospodarki. Stały postęp produkcji dóbr konsumpcyjnych jest możliwy tylko wtedy, gdy zostaną wprowadzone pewne regulacyjne mechanizmy rynkowe. Jednak reforma gospodarcza bez reorganizacji politycznej napotyka na sprzeczności nie do pokonania. Jeśli rynek i jego prawa rzeczywiście regulowałyby gospodarkę, to towarzyszące temu zjawiska takie, jak n.p. bezrobocie, byłyby tego oczywistą konsekwencją. Skutków nie dałoby się regulować bez przyznania wolności organizowania się i zgromadzeń oraz prawa robotników do strajku. Ponad to rynkowy system ekonomiczny zapowiada nieubłagane zmiany w istniejącej równowadze władzy politycznej. Reformy ekonomiczne, implikując pewne rozproszenie władzy mają tendencję do przekształcania się w reformy polityczne i są aktywnym czynnikiem procesu zmiany politycznej. W konsekwencji równa się to konieczności legalizacji konfliktów politycznych w ramach istniejącego systemu politycznego lub nawet pewnych przekształceń w porządku konstytucyjnym. Jeśli przetrwa system jednopartyjny, to w imię partii powstaną odrębne frakcje reprezentujące różne grupy interesu rynkowego społeczeństwa.

TRZY PARADYGMATY OPISU SYSTEMU POLITYCZNEGO I SPOŁECZENSTWA W KOMUNIZMIE

Istnieją trzy zasadnicze perspektywy, podejścia czy też paradygmaty opisu rzeczywistości w państwach komunistycznych. Te trzy koncepcje to: totalitaryzm, teoria grup interesu i koncepcje klasowe.

Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że koncepcja totalitaryzmu dość dobrze oddaje najogólniejsze cechy komunistycznej rzeczywistości, tak jak wyglądała ona w Polsce w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Jednak już we wczesnych latach sześćdziesiątych totalitaryzm jako sposób opisu państw komunistycznych po śmierci Stalina był poddawany gruntownej krytyce. Wiązało się to oczywiście ze zmianami politycznymi w tych krajach. Naukowcy zachodni zafascynowani odmianami różnych narodowych dróg socjalizmu stwierdzali, że koncepcje totalitarne nie są w stanie wyjaśnić przemian w systemach komunistycznych ani uchwycić ich narodowej czy kulturowej specyfiki. Pojawiła się więc koncepcja "totalizmu bez terroru". Zwrócono w niej uwagę na pewne wewnętrzne niedoskonałości totalizmów. Dokładniejsza obserwacja komunistycznej rzeczywistości wskazywała, iż totalitarna kontrola nie jest tak skuteczna i efektywna, jak to zakładano. Pojawiają się więc określenia typu "niedoskonały monizm".

Intencją tych nowszych kierunków jest próba uprnienia się z problemem wewnętrznej niekonsekwencji systemów totalitarnych. Okazało się, że państwa nazywane "totalitarnymi" wcale nie są tak skuteczne w realizacji założonych celów. Mamy bowiem do czynienia ze swego rodzaju "dułapką totalitarną" czy też "błędnym kołem totalitaryzmu". Zbyt sztywna kontrola i eliminacja mechanizmów artykulacji interesów społecznych prowadzi do swego zaprzeczenia. Zaczynają funkcjonować niejawne grupy interesu. Stąd też popularność koncepcji "niedoskonałego monizmu". Niejako logiczną konsekwencją stosowania takich zasad życia społecznego, które usprawiedliwiają używanie totalitarnych koncepcji do ich opisu i wyjaśniania, staje się powstanie takiej organizacji społeczeństwa, która za pomocą koncepcji totalitarnych opisana już być nie może. W tym miejscu trzeba odwołać się do teorii grup interesu.

Główną przyczyną niejawnego przetargu grup interesu w systemie komunistycznym jest wyrugowanie z gospodarki praw ekonomicznych. Przetarg ten ma charakter wewnętrzny. Uczestniczy w nim kadra kierownicza organizacji gospodarczych, dążąca do maksymalizacji środków, minimalizacji zadań i autonomii oraz władza polityczna, dążąca do celów odwrotnych. Gra toczy się bez udziału konsumentów. W ten sposób właśnie zaczynają funkcjonować niejawne *lobbies*, dążące do skierowania strumienia inwestycyjnego w swoją stronę. Rozstrzygnięcia, jakie zapadają w tych przetargach nie mają oparcia ani w prawach ekonomicznych /bo gospodarka jest sztucznie kreowana/, ani w interesach spoza polityczno-ekonomicznego establishmentu /bo wyeliminowano wpływ społeczeństwa na władzę/. Jedynym istotnym kryterium rozstrzygnięcia takich przetargów jest pozycja w strukturze władzy, jaką zajmują przedstawiciele poszczególnych *lobbies*. Reguły gry, jakie dla producentów ustaliła władza /sztuczny system zarządzania/ stały się więc źródłem interesu tychże producentów. Miał on być tylko instrumentem realizacji zasady dyspozycyjności gospodarki wobec władzy, lecz zaczął być własnym życiem, stworzył interes kadry kierowniczej organizacji

gospodarczych. Na tym właśnie polega paradoks "totalitarnej pułapki".

Tak jak podstawową wadą ujęć totalitarnych było operowanie zbyt jednoznacznymi kategoriami /centrum, partia, władza/, co doprowadzało do uproszczenia wizji systemu politycznego oraz zakładanie jego zbytnej jednorodności, tak w przypadku koncepcji grup interesu błędem jest założenie o zbytnej pluralizacji systemu sprawowania władzy w krajach komunistycznych. W skrajnych postaciach prowadzi to w ogóle do zaniku jakiegokolwiek wizji systemu politycznego, a zamiast niego mamy zbiór o konkurencyjnych interesach. Mimo te zastrzeżenia teoria grup interesu dość dobrze opisuje strukturę ładu społecznego w PRL sprzed sierpnia 80.

Sierpniowe strajki, ich powszechność i determinacja, marość przywódców i zdolność samoorganizacji uczestników zmuszają do pytania, czy rzeczywistość społeczeństwo jest federacją grup interesu. Czy nie można stosować bardziej globalnych charakterystyk struktury społecznej. Siła konfliktu, siły więzi społecznej wśród strajkujących, a nade wszystko żądanie utworzenia wolnych związków zawodowych, czyli organizacji reprezentującej interesy pracobiorców, odrębne od interesów pracodawców, skłaniają do interpretacji w kategoriach dychotomicznej struktury klasowej. Z jednej strony byłaby swoista "klasa władzy", składająca się z połączonych grup zarządców polityki i gospodarki, a więc wyróżniająca się w systemie władztwa, z drugiej natomiast "klasa pracująca", pozbawiona we własną klasę panowania, za to od sierpnia 1980 wyposażona we własną klasową organizację, którą jest "Solidarność". Powstaje w tym miejscu pytanie, jaka instytucja pełni rolę organizacji klasy panującej? Czy jest nią PZPR? Wydaje się, że partia nie spełnia tej roli w sposób na tyle pełny, by można ją było uznać za organizację klasy panującej w takim sensie, w jakim organizacją ludzi pracy była "Solidarność". Klasa panująca dysponuje jako swą organizacją po prostu państwem, a ściślej mówiąc centralną biurokracją państwowo-partyjną.

Przedstawione powyżej trzy paradygmaty opisu komunistycznej rzeczywistości mają dziś - jak sądzę - wartość głównie historyczną. Współcześnie bardziej przydatna zdaje się być teoria autorytaryzmu, bowiem totalizm w Polsce staje się coraz bardziej martwą strukturą, wypełnianą stopniowo przez autorytarną rzeczywistość.

Każdy z tych paradygmatów nadaje się do opisu innego "piętra" ładu społecznego. Ten porządek miałby charakter hierarchiczny, czyli wyższe poziomy organizacji społecznej można by relatywnie najlepiej opisywać za pomocą ujęć autorytarnych, średnie grup interesu, a najniższe klasowych, przy czym wraz z wprowadzaniem mechanizmów rynkowych do gospodarki pojęcie "klasa społeczna" ponownie nabierać będzie ekonomicznego sensu.

KU SYSTEMOWI AUTORYTARNEMU

Na tytułowe pytanie artykułu należy z pewnością odpowiedzieć, że obecnie PRL nie jest państwem totalitarnym. Proces detotalizacji państwa nie jest jednak zakończony. Przed nami wielkie

zadanie przemiany etatystycznego polskiego społeczeństwa w społeczeństwo rynkowe. Usuwanie przerostów państwa w ciele społecznym na pewno nie będzie przebiegało bezboleśnie. Odbudowa w Polsce społeczeństwa obywatelskiego nie nastąpi przez przedwczesną demokratyzację ustroju - zbyt wielka jest tu bowiem groźba totalitarnej recydywy - ale poprzez ewolucyjną liberalizację, której dopiero ukoronowaniem będzie powstanie instytucji demokratycznych. I nie ma innej drogi, jeśli sen o demokracji liberalnej, o demokracji typu zachodniego, ma się w Polsce spełnić.

Przed nami zatem dążenie do ustanowienia pełnego systemu autorytarnego, dalszej detotalizacji PRL, jako cząstkowego etapu w procesie wychodzenia z totalitarnej zapaści. Pierwszoplanowym zadaniem byłoby tutaj zastąpienie martwej struktury totalitaryzmu instytucjami praworządnego państwa autorytarnego. Pewną przeszkodą na tej drodze może być dalsze posługiwanie się koncepcją totalitaryzmu w kontekście współczesnej Polski. Obecnie termin ten, przechodząc z języka nauki do języka potocznego, przestał być pojęciem, którego użyteczność można sprawdzać w oparciu o naukowe kryteria prawdziwości, a stał się politycznym mitem. W życiu społecznym nie można uniknąć mitów, ale wiadomo, że nie jest obojętne, jakimi mitami się posługujemy, które mity aktualizujemy lub tworzymy. Mit totalitarny jest szczególnie niefortunny, choć doraźnie może wydawać się atrakcyjny. Wynikająca z niego dychotomizacja świata prowadzi do sztucznego i złudnego wzmocnienia własnych szeregów. Ludzie jednoczą się w nich z przyczyn czysto negatywnych: z chęci przeciwdziałania emanującemu z drugiego bieguna złu. Zapomina się natomiast o tym, że wspólna z kimś niechęć do czegoś nie musi jeszcze oznaczać jakiegokolwiek wspólnoty solidniejszej, zakładającej te same wartości pozytywne. Ponadto dychotomizacja choruje na tę samą przypadłość, co wymuszona monolityczność: jest zaprzeczeniem pluralizmu interesów i racji politycznych. To zaś godzi w podstawowy sens toczonej przez nas walki.

LECH MAŻEWSKI

"EWOLUCYJNE ZMIANY SĄ MOŻLIWE"

Zbigniew Brzeziński w Gdańsku

Dnia 19 czerwca 1987 roku Gdańsk odwiedził Zbigniew Brzeziński. Podczas swego krótkiego pobytu w Trójmieście przeprowadził indywidualne rozmowy z biskupem gdańskim, ks. Tadeuszem Goćwalskim i z Lechem Wałęsą oraz spotkał się w parafii św. Brygidy z grupą działaczy niezależnych. Udzielił również krótkich wywiadów przedstawicielom redakcji "Gwiazdy Morza" oraz "Przeglądu Politycznego".

Ze względu na znaczenie osoby Zbigniewa Brzezińskiego w polityce Stanów Zjednoczonych, oraz - naszym zdaniem - rangę wypowiedzi, publikujemy poniżej oprócz wywiadu udzielonego przedstawicielowi naszego pisma, również zdjęty przez cenzurę wywiad dla "Gwiazdy Morza", przeprowadzony przez Ewę Górską, a także zapis fragmentów spotkania z grupą działaczy niezależnych.

Przegląd Polityczny: *Czy obecna sytuacja międzynarodowa, a szczególnie zachodzące ostatnio w Związku Radzieckim przemiany, stwarzają bardziej sprzyjające okoliczności dla procesu emancypacji państwa i społeczeństwa polskiego aniżeli w 1980 roku?*

Zbigniew Brzeziński: Wierzę, że sytuacja międzynarodowa stwarza coraz więcej sprzyjających okoliczności dla procesu stopniowej emancypacji społeczeństwa polskiego. Reformy w Związku Radzieckim na pewno stwarzają pomyślny kontekst - dotyczy to również ograniczonego porozumienia amerykańsko-radzieckiego. Niemniej jednak nie wolno zapominać, że proces ten musi być stopniowy i pozbawiony przemocy. Siłowe wstrząsy byłyby bezpłodne.

P.P.: *Czy zgodzi się Pan z opinią, że warunkiem rozwiązania kryzysu gospodarczego w Polsce jest reprivatyzacja i wyrównanie gospodarki?*

Z.B.: Szeroka reprivatyzacja coraz liczniejszych gałęzi gospodarki jest podstawowym warunkiem uzdrowienia sytuacji ekonomicznej

Polski. Pomiedzy miastami, w których pracuje tak zwany "socjalistyczny" /a właściwie mówiąc - państwowy/ system własności, a wsząd, gdzie dominuje własność prywatna, istnieje uderzający kontrast. W ostatecznym rozrachunku podstawowymi czynnikami postępu gospodarczego są prywatna inicjatywa i indywidualna przedsiębiorczość.

P.P.: *A jak, Pańskim zdaniem, ma się reprivatyzacja i uynkowanie gospodarki do procesu demokratyzacji politycznej?*

Z.B.: Odrodzenie gospodarcze i szersza reprivatyzacja coraz to liczniejszych gałęzi gospodarki nieuchronnie wspomogą proces demokratyzacji. Pluralizm polityczny idzie w parze z rozproszeniem podejmowania decyzji, a decentralizacja gospodarcza jest nieodłącznym rezultatem gospodarczej reprivatyzacji.

P.P.: *Czy w takim razie administracja amerykańska jest zainteresowana w popieraniu procesu reform gospodarczych w krajach Europy Wschodniej i czy posiada realne możliwości wpływania na sytuację w tych krajach?*

Z.B.: Ogólnie rzecz biorąc polityka amerykańska preferuje taki rozwój, chociaż Stany Zjednoczone nie powinny forsować konkretnych zmian w żadnym z istniejących systemów ekonomicznych czy politycznych. Niemniej jednak, w świecie coraz silniejszych powiązań, w jakim obecnie żyjemy, kraje powinny uczyć się od siebie nawzajem. Polska z pewnością odniosłaby poważniejsze korzyści z baczniejszej obserwacji doświadczeń tych krajów, które odniosły w ostatnich latach tak znaczne sukcesy gospodarcze.

P.P.: *A polityka amerykańska wobec Polski - czy może być czymś więcej, niż tylko pochodną wobec stosunków ze Związkiem Radzieckim, jak się to nam często z naszej perspektywy wydaje? Inaczej jeszcze - czy Stany Zjednoczone posiadają koncepcję autonomicznej polityki wobec Polski mającej na celu wspieranie procesu emancypacji społeczeństwa i państwa?*

Z.B.: Nie jest prawdą, że polityka amerykańska wobec Polski jest podporządkowana polityce amerykańskiej wobec Związku Radzieckiego. Niemniej jednak polityka amerykańska wobec Związku Radzieckiego jest kwestią życia i śmierci, czyli zapewnienia bezpieczeństwa narodowego w erze atomowej. Faktowi tego niebezpieczeństwa nie można zaprzeczyć, ani go zignorować. Jednakowoż Ameryka pozostaje stale zainteresowana w udzielaniu Polsce pomocy mającej na celu nawiązanie przez ten kraj stosunków gospodarczych, społecznych, a nawet politycznych z Zachodem, a poprzez to dopomożeniu Polsce w poszerzeniu zakresu autonomii wewnętrznej i zewnętrznej. Jest to trwała przesłanka polityki amerykańskiej wobec Polski od roku 1956.

P.P.: *Czy istnieje realna możliwość, ażeby kwestia obrony praw mniejszości narodowych w Związku Radzieckim, a nas szczególnie interesuje tu mniejszość polska, uzyskała w polityce amerykańskiej rangę ważności porównywalną z obroną praw mniejszości żydowskiej?*

Z.B.: Zasadniczo kwestia praw człowieka powinna skupiać się na wszystkich jednostkach praw tych pozbawionych. W praktyce rozciąga się ona przede wszystkim na te grupy prześladowanych w Związku Radzieckim, o których opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych jest najlepiej poinformowana, co ma wpływ na opinię publiczną w polityce amerykańskiej. Dlatego tak ważne jest, że Amerykanie polskiego pochodzenia podnoszą kwestię praw człowieka w

odniesieniu do polskiej mniejszości w Związku Radzieckim w nadziei stopniowego polepszenia jej losów.

P.P.: W lutym 1982 roku w referacie "Stosunki Wschód-Zachód a Polska" zastanawiał się Pan nad możliwością udzielenia pozytywnej odpowiedzi na dwa pytania: czy możliwe są pokojowe przeobrażenia systemów komunistycznych oraz czy możliwe jest pokojowe współżycie Wschodu i Zachodu? Czy w kontekście ostatnich zmian w Związku Radzieckim i Chinach taką pozytywną odpowiedź nie Pan dostrzega?

Z.B.: Zawsze uważałem, że pokojowa ewolucja systemu komunistycznego jest niemożliwa. Mój punkt widzenia opierał się na fakcie, iż totalny zasięg kontroli społeczeństwa czynił ewolucyjne zmiany mało prawdopodobnymi. W świetle ostatnich polskich, a nawet czechosłowackich doświadczeń /mam na myśli czeską wiosnę 1968 roku/ zmieniłem swój punkt widzenia i obecnie uważam, że ewolucyjne zmiany w systemie komunistycznym są możliwe. Jest to najbardziej prawdopodobne w tych państwach komunistycznych, w których tradycja polityczna społeczeństwa kładzie nacisk na pluralizm, tolerancję i demokratyczne podejście do podejmowania decyzji. Nie jest dziełem przypadku, że Polska znajduje się w czołwie państw komunistycznych, doświadczających zmian ewolucyjnych.

P.P.: Dziękujemy za rozmowę.

"Gwiazda Morza": Dzieciństwo, o ile mi wiadomo spędził Pan Profesor w Polsce, ostatnie przed wojną wakacje w Orłowie ...

Zbigniew Brzeziński: Urodziłem się w Warszawie, ale pierwsze siedem lat swego życia spędziłem za granicą, gdyż mój ojciec pracował w służbie dyplomatycznej. W Polsce mieszkałem tylko trzy lata, do dziesiątego roku życia. Poza tym całe życie spędziłem za granicą. Jestem Amerykaninem polskiego pochodzenia - i tak się czuję: Amerykaninem, ale jednocześnie Polakiem. Ostatnie wakacje przed wojną rzeczywiście spędziłem w Orłowie. O ile czas mi na to pozwoli, bardzo chciałbym dziś zobaczyć to miejsce - inaczej przecież patrzy się oczami dziecka, co innego zostaje w pamięci, chciałbym tę pamięć skonfrontować z rzeczywistością.

G.M.: Z racji swej długoletniej pracy w rządzie Stanów Zjednoczonych jest Pan doskonale zorientowany w polityce USA wobec państw socjalistycznych Europy Środkowej. Czy była ona taka sama, czy ulegała jakimś zmianom?

Z.B.: Polityka amerykańska w stosunku do państw Europy centralnej jest konsekwentna. Od 1956 r. celem jej jest umożliwienie państwom tu położonym uzyskanie większego stopnia niezależności i bardziej pluralistycznego rozwoju społeczno-ekonomicznego. Wszystkie administracje amerykańskie, zarówno demokratyczne, jak i republikańskie taką politykę prowadzą od ponad trzydziestu lat. Okres od 1981 r. był w pewnym sensie okresem wyjątkowym i to spowodowało m.in. ograniczenie stosunków amerykańsko-polskich. Mam nadzieję, że ten okres się skończył i że te stosunki będą się

rozszerzać z pozytywnymi skutkami dla rozwoju wewnętrznego w Polsce, zarówno w dziedzinie gospodarki, jak i sytuacji ogólnopolitycznej.

G.M.: *A jak Pan Profesor ocenia to, co dzieje się obecnie w ZSRR?*

Z.B.: Jest to okres niezwykle ciekawy, potencjalnie o wielkim znaczeniu, ale jeszcze nie jest właściwie konkretnie zdefiniowany. Dużo się mówi o tak zwanej "pierestrojce", i mówi się o tym w sposób rzeczywiście otwarty, czasem nawet polemicznie ciekawy. Ale program reform właściwie nie został jeszcze zdefiniowany i trudno mówić o wprowadzeniu w życie bardziej zasadniczych zmian. Wydaje mi się, że na obecnym etapie Gorbaczow stara się zmobilizować poparcie społeczne dla ewentualnych zmian. Kierunek tych zmian w pewnym sensie jest sygnalizowany przez prasę sowiecką, która stała się rzeczywiście ciekawa. Niedawno czytałem w "Izwestii" /a czytam prasę sowiecką codziennie/ artykuł opisujący chińską gospodarkę. Jest w tym artykule na przykład mowa o tym, że Chiny przez długi czas musiały importować żywność, w kraju było niedożywienie, rolnictwo chińskie nie było w stanie zaopatrzyć miast w dostateczną ilość żywności, gdyż sektor rolniczy był głęboko zacołany. Następnie napisano, że partia zdecydowała się nie komunizować /takie właśnie słowo było użyte/ w całości rolnictwa lecz iść w innym kierunku. Opisano obecną politykę rolną, w rezultacie której rolnicy mają kontrolę nad ziemią, mogą nią dysponować jakby była ich własnością i mają prawo sprzedawać swoje produkty na rynku. Wniosek końcowy jest taki, że obecnie w Chinach nie ma niedożywienia, jest duży zapas żywności wszędzie dostępnej, a nawet się ją eksportuje. Dla sowieckiego czytelnika, który zdaje sobie sprawę z tego, że 70 lat po rewolucji bolszewickiej ciągle w ZSRR nie nadszała się z produkcją żywności, wniosek jest zapewne jasny.

O innych sprawach też pisze się ciekawe rzeczy. Czytelnicy polscy na pewno o tym wiedzą, ale warto przypomnieć wywiad z kardynałem Glempem, który był poprzedzony przez naprawdę sensacyjny wstęp. Mówiło się w nim otwarcie, że właściwie nie ma żadnego zasadniczego konfliktu między uczestnictwem w rządzącej partii a byciem dobrym katolikiem. Czytelnikowi rosyjskiemu rok przed tysiącletciem chrześcijaństwa w Rosji, takie stwierdzenie musi nasuwać ciekawe skojarzenia.

G.M.: *Mówi Pan Profesor o pewnych symptomach polityki wewnętrznej w ZSRR, a czy coś Pana zdaniem zmieniło się w radzieckiej polityce zagranicznej?*

Z.B.: Ona dotychczas miała raczej charakter teatralny, tzn. ciągle jakieś nowe propozycje ogłaszane w prasie i w telewizji. Nie było natomiast rzeczywistego dialogu dyplomatycznego. W tym sensie trzeba było ją uważać za próbę oddziaływania na opinię publiczną na Zachodzie. Wydaje mi się jednak, że ostatnio pojawiły się pewne możliwości pozytywnych porozumień - nastąpiła większa konkretyzacja niektórych propozycji i w związku z tym pojawiły się szanse, choć jeszcze bardzo ograniczone, porozumienia między USA a ZSRR.

G.M.: *Czy w tym mieści się ostatnia propozycja rozbrojeniowa?*

Z.B.: Tak, właśnie to mam na myśli. Tego nie powinno się przeceniać, jest to bardzo ograniczony zakres, ale być może tego rodzaju umowa pociągnie za sobą również porozumienie o szerszym zakresie jak na przykład rozbrojenie w dziedzinie czysto strate-

gicznej czy rozbrojenie w dziedzinie konwencjonalnej. Dla Europy centralnej miałyby to bezpośrednie znaczenie o konsekwencjach wojskowych i politycznych. Oczywiście, jeśli ma nastąpić współpraca między USA a ZSRR, jeśli ma nadejść okres rzeczywistego odprężenia, to należy wymagać, by umowy o charakterze rozbrojeniowo-strategicznym czy też konwencjonalnym zostały rozszerzone w kierunku umów o charakterze geopolitycznym. Mam na myśli w szczególności kwestię Afganistanu. To jest sprawa rzeczywiście bardzo tragiczna, bo naród tego kraju ulega właściwie fizycznemu zniszczeniu. Ale jest to również bardzo ważna sprawa geopolityczna. Istota sprawy bowiem nie dotyczy właściwie tylko samego Afganistanu - jest to również sprawa przyszłości Iranu i Pakistanu, a w sumie sprawa kontroli nad Zatoką Perską. To dla Zachodu i dla Stanów Zjednoczonych ma znaczenie absolutnie zasadnicze.

G.M.: Był Pan Profesor doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego i z tego okresu znane są nam Pana zabiegi dyplomatyczne w grudniu 1980 roku, które być może uchroniły Polskę przed tragedią podobną do węgierskiej w 1956 r. Ale później przyszedł grudzień 1981. Przed kilkoma miesiącami dużo na ten temat w Polsce mówiono - rzecznik prasowy PRL zadawał na przykład pytanie: dlaczego "Solidarność" nie została ostrażona przez rząd USA przed wprowadzeniem stanu wojennego. Choć nie był Pan już wtedy w rządzie, zapewne orientuje się Pan, dlaczego tak się wtedy stało.

Z.B.: To była kwestia wyboru mniejszego zła. Rząd Stanów Zjednoczonych zdawał sobie sprawę i ja to zdanie podzielałem, że przed Polską były trzy drogi: kompromisu, stanu wojennego i interwencji zewnętrznej. Do kompromisu niestety nie doszło, a w jesieni 1981 r. było już wiadomo, że wprowadzenie stanu wojennego jest nieuniknione. Gdyby polskie społeczeństwo zostało ostrzeżone /a trudno to było zrobić również dlatego, że nikt nie znał konkretnej daty, kiedy to miało nastąpić/ mogłoby stawić większy i zdecydowany opór, a jeśli tak to byłaby możliwa również ta trzecia ewentualność. Powtórzyłaby się zapewne wtedy sytuacja z 1863 r., tylko na większą skalę. I któż miałby chcieć takiego rozwoju sytuacji w Polsce... Tego właśnie trzeba było unikać.

G.M.: Jak Pan Profesor widzi wobec tego naszą sytuację: gdyby miał Pan być doradcą polskiego społeczeństwa, co by Pan nam radził zrobić?

Z.B.: Doradzałbym w miarę możliwości rozszerzanie tzw. cywilnego społeczeństwa, a jednocześnie podejmowanie wszelkich wysiłków i wykorzystywanie wszelkich sposobów dialogu z władzą. Ja wiem, że to znacznie łatwiej powiedzieć niż robić, zwłaszcza jeśli uwzględnisię wypadki ostatnich kilku lat. Moim zdaniem jest to jednak jedyna droga. Wiem też oczywiście, że kompromis nie jest sprawą jednostronną ale dwustronną i że wymaga poważnego przewartościowania postaw w ekipie rządzącej. Ale też sądzę, że u poszczególnych jednostek w tej ekipie pojawiło się coś, co można by nazwać zrozumieniem faktu, że wyjście z kryzysu i stagnacji, a także uniknięcie grożącego wybuchu /bo przecież nie możemy wykluczyć, że może nastąpić również taka sytuacja/ jest możliwe jedynie przez dialog i porozumienie. Nie wiem, czy te poszczególne jednostki są w stanie takie przekonanie narzucić całej ekipie rządzącej. Zdaję sobie jednak sprawę, że ewolucja, która ma nastąpić, wymaga wciągnięcia również i tych, którzy mają odmienne spojrzenie na to społeczeństwo i sprawują władzę. Sądzę, że wciągnięcie ich w ten proces nie

jest rzeczą wykluczoną. Wyraźnie przecież następuje zrozumienie, że to co uważało się za przyszłość w doktrynach marksistowskich, zaczyna się rozpiywać i staje się niezbyt istotne dla problematyki przyszłego wieku. Wchodzimy, wydaje mi się, że to jest całkiem jasne, w okres zmięrczu tego, co nazywa się historycznie komunizmem. Być może, że formy komunizmu a nawet sama nazwa będą jeszcze przez jakiś czas, ale ich treść ulegnie zasadniczym zmianom. I w tym widzę szansę dla stworzenia czegoś lepszego.

Rozmawiała Ewa Górka

*

- Był Pan w Warszawie, gdzie rozmawiał Pan z "centralą", jadt Pan też obiad w Gdańsku. Jaka odległość dzieli opinie wypowiedziane w Warszawie od tych w Gdańsku? Czy są to opinie do pogodzenia?

- Jeśli ma pan na uwadze oficjalne opinie w Warszawie, to są pewne rozbieżności, ale wydaje mi się, że nie są one beznadziejne i że mimo głęboko zakorzenionych różnic widać też pewne zbieżności, które z czasem mogą stać się decydujące.

- Której ze stron wolałby Pan być doradcą?

- To jest jasne.

- I co by Pan wtedy powiedział?

- Gdybym był doradcą, którego rady są brane poważnie, to wolałbym być doradcą tamtej strony. Tu w ogóle niełatwo być doradcą.

- Panuje opinia, że jakkolwiek układałaby się sytuacja w Polsce, jest to w zasadzie obojętne dla globalnej polityki USA. Jak Pan ocenia tę opinię, zwłaszcza w kontekście kadencji Pana jako doradcy Prezydenta?

- Nie uważam tej opinii za słuszną. Oczywiście dla Stanów Zjednoczonych stosunki ze Związkiem Sowieckim są sprawą zasadniczą, są kwestią życia i śmierci. To bezwzględnie jest na pierwszym planie. Ale nawet w kontekście tych stosunków Polska odgrywa poważną rolę, ze względu na swoje geopolityczne położenie. Poza tym jest faktem przyjaźń Amerykanów i zainteresowanie losem narodu polskiego. I to też oddziałuje na politykę zagraniczną kraju, który jest krajem istotnie demokratycznym i w którym *vox populi* odgrywa bardzo ważną rolę. Wobec tego nie mogę się zgodzić z opinią, że Polska jest dla Ameryki sprawą drugorzędą, nieistotną. W każdej działalności, realizm jest rzeczą konieczną, a szczególnie w polityce. To co Ameryka może dla Polski zrobić, jest z natury rzeczy ograniczone. Ale Ameryka może się przyczynić do pewnych procesów ewolucyjnych, których dynamika jest powodowana przez wypadki wewnętrzne, ale które mogą być ułatwione przez inteligentną politykę zewnętrzną krajów tego typu jak Stany Zjednoczone.

- Czy obecne przemiany w polityce reformatorskiej ZSRR są jedynie - Pana zdaniem - zabiegem kosmetycznym czy też rzeczywiście Gorbaczowowi marsz się rola Piotra I?

- Ja nie uważam tego, co się dzieje w Związku Sowieckim za politykę reformatorską, a raczej za dyskusję reformatorską. Jesteśmy na etapie, na którym toczy się dość ożywiona dyskusja na temat ewentualnych reform. Sądzę, że te reformy będą próbowane, że będzie próba wprowadzenia ich w życie. W tym sensie to, co się dzieje, jest istotne. To nie jest tylko taktyka, to nie jest bez znaczenia. Natomiast jestem w pewnym sensie sceptykiem co do możliwości na tym etapie historycznym przeprowadzenia rzeczywiste gruntownych reform ustroju sowieckiego - ze względów częściowo historycznych, częściowo instytucjonalnych.

- Jak Pan sądzi, jaki był wpływ wcześniejszych wydarzeń w Polsce, wcześniejszych koncepcji tutaj zarysowanych na kształt zmian na Wschodzie?

- Moim zdaniem, i to może być trochę polemiczne, raczej minimalny. Ja nie sądzę, żeby wypadki w Polsce, czy też na Węgrzech niezależnie od ich rzeczywiście wielkiego znaczenia, wpłynęły na to, co się dzieje w Związku Sowieckim. Moim zdaniem głównym czynnikiem powodującym tę dyskusję reformatorską w Związku Sowieckim jest zrozumienie w tej elicie, w tej nowej generacji kierowniczej, że Związek Sowiecki jest coraz bardziej zacofany w wielkiej rywalizacji ze światem zachodnim, szczególnie ze Stanami Zjednoczonymi. W tej grupie kierowniczej jest rzeczywiście szeroko rozpowszechniona świadomość stopnia, do jakiego Stany Zjednoczone wyprzedziły i wyprzedzają Związek Sowiecki. 25 lat temu Chruszczow przewidywał, że już w roku 1970 Związek Sowiecki przegoni Stany Zjednoczone. Teraz jedyne pytanie na następne piętnaście lat brzmi: o ile bardziej Związek Sowiecki zostanie w tyle za Stanami Zjednoczonymi? I to - jak sądzę - oni rozumieją, rozumieją dobrze. Ale trudność polega na tym, że wprowadzenie reform w systemie tak utrwalałym i tak historycznie zakorzenionym nie jest rzeczą łatwą.

- Jakie w takim razie powinny być priorytety polskiej polityki?

- Ja to ujęm bardzo ogólnikowo. Moim zdaniem ewolucja w kierunku społecznie formułowanej polityki reformy gospodarczej i szerszego udziału przez całe społeczeństwo w zasadniczych decyzjach narodowych. To jest punkt wyjścia dla tworzenia nowoczesnego społeczeństwa. Nowoczesne społeczeństwo musi być społeczeństwem, które jest samodzielne. We wszystkich ważnych dziedzinach społeczno-politycznych. Ale tego celu nie można, moim zdaniem, osiągnąć jednym wielkim skokiem, ale wieloma krokami. Mnie się wydaje, że niezależna myśl polityczna w Polsce doskonale to rozumie i do tego celu zmierza, i mam nadzieję, że również wśród tych, którzy sprawują władzę następuje proces przewartościowania spraw zasadniczych i dlatego też ja jestem w zasadzie historycznym optymistą w stosunku do tego, co może nastąpić.

- Czy mogliśmy w okresie "Solidarności" zrobić coś więcej albo coś inaczej?

- To nie jest pytanie, na które można odpowiedzieć krótko, to jest sprawa zawiła, ale w każdym razie to co nastąpiło w Polsce w ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu lat, w moim rozumieniu jest rzeczą o przełomowym znaczeniu i właśnie stwarza przesłanki tych założeń, które skłaniają mnie do ocen raczej historycz-

nie optymistycznych.

- W swoim eseju o przyszłości Jaitę postawił Pan pięć tez mówiących jak przemycięszyć Jaitę: po pierwsze - definitywne opowiedzenie się przeciwko skutkom Jaitę, po drugie - rozszerzenie KBWE i wzmocnienie wpływu na kraje socjalistyczne w zakresie przestrzegania praw człowieka, po trzecie - uzależnienie państw socjalistycznych od gospodarki światowej, głównie zachodniej, po czwarte - poparcie niezależnych ruchów opozycyjnych działających w bloku komunistycznym i po piąte stworzenie z Europy Zachodniej potęgi militarnej. Czy uważa Pan, że tezy te są nadal aktualne, skoro KBWE uważa się za sukces ZSRR, zaś uzależnienie gospodarki polskiej od zachodniej i silne poparcie dla polskiej opozycji, także nie dało spodziewanych rezultatów?

- Sytuacja międzynarodowa zawsze rozwija się w sposób nieco sprzeczny, to nie jest tylko rezultat dialektyki marksistowskiej, ale co do istoty rzeczy uważam, że mimo wszystko, mimo tych sprzeczności, o których pan wspomina, tendencja rozwojowa w Europie idzie w kierunku powstania szerszej wspólnoty europejskiej. W ten czy w inny sposób zmniejsza się również wpływ supermocarstw. Sytuacja ta nie będzie rozwijała się w linii prostej, ale z czasem dojdzie do takiego stanu, w którym będzie sama w sobie negacją tego podziału Europy, który nastąpił w 1945 r. I z tego punktu widzenia taki rozwój sytuacji może właśnie ulepszyć, uzdrowić stosunki amerykańsko-sowieckie, gdyż bardziej autentyczna Europa stanie się czynnikiem balansowym i przestanie być linią podziału i frontem starcia tych dwóch wielkich mocarstw. Z punktu widzenia krajów ulokowanych w tym rejonie jest to tendencja pozytywna.

- Pan Profesor wspominał o konieczności zaistnienia w Polsce pluralizmu. Proszę o ściślejsze skonkretyzowanie, o jaki pluralizm chodzi - biorąc pod uwagę monopol partii i sytuację geopolityczną - czy tylko o religijny, czy też o społeczny, a nawet polityczny?

- Pluralizmu nie można ograniczyć tylko do jednej sfery. Lecz tworzenie pluralizmu to nie jest akt jednorazowy, to jest proces, który się rozwija powoli; ale jego możliwości rozszerzają się. W pewnym sensie nawet ta rozmowa, dzisiaj, jest pewnym załącznikiem pluralizmu nie ograniczonego tylko do sfery gospodarczej. Ostatecznie jeżeli się zastanawiamy nad tym, co się w tej chwili dzieje, to jest to jednak symbol czegoś więcej niż tylko pluralizmu ograniczonego do sfery gospodarczej.

- Symboli mamy mnóstwo w tym kraju. Przelewa się od symboli, ale spraw nie możemy pchnąć do przodu.

- Społeczeństwo wasze jest bardzo pluralistyczne, ale nie ma organizacji pluralistycznych. /.../ Sytuacja, która nie była możliwa dziesięć lat temu, ma teraz miejsce. To, co nazywa się pluralizmem, będzie możliwe za cztery, pięć lat, a dynamika, tak mi się zdaje, idzie raczej w tym kierunku.

- Budzi się Pan za kilka lat, a tu są już inne warunki - czy wraca Pan do kraju?

- Nie, ja jestem Amerykaninem, uważam się za Amerykanina polskiego pochodzenia. Czuję wiele powiązań z tym krajem, głębokich powiązań, ale jestem Amerykaninem, tego nie kryję i nie wstydę się. Ameryka jest krajem wszystkich ludzi, można być Amerykaninem prawdziwym, stuprocentowym, a jednak głęboko zako-

rzenionym w innym kraju, powiązanych z jego historią, tradycją, w pewnym sensie dzielących jego aspiracje - więc powiem szczerze: jestem Amerykaninem, nie kryję jednak mojego polskiego pochodzenia. Udało mi się przeżyć w Ameryce bez zmiany nazwiska, mimo jego polskiego brzmienia. Uważam za swój obowiązek robić, co mogę, ażeby rozszerzać stosunki amerykańsko-polskie, bo sądzę, że jest to korzystne dla Ameryki i jestem przekonany, że także dla Polski.

- *Panie Profesorze, istnieje taki pesymistyczny pogląd, że w zasadzie ten podział świata, jaki istnieje, jest na rękę krajom tak zaważanym jak Ameryka, ponieważ stwarza on naturalną różnicę potencjałów, rynki zbytu dla USA, powoduje, że można być dumnym żyjąc w Stanach i mając tak wysoki status w porównaniu z obywatelami innych krajów. Czy Pan podziela to zdanie?*

- Nie podzielam i uważam, że wynika ono z niezrozumienia, czym jest Ameryka. Ameryka jest to kraj taki, jak inne - w tym sensie, że jest to kraj zlokalizowany w pewnym miejscu, a jednocześnie odmienny od wszystkich innych krajów na świecie, bo jest również krajem globalnym - w tym sensie, że wszyscy prawie Amerykanie czują pewną powinność, pewne połączenie ze wszystkimi częściami świata. Ameryka była dotychczas w swej istocie krajem, w którym dominowała kultura anglosaska; to jednak zanika w ostatnich latach. Ameryka staje się mozaiką różnych kultur. Na przykład coraz wyraźniejszy jest wpływ Amerykanów przybyłych z Azji - chińskiego, japońskiego czy koreańskiego pochodzenia.

Moimi najlepszymi studentami - zanim odszedłem do Białego Domu - byli Amerykanie żydowskiego pochodzenia. Po powrocie z Waszyngtonu stwierdziłem, że najlepszymi są już Amerykanie pochodzenia japońskiego, koreańskiego czy hinduskiego. I to również w pewnym sensie rozszerza perspektywę Ameryki na świat. A to zjawisko samo w sobie wyklucza ten sposób myślenia Amerykanów o świecie, o jakim mówiono w pytaniu.

- *Dlatego Amerykanin czuje się uprawniony do udziału w polityce globalnej. Skąd ta tendencja w ZSRR?*

- Po części wynika ona z mocarstwowości, także z ideologii, ale moim zdaniem ta tendencja zaczyna zanikać. To, o czym pan wspomniał nasuwa mi inną myśl jeszcze: dlaczego Ameryka wysunęła na pierwszy plan kwestię praw człowieka? Nie mogłaby tego zrobić, gdyby była takim samym krajem jak wszystkie inne. Co właściwie uprawnia Amerykę do wytykania ludziom na całym świecie tego, że nie szanują praw człowieka? Amerykanie absolutnie się nad tym nie zastanawiają. Do głowy nam nie przychodzi, że nie mamy prawa tego robić, bo czujemy się rzeczywiście jak Amerykanie, ale równocześnie jak część świata i - ludzie, którzy wysunęli na pierwszy plan to, co powinno być pierwszoplanowym programem każdego państwa: prawa człowieka. Jest to - być może - w pewnym sensie bezczelność historyczna, często spotykam się i spotykam także teraz z zarzutami ze strony dygnitarzy innych państw, którzy pytają: jakim prawem wy się mieszacie do naszych spraw? A ja na to: bo my jesteśmy Amerykanie i jeśli chcecie się mieszać w nasze sprawy, to proszę bardzo, nam to nie przeszkadza. A my mamy prawo wytykać wszystkim jako kraj stanowiący różnorodny zlepek, mamy także pewną uniwersalną koncepcję stosunku do zasadniczych układów między człowiekiem a społeczeństwem i między społeczeństwem a państwem.

- Ale czy świat na kształt Ameryki ...?

- Nie na kształt, ale są pewne sprawy, które powinny być uznane. My nie narzucamy naszego modelu nikomu, ale wielu chce go imitować, w pewnych przynajmniej domenach.

- Ale Amerykanie zgadzają się co do tego, że wszyscy mają takie same prawo wytykania Ameryce...

- Jak najbardziej. Jeżeli ktoś będzie myślał, że w jakichś dziedzinach naszego życia, np. w kwestii rasowej, są duże niedociągnięcia, nie będziemy na pewno uważać, że to nie jest jego sprawa. Możemy się nie zgadzać z tą czy inną oceną, ale jeśli ktoś przyjedzie do Ameryki i powie nam: słuchajcie, wy jeszcze dyskryminujecie czarnych, to przede wszystkim będzie to prawda, ale przecież nikomu nie przyjdzie nawet do głowy powiedzieć: wy nie macie prawa nam tego wytykać.

- Ale to prawo dotyczy wszystkich ludzi na całym świecie.

- Absolutnie!

- Może Pan powiedzieć, jakie faktycznie znaczenie w życiu politycznym USA ma Polonia?

- Więc przede wszystkim co do wielkości tej Polonii, to moim zdaniem jest tendencja szalonego przecenienia wielkości, liczności i dzielności. Niektórzy mówią 14 milionów, niektórzy 13, bardziej dyskretni mówią 8. Ja sądzę, że nie ma prawdopodobnie więcej niż 4 miliony tych, którzy się w jakiś sposób identyfikują z Polską. To, że ktoś miał kiedyś tam jakąś babkę ze Lwowa, nie ma znaczenia. Poza tym do niedawna była tendencja wnikania w kulturę anglosaską wraz z awansem społecznym - zmienianie nazwisk i tym podobne. Jednym ze źródeł mego osobistego zadowolenia jest przeświadczenie, że wielu Polaków zaniechało zmiany nazwiska ze względu na przykład mojej osoby; sądzą oni, że w dzisiejszej Ameryce można wypłynąć nazywając się Jan Supełkowski, co jest znacznie trudniejsze niż Brzeziński. Ale z punktu widzenia organizacyjno-politycznego Polonia ma mniejszy wpływ niż np. Amerykanie greckiego pochodzenia, którzy są dobrze zorganizowani, mają dużo pieniędzy, że nie wspomnę już o Amerykanach pochodzenia żydowskiego, którzy są jeszcze lepiej zorganizowani.

W ostatnich latach można zauważyć pewien postęp. Organizacja polonijna działa sprawniej, ma teraz - moim zdaniem - dobre kierownictwo, mocno angażuje się w sprawę pomocy gospodarczej dla Polski i obronę praw człowieka, stara się bardziej wpływać na kongresmanów i senatorów amerykańskich. Ale tego nie można jeszcze porównywać ze znaczeniem głównych grup etnicznych Ameryki, które są przede wszystkim bogatsze.

Społeczność polska w USA bardzo ciężko pracuje, jest wyjątkowo cicha i praworządna /bardzo niski procent przestępców/, ale niewielu wśród niej jest bogatych i politycznie zaangażowanych.

- Czy Pan się identyfikuje z Polonią?

- Nie. Ja całkiem świadomie wybrałem sobie życiową drogę - Amerykanina, który chce działać na arenie polityki międzynarodowej i może wpływać bezpośrednio na politykę amerykańską, człowieka uznawanego przez Amerykanów, z którego opinią się

liczą, który może być członkiem kierownictwa politycznego tego kraju, ponieważ nie reprezentuje specyficznych i wąskich poglądów etnicznych. Wybrałem tę drogę trzydzieści lat temu i uważałem zawsze, że w ten sposób będę mógł więcej zrobić dla tych różnych spraw, które uważam za ważne.



Zbigniew Brzeziński odpowiada na pytania Ewy Górskiej

Alvin Toffler

TRZECIA FALA

FRAGMENTY USUNIĘTE PRZEZ CENZURĘ

Państwowy Instytut Wydawniczy, którego nakładem ukazał się ostatnio polski przekład Trzeciej fali Alвина Tofflera, poprzedził tom następującą notą: "Objętość Trzeciej fali znacznie przekraczała techniczne możliwości druku w serii Biblioteka Myśli Współczesnej, dlatego też w polskim wydaniu - za zgodą Autora - zostały pominięte cztery rozdziały książki oraz szczegółowe przypisy i bibliografia, znajdujące się w amerykańskim oryginalu". Dalej następuje informacja, z której wynika, że chodzi o rozdziały VII, VIII, XVIII i XXII, a także pojawia się dość niejasne tych rozdziałów streszczenie; nie sposób w nim oddzielić własne myśli Tofflera od komentarzy tego, który je streszczał.

Amerykańskie, paperbackowe wydanie Trzeciej fali dokonane w 1981 roku przez Bantam Books, zawiera ogółem 537 stron. Na tekst podstawowy przypada z tego 445 stron, na przypisy 40 stron, a na bibliografię oraz indeks 50 stron. Cztery pominięte w Polsce rozdziały liczą łącznie w tym wydaniu 52 strony /VII- 5 stron, VIII - 14 stron, XVIII - 17 stron, a XXII - 16 stron/. Stanowią więc one 10% całej książki lub też 12% tekstu podstawowego. Zaiste zastanawiająca proporcja! I nieuchronnie prowadząca ku powzięciu poważnych wątpliwości co do "przekroczonych technicznych możliwości druku", na jakie powołuje się wydawca. Dwa krótkie fragmenty - z rozdziału VIII i z XXII - pozwalają za to wszelkich wątpliwości całkowicie się wyabyd /w obu przypadkach podtytuły fragmentów są autorstwa samego Tofflera/.

Ch.M.

SOCJALISTYCZNY IMPERIALIZM

Amerykańskiemu przewodnictwu w świecie Drugiej Fali z coraz większym natężeniem rzucał wyzwanie rozrost Związku Radzieckiego. ZSRR i inne kraje socjalistyczne prezentowały same siebie jako antyimperialistycznych przyjaciół ludów kolonialnych świata. W roku 1916, na rok przed objęciem władzy, Lenin napisał miażdżący atak na kraje kapitalistyczne w związku z ich polityką kolonialną. Jego *Imperializm* stał się jedną z najsilniej oddziaływujących książek naszego stulecia i wciąż

określa sposób myślenia setek milionów ludzi na całym świecie.

Lenin postrzegał imperializm jako zjawisko czysto kapitalistyczne. Kraje kapitalistyczne - twierdził - uciskały i kolonizowały inne narody nie z wyboru, lecz z konieczności. Problematyczne prawo, sformułowane przez Marksa, głosiło, że zyski w gospodarce kapitalistycznej wykazują z upływem czasu powszechną, nieodpartą tendencję spadkową. Z tego to powodu - głosił Lenin - kraje kapitalistyczne w swoim ostatnim stadium zmuszone będą do poszukiwania "super-zysków" za granicą, aby skompensować ich spadek na własnym terenie. Tylko socjalizm - przekonywał - może wyzwolić ludy kolonialne z ucisku i nędzy, ponieważ socjalizm nie ma wbudowanego mechanizmu, który pociąga za sobą ich ekonomiczną eksploatację.

To, czego Lenin nie dostrzegł, to fakt, że wiele tych samych imperatywów, którym poddane były przemysłowe kraje kapitalistyczne, działa również w przemyślowych krajach socjalistycznych. Również one są częścią systemu pieniądza światowego. Również one opierają swoje gospodarki na rozdziale produkcji od konsumpcji. Również one potrzebują rynku /aczkolwiek niekoniecznie rynku nastawionego na zysk/, by skontaktować producenta i konsumenta. Również one potrzebują surowców z zagranicy, by paść swoje przemysłowe maszyny. I z tych właśnie powodów również one potrzebują zintegrowanego światowego systemu gospodarczego, poprzez który zaspokajają swoje potrzeby i sprzedają za granicą swoje produkty.

Co więcej, Lenin, dokładnie w tym samym czasie, gdy atakował imperializm, mówił, że celem socjalizmu "jest nie tylko zbliżenie narodów, lecz ich zintegrowanie". Jak napisał w *Integracji socjalistycznej* radziecki komentator M. Senin, około roku 1920 Lenin "uważał skupienie się państw za proces obiektywny, który /.../ ostatecznie i nieodwołalnie doprowadzi do stworzenia jednej gospodarki światowej kierowanej /.../ w oparciu o powszechny plan". To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, stanowiło ostateczną wizję industrialną.

Socjalistyczne kraje przemysłowe powodowane są tymi samymi potrzebami surowcowymi, co kraje kapitalistyczne. Również one potrzebują bawełny, kawy, niklu, cukru, pszenicy i innych dóbr, by zaspokoić swoje szybko mnożące się fabryki i wyżywić ludność miast. Związek Radziecki posiadał /i wciąż posiada/ ogromne rezerwy w zasobach naturalnych. Posiada mangan, ołów, cynk, węgiel, fosfaty i złoto. Ale to samo posiadają Stany Zjednoczone i jednakowo nie powstrzymuje to żadnego z krajów od poszukiwania możliwości zakupu u innych za możliwie najniższą cenę.

Od swego zarania Związek Radziecki stał się częścią światowego systemu pieniądza. Gdy tylko jakiś kraj włączy się do tego systemu i zaakceptuje "normalne" sposoby robienia interesów, natychmiast wiązuje się z klasycznymi definicjami efektywności i produktywności - definicjami, które wywodzą się z wczesnego kapitalizmu. Jest zmuszony do akceptacji - niemalże nieświadomie - klasycznych pojęć ekonomicznych, kategorii, definicji, metod rachunkowości i jednostek miary.

Socjalistyczni managerowie i kupcy, dokładnie tak samo jak ich kapitalistyczni odpowiednicy, kalkulują więc koszty wydobycia własnych surowców naturalnych zestawiając je z

kosztami zakupu u innych. Stają w obliczu jednoznacznego wyboru "wyprodukować czy kupić", w obliczu decyzji z rodzaju tych, które dla kapitalistycznych korporacji są rzeczą codzienną. I wkrótce w sposób oczywisty okazuje się, że kupowanie pewnych surowców na rynku światowym może być tańsze niż wydobywanie ich u siebie.

Od czasu gdy podjęta została pierwsza taka decyzja, bystrzy radzieccy kupcy rozpanoszyli się na światowym rynku, by dokonywać zakupów po cenach, które uprzednio imperialistyczni handlarze zepchnęli na sztucznie zaniżony poziom. Radzieckie ciężarówki jeździły na gumach, których cena najprawdopodobniej określona została *ad initio* przez brytyjskich kupców na Malajach. Gorzej - w ostatnich latach Rosjanie płacili Gwinei /równocześnie utrzymując tam swoje bazy wojskowe/ sześć dolarów za tonę boksytów, podczas gdy Amerykanie płacili dwadzieścia trzy dolary. Indie zgłosiły protest wobec trzydziestoprocentowego zawyżenia przez Rosjan cen towarów importowanych z ZSRR przez Indie i trzydziestoprocentowego zniżenia cen indyjskiego eksportu. Iran i Afganistan uzyskiwały zaniżone ceny za eksportowany do ZSRR gaz ziemny. Tak więc Związek Radziecki, zupełnie jak jego kapitalistyczni adwersarze, czerpał zyski kosztem kolonii. Odmiennie postępowanie oznaczałoby przyhamowanie tempa własnej industrializacji.

Związek Radziecki popychany był ku polityce imperialnej również ze względów strategicznych. W obliczu militarnej potęgi nazistowskich Niemiec Rosjanie skolonizowali najpierw państwa bałtyckie, a następnie wydali wojnę Finlandii. Po drugiej wojnie światowej, poprzez bezpośrednią obecność militarną i groźbę inwazji, dopomogli zainstalować lub utrzymać "przyjazne" reżimy w większej części Europy Wschodniej. Kraje tego obszaru, bardziej przemysłowo zaawansowane niż ZSRR, były raz po raz poddawane radzieckiemu wyzyskowi, co w pełni uzasadnia określenie ich jako kolonii lub "satelitów".

"Nie może być najmniejszych wątpliwości co do tego, że w latach bezpośrednio po drugiej wojnie światowej Związek Radziecki przejął określone zasoby z Europy Wschodniej nie równoważąc ich ekwiwalentnymi płatnościami /.../ - pisze neomarksistowski ekonomista Howard Sherman. - Miały miejsce przypadki bezpośredniej grabieży i wojskowych rekwizycji /.../ Istniały również wspólne przedsiębiorstwa oparte na zasadzie radzieckiej dominacji w zarządzaniu i radzieckim drewna zysków. Zawarto również skrajnie niesprawiedliwe umowy handlowe, które równoznaczne były z dalszymi reparacjami".

W chwili obecnej nie ma oczywiście miejsca bezpośrednia grabież, a wspólne przedsiębiorstwa zniknęły, ale - jak dodaje Sherman - "istnieje wiele dowodów na to, że wymiana handlowa między ZSRR i większością krajów Europy Wschodniej wciąż nie jest ekwiwalentna - a Związek Radziecki wychodzi na tym najlepiej". Ze względu na nieścisłości publikowanych statystyk radzieckich trudno jest określić, jak duże są "zyski" osiągnięte w ten sposób. Równie dobrze może być tak, że koszty utrzymania radzieckich wojsk w Europie Wschodniej przewyższają korzyści gospodarcze. Ale sam fakt jest bezdyskusyjnie jasny.

Podczas gdy Amerykanie zbudowali strukturę złożoną z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Układu Ogólnego w Sprawie Ceł i Handlu /GATT/ oraz Banku Światowego, Rosjanie podjęli marsz ku spełnieniu marzeń Lenina o jedynej, zintegro-

wanej gospodarce światowej poprzez utworzenie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i zmuszenie krajów Europy Wschodniej, by do niej przystąpiły. Kraje RWPG zmuszane są przez Moskwę nie tylko do tego, by handlowały głównie między sobą i ze Związkiem Radzieckim, lecz również do przedstawienia swoich narodowych planów rozwoju gospodarczego do radzieckiej aprobaty. Moskwa, obstając przy ricardiańskich cnotach specjalizacji i postępując dokładnie tak, jak stare potęgi imperialistyczne wobec gospodarek Afryki, Azji czy Ameryki Południowej, przeznaczyła wyspecjalizowane funkcje każdej z gospodarek Europy Wschodniej. W sposób otwarty i zdecydowany oparła się jedynie Rumunia.

Skarżąc się, że Moskwa próbuje przekształcić jej gospodarkę w "pompę benzynową i warzywnik" Związku Radzieckiego, Rumunia podjęła próbę tego, co nazywa rozwojem wielostronnym czyli oznaczającym całościową industrializację. "Socjalistycznej integracji" Rumunia opiera się nadal pomimo radzieckich nacisków. Podsumowując: dokładnie w tym samym czasie, w którym Stany Zjednoczone objęły przywództwo wśród kapitalistycznych krajów przemysłowych świata i zbudowały swój własny samoobsługowy mechanizm do integrowania systemu gospodarki światowej, Rosjanie zbudowali odpowiednik tego systemu w tej części świata, którą udało im się zdominować.

Żadne zjawisko równie szerokie, złożone i zmienne jak imperializm, nie da się opisać w sposób prosty. Jego efekty w sferze religii, kształcenia, zdrowia, tematyki literatury i sztuki, stosunków rasowych, struktury psychicznej całych narodów, a także bardziej bezpośrednie w sferze gospodarki wciąż są wyjaśniane przez historyków. Bez wątplenia miał on na swoim koncie osiągnięcia, jak i nieludzkie okrucieństwa. Ale jego roli we wzroście cywilizacji Drugiej Fały nie sposób przecenić.

O imperializmie mamy prawo myśleć jako o zasilaczu albo akceleratorze rozwoju przemysłowego w świecie Drugiej Fały. Jakież tempo rozwoju mogłyby osiągnąć Stany Zjednoczone, Zachodnia Europa, Japonia czy Związek Radziecki, gdyby zabrakło zastrzyków żywności, energii i surowców z zewnątrz? Co by się stało, gdyby ceny towarów takich jak boksyty, mangan, cyna, wanad czy miedź były przez kilka minionych dekad od 30 do 50% wyższe?

Cena tysięcy produktów finalnych byłaby odpowiednio wyższa - w niektórych wypadkach bez wątplenia tak wysoka, że uniemożliwiłaby masową konsumpcję. Szok wywołany przez wzrost cen ropy w początkach lat siedemdziesiątych to tylko błąd cień potencjalnych skutków.

Nawet gdyby były dostępne własne substytuty, wzrost ekonomiczny krajów Drugiej Fały zostałby najprawdopodobniej zahamowany. Bez ukrytych subwencji, jakie umożliwiały imperializm, kapitalistyczna i socjalistyczna cywilizacja Drugiej Fały mogłyby się po dziś dzień znajdować w punkcie osiągniętym w 1920 czy w 1930 roku.

Wielki model powinien już być jasny: cywilizacja Drugiej Fały pokawałkowała świat organizując go w oddzielne państwa narodowe. Potrzebując zasobów reszty świata, wciągnęła spo-

leczeństwa Pierwszej Fali i pozostałe ludy prymitywne w światowy system pieniężny. Stworzyła zintegrowany globalnie rynek. Ale bujny industrializm był czymś więcej niż tylko systemem ekonomicznym, politycznym czy społecznym. Był również stylem życia i sposobem myślenia. Ukształtował charakterystyczną dla Drugiej Fali mentalność.

Właśnie ta mentalność stanowi dzisiaj kluczową przeszkodę w tworzeniu sprawnej cywilizacji Trzeciej Fali.

ABCHAZOWIE I TEKSAŃCZYCY

W czasie, gdy świat ogarniają gwałtowne płomienie nacjonalizmu - gdy ruchy narodowo-wyzwoleńcze rozprzestrzeniają się w miejscach takich jak Etiopia i Filipiny, gdy maleńkie wysepki jak Dominika na Morzu Karaibskim czy Fidżi na południowym Pacyfiku ogłaszają swoją państwowość i wysyłają delegatów do ONZ - w świecie zaawansowanej technologii dzieją się dziwne rzeczy: zamiast nowych państw pojawia się groźba, że w kawałki rozpadną się państwa stare.

W miarę jak huk Trzeciej Fali niesie się ponad światem, państwo narodowe - kluczowa struktura polityczna ery Fali Drugiej - zgniatané jest, jak w imadle, przez naciski z dołu i z góry.

Jeden układ sił próbuje przemieścić władzę polityczną ku dołowi - ze szczybla państwa narodowego na poziom subnacjonalnych regionów i grup społecznych. Inne dążą do przesunięcia władzy w górę - od państwa do ponadnarodowych agencji i organizacji. Łącznie siły obu układów prowadzą do rozpadu państw o zaawansowanej technologii na mniejsze i słabsze struktury, co łatwo można dostrzec w najróżniejszych punktach świata.

Jest sierpień 1977 roku. Trzej zamaskowani mężczyźni siedzą za skleconym naprędcie stołem, którego jeden koniec ozdabia latarnia, drugi okapująca stearyną świeca, a środek rozświetlona jak obrus flaga. Na fladze: gniewna twarz zwycięzcy pod skręconą opaską na czole i litery FLNC. Spoglądając przez rozcięcia masek, mężczyźni opowiadają swoją historię tłumkowi dziennikarzy, których doprowadzono na to rendez-vous z zawiązanymi oczyma. Zamaskowani ogłaszają, że to oni są odpowiedzialni za zamach bombowy na telewizyjną stację przekątnikową w Serra-di-Pigno - jedyne źródło francuskich programów telewizyjnych na Korsyce. Zrobili to, bo pragną odłączenia Korsyki od Francji.

Kipią gniewem, ponieważ Paryż tradycyjnie patrzył na nich z góry i ponieważ rząd francuski niewiele zdziałał dla gospodarczego rozwoju ich wyspy; gniew mieszkańców Korsyki podsycał fakt przeniesienia tutaj jednostek Legii Cudzoziemskiej, które po zakończeniu działań wojennych wycofano z Algierii. Jeszcze większe oburzenie lokalnej ludności wywołało działanie rządu, gdy przyznał wysokie subsydia i specjalne prawa osiedleńcze na Korsyce dla *pieds noirs* - byłych kolonistów z Algierii. Osadnicy przybyli całymi hordami i bezzwłocznie wykupili dużą część winnic /obok turystyki stanowią one podstawę gospodarki wyspy/ sprawiając, że rodowici Korsykanie we własnej ojczyźnie zaczęli czuć się jak obcy. W rezultacie

Francja ma dziś małą Północną Irlandię, na jaką zanosi się na śródziemnomorskiej wyspie.

Również na przeciwległym krańcu kraju długo tłumione uczucia separatystyczne rozpały się pełnym płomieniem. W Bretanii, w warunkach wysokiego bezrobocia i poziomu płac, który należy do najniższych w całej Francji, ruch separatystyczny cieszy się szerokim poparciem społecznym. Rozdzielił się na rywalizujące partie i posiada skrzydło terrorystyczne, którego członkowie byli aresztowani za zamachy bombowe na budynki publiczne - łącznie z pałacem w Wersalu. Jednocześnie Paryż jest nekany żądaniami kulturalnej i regionalnej autonomii dla Alzacji i Lotaryngii, dla części Langwedocji i dla innych obszarów kraju.

Po drugiej stronie kanału La Manche w obliczu podobnych - chociaż nie tak gwałtownych - nacisów ze strony Szkotów stoi Wielka Brytania. Na początku lat siedemdziesiątych mówienie o nacjonalizmie szkockim traktowane było w Londynie jako dowcip. Dzisiaj, gdy ropa naftowa tworzy potencjał wystarczający dla niepodległego rozwoju szkockiej gospodarki, sprawa wcale nie jest śmieszna. Chociaż próby powołania oddzielnego parlamentu Szkocji zostały udaremnione w 1979 roku, to jednak siły na rzecz autonomii sięgają głęboko. Długo drażnieni polityką rządową, która w rozwoju ekonomicznym faworyzowała południe kraju, nacjonałiści szkoccy uważają teraz, że ich własna gospodarka oczekuje pobudzenia i że niemrawa gospodarka brytyjska ciągnie Szkocję w dół.

Domagają się większej kontroli nad własną ropą naftową. Dążą także do zastąpienia podupadłego przemysłu stalowego i okrętowego nowymi dziedzinami - bazującymi na elektronice i innych nowoczesnych technologiach. I rzeczywiście: podczas gdy Wielka Brytania targają kontrowersje na temat tego, czy ruszać czy też nie z planami wspieranego przez państwo przemysłu półprzewodników, Szkocja już jest - po Kalifornii i Massachusetts - trzecim co do wielkości producentem obwodów scalonych na świecie.

Poza tym na terenie Wielkiej Brytanii wyraźne napięcia separatystyczne mają miejsce w Walii, a drobne ruchy na rzecz autonomii objęły nawet Kornwalię i Wessex, gdzie regionaliści żądają własnych rządów, własnego zgromadzenia prawodawczego i przejścia od zacofanego przemysłu do najwyższej zaawansowanej technologii.

Od Belgii /gdzie przybierają na sile napięcia między Walonami, Flamadami i Brukselczykami/ po Szwajcarię /gdzie grupa odszczepieńców zwyciężyła ostatnio w boju o własny kanton w Jurze/, po RFN /gdzie Niemcy sudeccy domagają się prawa do powrotu na swe pierwotne ziemie ojczyzny w pobliskiej Czechosłowacji/, po mieszkańców Południowego Tyrolu we Włoszech, po Słoweńców w Austrii, Basków i Katalończyków w Hiszpanii, Chorwatów w Jugosławii i po tuziny mniej znanych mniejszości - cała Europa odczuwa bezlitosne narastanie sił odśrodkowych.

Po drugiej stronie Atlantyku nie zakończył się jeszcze wewnętrzny kryzys Kanady związany z prowincją Quebec. Wybór wywodzącego się z Quebec, separatystycznie nastawionego premiera Rene Levesque'a, odpływ kapitału i businessu z Montrealu, rosnące rozgorczenie we wzajemnych stosunkach francuskojęzycznych i anglojęzycznych Kanadyjczyków - wszystko to stworzyło realną możliwość narodowej dezintegracji. Były pre-

mier, Pierre Trudeau, walcząc o ocalenie narodowej jedności, ostrzegał, że "jeśli pewne odśrodkowe tendencje osiągną spełnienie, to będziemy musieli pozwolić na rozpad tego kraju albo staniemy się tak bardzo podzieleni wewnętrznie, że jego zdolność, by istniał i działał jak jedno państwo, ulegnie zniszczeniu". Ponadto Quebec nie jest jedynym źródłem sił pchających ku podziałowi. Być może równie ważny, chociaż mniej znany za granicą, jest wzmagający swój głos chór separatystów czy też autonomistów w obfitującej w ropę naftową Albercie.

Za Pacyfikiem na podobne naciski wystawione są Australia i Nowa Zelandia. W Perth magnat węglowy imieniem Lang Hancock uznał, że obfitująca w kopaliny Australia Zachodnia zmuszana jest do płacenia sztucznie wyśrubowanych cen za pochodzące z Australii Wschodniej towary przemysłowe. Wśród innych zgłaszanych przez Australię Zachodnią zarzutów znajduje się i ten, że jest ona niedostatecznie reprezentowana w Canberze, że - w kraju ogromnych odległości - ceny biletów lotniczych są wymierzonym w nią oszustwem, że polityka państwa wniechęca zagranicznych inwestorów do angażowania się na zachodzie kraju. Żółte litery stylów przed biurem Langa Hancocka głoszą: "Secesjonistyczny Ruch Zachodniej Australii".

Równocześnie własne kłopoty z tendencjami rozłamowymi ma Nowa Zelandia. Hydroelektrownie na południu wyspy zaspokajają większość ogólnokrajowych potrzeb energetycznych, ale - jak twierdzą mieszkańcy tej części kraju, którzy stanowią trzecią część całej jego ludności - przynosi to niewiele i przemysł wciąż ucieka na północ. Ostatnio, na zebraniu, któremu przewodniczył burmistrz miasta Dunedin, narodził się ruch, który pragnie ogłosić niepodległość południowej części wyspy.

To, co w całej rozciągłości możemy dostrzec, to poszerzające się pęknięcia, które grożą rozpadem państw narodowych. Napięcie tego typu nie brak i u dwóch gigantów - w ZSRR i w Stanach Zjednoczonych.

Trudno nam sobie wyobrazić rzeczywisty rozpad Związku Radzieckiego, jaki przewidywał kiedyś dysydencki historyk Andriej Amalrik. Jednakże władze radzieckie uwięziły nacjonalistów armeńskich, którzy w roku 1977 dokonali zamachu bombowego w moskiewskim metrze, a od 1968 roku podziemna Narodowa Partia Zjednoczeniowa prowadzi kampanię rzecz ponownego połączenia wszystkich ziem Armenii. Podobne ugrupowania istnieją w innych republikach radzieckich. W Gruzji marsze tysięcy demonstrantów zmusiły rząd radziecki do uczynienia języka gruzińskiego oficjalnym językiem republiki, a zagraniczni turyści przeżywają wstrząs, gdy na lotnisku w Tbilisi słyszą, że lot do Moskwy zapowiadany jest jako lot "do Związku Radzieckiego".

Z drugiej strony, podczas gdy Gruzini demonstrowali przeciwko Rosjanom, Abchazowie - mniejszość narodowa w Gruzji - spotykali się w swojej stolicy, w Suchumi, by żądać dla siebie niezawisłości od Gruzinów. Żądania te i masowe mityngi w trzech miastach były tak poważne, że potoczyły się głowy oficjalów partii komunistycznej, a Moskwa, celem zjednania sobie Abchazów, ogłosiła dla nich plan rozwoju stanowiący równowagę 750 milionów dolarów.

Nie sposób ocenić pełną intensywność nastrojów separatystycznych w różnych częściach ZSRR. Jednakże zmora wielu równoczesnych ruchów secesyjnych musi drążyć władze. Gdyby mia-

to dojść do wojny z Chinami albo też nagle wybuchłaby seria powstań w Europie Wschodniej, Moskwa z dużym prawdopodobieństwem mogłaby stanąć w obliczu otwartych rewolt w imię secesji lub autonomii w niejednej republice.

Większości Amerykanów trudno sobie wyobrazić okoliczności, w których mogłyby ulec rozerwaniu Stany Zjednoczone /ale jeszcze dziesięć lat temu rozerwanie Kanady też nie mieściło się w głowach większości jej obywateli/. Ale separatystyczne napięcia stopniowo rosną. Bestsellerem ruchu wydawniczego "underground" w dzisiejszej Kalifornii jest powieść obrazująca oderwanie się stanów północno-zachodnich od Ameryki, wymuszone groźbą detonowania w Nowym Jorku i Waszyngtonie min nuklearnych. Krają również i inne scenariusze secesyjne. Na przykład raport przygotowany dla Kissingera, gdy jeszcze był doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, rozważa możliwość odłączenia się Kalifornii i południo-zachodu USA oraz utworzenia hispanojęzycznych albo dwujęzycznych jednostek geograficznych - "Chicano Quebecs". Listy kierowane do redakcji gazet mówią o ponownym związaniu Teksasu z Meksykiem i utworzeniu bazującej na ropie naftowej potęgi o nazwie Teksyk.

W kiosku hotelowym w Austin kupiłem niedawno egzemplarz "Miesięcznika Teksaskiego", który ostro krytykuje "gringo-politykę" uprawianą przez Waszyngton na szkodę Meksyku i dodaje: "Wydaje się, że w ostatnich latach więcej mamy wspólnego z naszymi niegdysiejszymi wrogami w Mexico City, niż z naszymi przywódcami w Waszyngtonie. Jankesi kradną naszą ropę naftową od czasów Spindeltopa. Teksaszczyki nie mogą się dziwić, że Meksyk próbuje uniknąć ekonomicznego imperializmu tego samego rodzaju".

W tym samym kiosku nabyłem również rzucającą się w oczy nalepkę na zderzak samochodu. Wyobrażoną na niej była teksaska gwiazda i wypisane jedno słowo: "Odłącz się!"

Takie wypowiedzi mogą być nieco naciągane, ale faktem jest, że w całych Stanach Zjednoczonych, jak i w innych krajach zaawansowanej technologii, władze państwowe wystawiane są na próbę, a naciski separatystyczne rosną. Pomijając podniesienie się potencjału separatystycznego w Puerto-Rico czy na Alasce, a także żądania pierwotnych obywateli Ameryki - Indian - by uznano w nich suwerenny naród, możemy dostrzec poszerzające się szczeliny nawet między kontynentalnymi stanami USA. Według Narodowego Zgromadzenia Stanowych Ciał Ustawodawczych: "Druga wojna domowa toczyła się w Ameryce. Konflikt poderwał do walki przemysłowy Północny Wschód i Środkowy Wschód, które zwróciły się przeciwko słonecznym stanom Południa i Południowego Zachodu".

Wiodące wydawnictwo ekonomiczne mówi o "drugiej wojnie między stanami" i stwierdza, że "nierównomierny wzrost ekonomiczny popycha poszczególne regiony ku ostremu konfliktowi". Tym samym wojowniczym językiem posługują się najeżeni gubernatorzy i oficjałowie z Południa i Zachodu, którzy to, co się dzieje, określają jako "ekonomiczny odpowiednik wojny domowej". Politycy ci, rozścwieczeni energetycznymi propozycjami Białego Domu, zapowiedzieli - według "The New York Times" - "wszystko oprócz oderwania się od Unii, by ocalić ropę naftową i gaz ziemny dla rozwijającej się bazy przemysłowej swego własnego regionu".

Poszerzające się szczeliny dzielą także same stany zachodnie. Jeffery Knight, kierujący kwestiami prawnymi w Towarzystwie Przyjaciół Ziemi, stwierdza: "Stany zachodnie coraz wyraźniej widzą, że są koloniami energetycznymi stanów takich jak Kalifornia".

W okresie braków oleju opałowego w połowie lat siedemdziesiątych wiele pisano o naklejce na zderzaki samochodowe, która pojawiła się w Teksasie, Oklahomie i Luizjanie: "Pozwólmy świniom zamarznąć w ciemnościach". Subtelnie zawołane następstwa secesji znaleźć można także w sformułowaniu, które jako ogłoszenie pomieścił na łamach "The New York Times" stan Luizjana. Było to następujące polecenie dla czytelnika: "Liczyć się z Ameryką bez Luizjany".

Mieszkańcom Środkowego Zachodu doradza się dzisiaj, by zaprzestali "polować na kominy", by zajęli się bardziej zaawansowanymi technologicznie przemysłami i myśleli jak regionaliści, podczas gdy gubernatorzy stanów Północnego Wschodu organizują się, by bronić interesów tego regionu. Nastroje publiczne odbija całonocowe ogłoszenie Koalicji Na Rzecz Ocalenia Nowego Jorku. W ogłoszeniu twierdzi się, że "Nowy Jork Padł Ofiarą Gwałtu" ze strony polityki federalnej i że "Nowojorczycy Potrafią Stawić Opór".

Sumą jakich zjawisk są te wojownicze mowy - nie wspominając już o protestach i aktach przemocy - których tak wiele w świecie? Odpowiedź jest jednoznaczna: potencjalnie wybuchowych stresów wewnętrznych, które spłodzone zostały w łonie państw narodowych przez rewolucję przemysłową.

Niektóre z tych stresów powstały bez wątpienia na skutek kryzysu energetycznego i konieczności zwrotu od bazy energetycznej Drugiej Fali ku bazie energetycznej Fali Trzeciej. W wielu miejscach jesteśmy także świadkami wzrostu gospodarek subnacyjnych lub regionalnych, które są tak wielkie, kompleksowe i wewnętrznie zróżnicowane, jak były - za życia poprzedniego pokolenia - gospodarki narodowe. To stwarza godarczy podkład dla ruchów separatystycznych lub dla dążeń ku autonomii.

Ale owe siły odśrodkowe - niezależnie od tego, czy przybierają formę otwartego secesjonizmu, regionalizmu, dwujęzyczności, władzy lokalnej czy decentralizacji - zdobywają poparcie również dlatego, że rządy państwowe nie są w stanie elastycznie reagować na szybkie "odmasowienie" /*de-masification*/ społeczeństwa.

W miarę jak masowe społeczeństwo ery industrialnej dezintegruje się pod wpływem Trzeciej Fali - grupy regionalne, lokalne etniczne, środowiskowe i religijne stają się coraz mniej zuniformizowane. Warunki i potrzeby ulegają zróżnicowaniu. Również jednostki odkrywają swoją odmierność albo umacniają swoje przekonanie o niej.

W charakterystyczny sposób radzą sobie z tym problemem korporacje przemysłowe, które wprowadzają większe zróżnicowanie swoich taśmowo wytwarzanych produktów i podejmują politykę agresywnej "segmentacji rynku".

W przeciwieństwie do tego dla rządów państw przemiana ich obyczajów politycznych jest czymś bardzo trudnym. Uwięzione w politycznych i biurokratycznych strukturach Drugiej Fali

za niemożliwość uznają one odmienne traktowanie każdego regionu czy miasta, każdej ze współzawodniczących ze sobą mniejszości rasowych, religijnych, środowiskowych, seksualnych czy etnicznych, nie mówiąc już o traktowaniu każdego obywatela jako odrębnej jednostki. W miarę przeksztalcania się warunków, twórcy decyzji na szczeblu państwowym stają się ignorantami co do szybko zmieniających się wymogów lokalnych. A jeśli próbują raz poznać te ściśle lokalne lub specjalne potrzeby, to pochłania ich potop nadmiernie szczegółowych, niestrawnych informacji.

Pierre Trudeau, wciągnięty w zmagania przeciwko kanadyjskiemu secesjonizmowi, ujął to jasno już w roku 1967, gdy przekonywał: "Nie możecie mieć operatywnego, działającego systemu rządów federalnych, jeśli każda jego część - prowincja czy stan - posiada bardzo ważny status specjalny, jeśli posiada odmienny układ stosunków z rządem centralnym, niż pozostałe".

W konsekwencji centralne rządy państwowe w Waszyngtonie, Londynie, Paryżu czy Moskwie w przeważającej mierze kontynuują narzucanie coraz bardziej zróżnicowanym i podzielonym zbiorowościom - zuniformizowanej i zestandaryzowanej polityki, dobrej dla społeczeństwa masowego. Potrzeby lokalne i indywidualne są zapomniane lub ignorowane, co sprawia, że płomienie oburzenia rozpalają się coraz mocniej. Mamy prawo oczekiwać, że w miarę postępów odmasowienia siły separatystyczne czy odśrodkowe ulegną dramatycznej intensyfikacji i zagrożą jedności wielu państw narodowych.

ALVIN TOFFLER

/Z angielskiego przełożył
Chris Merstt/

Jacek Kozłowski

O TOTALITARNYM KŁAMSTWIE I KAPITALISTYCZNYM EGOIZMIE

Kłamstwo w myśleniu totalitarnym - tak można by najkrócej określić temat kolejnej rozmowy George Urbana publikowanej na łamach ENCOUNTERA /maj i czerwiec 1987/. I tym razem osoby rozmówcy Urbana nie trzeba chyba nikomu bliżej przedstawiać - jest nim znany francuski sowietolog, filozof i publicysta polityczny Alain Besançon, autor między innymi kilkakrotnie już wydawanego w polskim tłumaczeniu przez wydawnictwa niezależne *Krótkiego traktatu sowietologicznego*.

W swoich pytaniach Urban często odwołuje się do doświadczenia Rewolucji Węgierskiej z 1956 roku, której jednym z najnośniejszych społecznie haseł było "Radio kłamie". Można by - mówi Urban - opisać Rewolucję Węgierską jako ogólnonarodowy protest przeciw prostytuowaniu znaczenia słów i przeciw destrukcji "higieny duchowej" tego starego europejskiego narodu. Czym więc jest ideologia totalitarna w wydaniu komunistycznym? Czy tylko falsyfikacją realnego świata na użytek dzierżących władzę? Czy może - pyta Urban - innym rodzajem rzeczywistości, którego, mimo siedmiu dekad komunizmu, jeszcze do końca nie rozumiemy? A może jeszcze czymś innym?

Kłamstwo, jako podstawowy element totalitarnej kontroli - przypomina Besançon - ma potężną literaturę. Eugeniusz Zamiatin pisał o nim już we wczesnych latach dwudziestych, zaś Borys Suwarin stwierdził: "ZSRR jest krajem kłamstwa, kłamstwa absolutnego, kłamstwa wszechogarniającego. Stalin i jego poddani ciągle kłamali, w każdym momencie, w każdych okolicznościach; i dzięki kłamstwu nie ma w nich nic rzeczywistego, prócz tego, że kłamia. Gdzie wszędzie kłamie, tam nie ma kłamstwa". Ciliga, Bułhakow, Sołżenicyn, Zinowiew, a przede wszystkim Orwell - wszyscy oni eksponują oficjalne kłamstwo jako serce systemu. Ale - zastanawia się Urban - czy ta pogmatwana sieć kłamstw jaką jest radziecka ideologia jest tworem nowym, czy też miała ona korzenie w rosyjskiej przeszłości? Czy to ogromne fałszerstwo rzeczywistości, jakim według Besançona była zapożyczona z francuskich i niemieckich koncepcji nacjonalizmu ideologia słowianofilstwa, mogło być prekursorem tego, co miało się wydarzyć za przyczyną bolszewików w sto lat później? Besançon sądzi, że choć fikcja jest charakterystyczna zarówno dla słowianofilstwa, jak i dla bolszewizmu, to w pierwszym przypadku mamy do czynienia z pospolitym fałszerstwem i plagiatem, w drugim zaś - ideologii radzieckiej - z jakościowo od-

miennym fenomenem. "kłamstwo w zwykłym znaczeniu - mówi - oznacza świadome odejście od znanej rzeczywistości /.../ W przypadku ideologii mamy do czynienia z procesem odmiennym. Nie rozpatrujemy już dłużej rzeczywistości w porównaniu z nierzeczywistością, prawdy w porównaniu z nieprawdą, lecz jesteśmy świadkami osobliwego rozpadu, czy też dekompozycji rzeczywistości samej w sobie. Mamy do czynienia z dwiema rozbieżnymi rzeczywistościami - rzeczywistością i pseudorzeczywistością; rzeczywistością, którą możemy widzieć, słyszeć i dotknąć oraz z inną, która istnieje wyłącznie w swoich artykulacjach, w języku, w propagandzie...". Socjalizm określa siebie jako "naukowy", przypisuje sobie zdolność przepowiadania i konstruowania przyszłości. Dlatego bolszewicy oczekiwali, że jego teoria może być dokładnie przełożona na rzeczywistość. "Ale socjalizm nie chciał się wydarzyć, pozostał teorią w umysłach bolszewików /.../ Mógł być kontynuowany tylko przez działanie jak gdyby istniał w rzeczywistości. Cała nierzeczywistość radzieckiej ideologii opiera się na potrzebie rządzących udawania, że istnieją rzeczy, których nie ma". Tego samego wymagają oni od swoich poddanych. Wynikiem jest "tyrania słów", jak określił język ideologii Ignazio Silone.

Najlepszą drogą do opisania nierealnego języka ideologii wydaje się przyrównanie go do czarów lub magii. I może się zdarzyć, podobnie jak się to zdarza w baśniach, czy legendach, że czar niespodzianie opada i zaklęty bohater ukazuje się nam w swej prawdziwej postaci. Podobnie zdarza się z ideologią komunistyczną: "Czary przyskają, i hej już! Jesteś wolny, przebudzony do rzeczywistości, jak gdybyś wyszedł z uśpienia lub otrząsnął się z nocnych koszmarów. I to jest właśnie to, czego ludzie doświadczyli na Węgrzech w Październiku 1956 roku, w 1968 w Czechosłowacji i w 1980 w Polsce".

Lecz czym - pyta Urban - skoro ideologia jest tak krucha, wytłumaczyć jej trwałość? "Ideologia - odpowiada Besançon - odwołuje się do niektórych zakorzenionych, manichejskich, czarno-białych predyspozycji w naturze człowieka. Radziecka ideologia pokazuje świat rozszczępiony między dobrem a złem - między cnotami nadchodzącego społeczeństwa bezklasowego a grzechami odchodzącego społeczeństwa kapitalistycznego. Analogiczną dychotomię mieliśmy w nazizmie, gdzie konflikt zachodził między "winą" Żydów, a "cnotą" Aryjczyków". Jednak, jak długo ideologia nie jest u władzy, są tylko ideologiczni teoretycy, tylko ci, którzy chcą akceptować jej nierzeczywistość. Ale gdy komunistyczna ideologia dochodzi do władzy, przekonanie ludzi, że socjalizm jest czymś dobrym, przestaje być ideologom potrzebne; trzeba natomiast przekonać ich, że socjalizm i s t n i e j e. Ludzie "stają się więźniami czarodziejskiego zamku, z którego nie ma ucieczki".

Czy w takim razie możemy wyobrazić sobie sposób, dzięki któremu zwykły człowiek nie pragnący zostać bohaterem lub męczennikiem może uwolnić sam siebie spod wpływu ideologii? Akceptując język ideologii jednostka traci swój autentyczny duchowy świat i swoje poczucie godności własnej, staje się częścią ideologii. Przyjęcie tego języka tylko w celach "oficjalnych" wcześniej czy później musi doprowadzić do przyswojenia go we w s z y s t - k i c h wypowiedziach. Dlatego "emigracja wewnętrzna", nie mówiąc już o niebezpieczeństwach, jakie niesie, jest tak trudna do osiągnięcia i może stać się lekarstwem tylko dla osób wyjątkowych. Również religii nie można traktować jako kontrideologii, choć przekonania religijne niewątpliwie pomagają uchronić się przed wpływem ideologii. Religia jest czymś, co "posiadamy" i w co "wierzymy". Ideologia komunistyczna zaś nie może, lub też

nie powinna wymuszać aktu wiary, gdyż jest rzekomo naukowa i w ten sposób możliwa do dowiedzenia. Wymaga ona nie wiary, lecz akceptacji jako rzeczywistości. Dlatego religia nie może unieważać ideologii, jednak wyposażając człowieka w moralny wymiar, w uczciwość, prawdomówność i lojalność wypływające z jego natury, pomaga nam tej ideologii się przeciwstawić. "Związek z życiem ducha jest jedyną drogą do zbudowania ściany przyzwoitości wokół siebie i do samodzielnego odizolowania się od ideologii" - mówi Besançon.

Jednak - argumentuje Urban - w idealnym państwie Orwella, a nawet w Chinach rewolucji kulturalnej lub też Kambodży Pol-Pota, przeszłość jest zniesiona, zniszczone książki, muzyka, wszystkie składniki tradycji duchowej, kultury. Czy w takim świecie "przyzwoitość" pozbawiona zakorzenienia w religii czy w kulturze może wystarczyć? Ale reżimy typu Kambodży Pol-Pota nie mogą przetrwać, a radzieccy przywódcy nigdy nie zdecydowali się w pełni na wprowadzenie doskonałego społeczeństwa totalitarnego. "Zawsze - mówi Besançon - potrzebowali jakiegoś kontaktu z przeszłością, czy to dlatego, że niezbędni im byli ludzie wykształceni, czy też aby zdobyć legitymację na sprawowanie rządów poprzez skoligacenie siebie z narodową tradycją. A to często stawało się dla nich mięczem obosiecznym".

Religia i związany z nią zmysł przyzwoitości, dostęp do przeszłości, lektury itp. są to z pewnością czynniki pomagające odizolować się jednostce od wpływu ideologii, ale czynniki nie jedyne. W codziennym życiu, gdzie panuje zdrowy rozsądek, musimy wchodzić w umowne zobowiązania, rozmawiać, negocjować, kupować i sprzedawać itp. Ponieważ są to działania trudne do zideologizowania, ich logika jest zdrowa. Normalna moralność, która idzie za tego rodzaju stosunkami, jest schronieniem w zideologizowanym społeczeństwie.

Wiele niebezpieczeństw czyha na ludzi, którzy czują się utalentowani i chcieliby te talenty rozwijać i posługiwać się nimi. Bardzo wiele zależy oczywiście od tego, jakiego rodzaju karierę chce się rozwijać. Człowiek pragnący uchronić swoją integralność - mówi Besançon - nie mógłby wstąpić na drogę takich karier, jak dziennikarska czy kierownicza, o ile nie przygotował się do ponoszenia konsekwencji przez resztę swojego życia. Stąd też zadziwiająca ilość przedstawicieli nauk ścisłych w ruchu dysydenckim w ZSRR, gdyż matematyka czy fizyka znacznie trudniej poddają się ideologizacji. "Bardziej prawdopodobna jest możliwość przetrwania w zawodzie wolnym od wartościowania /.../ Myślenie jest niebezpieczne, ponieważ nigdy nie możesz przewidzieć, dokąd cię zawiezie".

W radzieckim społeczeństwie w użyciu znajdują się cztery odmienne języki - mówi Besançon. Pierwszym jest "drewniany" język ideologii narzucony publicznemu komunikowaniu się. Na drugim końcu spektrum "naturalny" język komunikacji personalnej, język rozmów matki z synem, zakochanych, przyjaciela z przyjacielem, język sprzedawcy i klienta. Między nimi znajdują się dwa pseudojęzyki: "pseudodrewniany" - szeroko używany, jeśli się chce stworzyć wrażenie, że uczestniczy się w udawaniu, lecz bez większego przekonania oraz język "pseudonormalny", którego radzieccy władcy używają w pewnych okolicznościach /np. w dyplomacji/ dla wywołania wrażenia, że są oni "podobni wszystkim innym".

Komuniści dobrze sobie zdają sprawę z zagrożenia, jakie stanowi dla nich język "naturalny". "Gdy żądali od społeczeństwa - mówi Urban - by mówić "Kochamy towarzysza Stalina", dokonywali

transpozycji ideologii na rodzaj naturalnego języka, który zwykły człowiek mógłby pojąć, nawet gdyby nienawidził tego, co ma powiedzieć /.../ Czy reżim może więc skazić, a nawet wyeliminować również język naturalny? Idealnym pomysłem z komunistycznego punktu widzenia byłoby skłonienie ludzi do mówienia /i czucia/ "Kocham materializm dialektyczny" - i wiemy na przykład, że Mao nienawidził "personalizacji socjalizmu" i patrzył na swój kult jako na ustępstwo standardom wstecznego chłopstwa".

Ideologia - jak mówił nam Orwell w 1984 - nie może dotyczyć prywatnego myślenia i prywatnej lojalności jednostek. Takie jest znaczenie miłości między Winstonem a Julią. "Można człowieka zmusić do mówienia czegokolwiek - c z e g o k o l w i e k - ale nie można zmusić do wierzenia w to. Oni nie mogą dostać się do twego wnętrza - mówił Orwell - jeśli czujesz, że bycie człowiekiem jest wartością nawet wtedy, gdy ono nie może dać żadnych rezultatów, wtedy gdy jesteś bity.

Tak więc żądanie reżimu, by zwykły człowiek musiał deklamować frazę "Kocham towarzysza Stalina" lub "Śmierć zdrajcy Trockiemu", jest jego następstwem zwyczajnej ludzkiej naturze, jest, paradoksalnie, przyznaniem się reżimu, że zawodzi, gdy trzeba fałszować naturę człowieka.

W rozmowie z Urbanem Besançon po raz kolejny ukazuje się nam nie tylko jako błyskotliwy i przekonujący interpretator rzeczywistości radzieckiej, ale także jako zdecydowany przeciwnik wszelkich, nie tylko komunistycznej, ideologii, przeciwstawiający ich "niereczywistości" liberalne zasady wolności jednostki i doceniający potrzebę poszanowania jej godności. W swojej stałej kolumnie w L'EXPRESS /4-10.07/ w felietonie *Czy liberalizm jest "izmem"?* odrzuca traktowanie liberalizmu jako ideologii. Liberalizm - pisze - narodził się jako krytyka absolutyzmu. O ile socjalizm ogłasza sam siebie racją wcieloną, o tyle współczesny neoliberalizm rozwinął się jako krytyczny test roszczeń socjalizmu. Nie chce on tworzyć ostatecznej wizji ludzkości, jej historii i przeznaczenia, lecz kontestuje prawomocność wizji socjalistycznej. Uważa, że nierozsądne jest niszczenie porządku społecznego w imię doktryny, której podstawy są kruche a argumenty słabe, tym bardziej, gdy jest możliwym ulepszyć go. "Nie zrobi się omlotu bez zbitcia jajek" - oto argument socjalistów. Ale ponieważ jajkami są ludzie i wcale nie jest pewne, że omlot się uda, liberałowie sądzą, że trzeba się podwójnie zastanowić zanim się te jajka zbije. Jean Daniel powiedział kiedyś, że woli się mylić z Sartrem, niż mieć rację z Raymondem Aronem. Liberałowie wątpią, czy kiedykolwiek będzie miał sposobność się omylić.

Racjonalizm liberalny jest sceptyczny i wyraźnie dostrzega granice rozumu organizującego. Poza rozumem istnieje jeszcze piękno i dobro - stan ducha liberalnego, dyspozycja filozoficzna i etyczna, której najwyższe postulaty nie nadają się na hasła transparentów. Liberalizm nie jest dogmatem, ale łatwo może się nim stać. Nawet krytykując socjalizm może narzucać się jako recepta uniwersalna. Usunie wtedy politykę i będzie rościł sobie prawo do powierzenia mechanizmom bezosobowym, "niewidzialnej ręce", troski o rozwiązanie wszystkich problemów.

Liberalizm ufa jednostce, jej zdolności do szukania dobra, wiedząc, że nie jest ono jednakowe dla wszystkich i że nie można za nikogo o nim decydować. Pokłada więc zaufanie w tworach tych jednostek powstałych w długim procesie ewolucji, drogą stopniowego doskonalenia: w ekonomii, rynku, polityce i jej

instytucjach. Tak więc liberalizm jest rzeczą doświadczenia. Reaganizm nie istniałby jako fenomen społeczny, gdyby w ciągu ostatnich sześciu lat nie stworzono w Stanach Zjednoczonych dziesiątków milionów nowych miejsc pracy. I mało istotne jest, czy obywatele amerykańscy wiążą to z "izmem" liberalnym.

Społeczeństwa zachodnie są niemal rutynowo potępiane, zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz, z powodu grzechu egoizmu - grzechu, którym, jak się to mówi, są dotknięte nie tylko incydentalnie czy indywidualnie, lecz do samej głębi i przez samą naturę ich systemu społecznego wspierającego się przecież na indywidualistycznym liberalizmie niezdołnym do myślenia w kategoriach wspólnego dobra. Pogląd ten próbuje poddać rewizji Andre Ryerson w artykule *Kapitalizm i egoizm* zamieszczonym na łamach amerykańskiego miesiecznika COMMENTARY /XII 1986/. Przytacza on kilka myśli z poradnika Narodowego Stowarzyszenia Edukacji, jednej z najbardziej wpływowych grup nacisku kształtujących programy szkół publicznych w USA związanej z Partią Demokratyczną, myśli, których obecność nie zdziwiłaby zapewne nawet w "Trybunie Ludu": "Opierając się na filozofii skąpstwa, duch kapitalizmu wyrażała ideę, że indywidualnym obowiązkiem było powiększanie własnego kapitału", albo: "W kapitalizmie, gdy A zarabia, B traci", czy też: "Wiara Kalwina zmieniła moralne wzorce i przekształciła słabość w ozdobę ducha, kanonizując występki, jako gospodarcze cnoty". Na wstępie Andre Reyerson analizuje dwie, niezadowolające jego zdaniem, odpowiedzi na zarzuty wobec kapitalizmu.

Pierwsza z nich to odpowiedź Ayn Rand i jej libertariańskich stronników. Kategorycznie stwierdzają oni, że marksiści mają rację - tak, kapitalizm jest systemem opierającym się na egoizmie. Błąd marksistów polega na czym innym: to nie kapitalizm, lecz państwo kolektywistyczne /zarówno demokratyczne, jak i totalitarne/ zubaża i odczłowiecza. Kapitalistyczny egoizm jest nie tylko racjonalny - więcej, jest heroiczny, a nawet pobożny. Zdaniem Rand "to nie egoizm odpowiedzialny jest za obecny upadek grożący destrukcją cywilizowanego świata, lecz jego przeciwieństwo - kult altruizmu i poświęcenia się, który jest podstawą idei kolektywistycznych". Altruizm jest ethosem godnym niewolników, "jest nie do pogodzenia z wolnością, kapitalizmem i prawami indywidualnymi. Nie można połączyć dążenia do szczęścia z moralnym statusem pełnego poświęcenia zwierzęcia". Nie trzeba wcale być socjalistą - pisze Ryerson - by zauważyć absurdalność tej propozycji, która prowadzi do dziwacznej odmiany anarchizmu. W bezpieczeństwowym i pozbawionym podatków czysto racjonalnym rajku egoistyczne jednostki podporządkują wszystko - od budowy dróg po karanie przestępców - wyłącznie prywatnym kontraktom.

Nietrudno wykażać, że na przykład wielkie nieszczęście, jakim jest dla Rand unikanie przez przedsiębiorców konkurencji i tworzenie stowarzyszeń podobnych do cechów, jest właśnie czynnikiem wysoce racjonalnego egoizmu. Prywatny egoizm według Reyersona, jakkolwiek "racjonalna" byłaby jego forma, jest moralnie niebezpiecznym credo. "Etyka czystego egoizmu potrzebuje zdyscyplinowania i wcale nie musi odwoływać się do Führerów i ajatollahów, by pobudzić całe narody do aktów szaleństwa, masowego okrucieństwa czy samobójstwa".

Niejako na drugim biegunie można umieścić argumentację George Gildera, który rozwija moralne argumenty na rzecz kapitalizmu opierając się całkowicie na etyce altruizmu. Przedsię-

biorca inwestując swój własny kapitał i energię, nie ma żadnej gwarancji, że ich nie straci. Jest jak ktoś ofiarowujący dar, który może być, lub nie, odwzajemniony przez obdarowanego. Po- przez prezenty w pierwotnym kapitalizmie człowiek stworzył i rozwinął zobowiązania. Zobowiązania te prowadziły do odwzajem- niania darów i następnych zobowiązań, rozwijając strukturę wy- miany i produkcji gospodarczej. Te rozszerzające się zobowiąza- nia mogły być z czasem rozciągnięte na wynagrodzenia pieniężne. "W kapitalizmie - pisze Gilder - racjonalne transakcje przepro- wadzane są w świecie rządzonym przez Opatrzność i moralność /.../ wynikając z poczucia altruizmu i zrozumienia potrzeb innych". Jest to piękna wizja - komentuje Reyerson - lecz "fakt, że przed- siębiorca nie ma gwarancji zwrotu ulokowanych przez siebie pie- niędzy, nie czyni go ani trochę bardziej filantropem niż jest nim gracz wrzucający srebrne dolary do otworu automatu w Las Vegas. Choć obaj przez swą inwestycję dostarczają pracy innym /nawet jeśli sami bankrutują/, te cele nie należą do ich inten- cji /.../ I choć słusznie darzymy szacunkiem kreatywną funkcję przedsiębiorcy, funkcję, której gracz nie pełni, nie jest to sa- mo przez się wystarczające, by zasłużyć mógł na imię dawcy, al- truisty, czy też publicznego dobroczyńcy".

Już Adam Smith mówił, że jednostka naturalnie zmierza do ta- kiego użycia swych talentów i zasobów, by zapewnić sobie maksy- malny zysk. By to osiągnąć musi oferować do sprzedania rzecz odpowiadającą potrzebom innych. Jednostka w ten sposób przyczy- nia się do tworzenia ogólnego dobrobytu, choć to szersze dobro nie leży w jej pierwotnych intencjach. "Altruizm - mówi Rey- erson - należy do odmiennego porządku ludzkiej aktywności: reli- gijnego, obywatelskiego i politycznego. Pytanie o altruizm w gospodarce podobne jest do pytania o fantazję w diagnozie le- karskiej: ona po prostu nie należy do niej".

Błąd Gildera, podobny do błędu libertarianów /i marksistów/ polega na zbyt wielkich oczekiwaniach wobec gospodarki. Michael Novak w *Duchu demokratycznego kapitalizmu* wyróżnia trzy sfery władzy w społeczeństwach zachodnich: gospodarczą, polityczną i moralno- kulturalną. Rzadkie są jednostki, których władza rozciąga się znacząco poza jeden z tych trzech systemów i w żadnym nie może ona dzierżyć władzy w pojedynkę. System ekonomiczny według Novaka "osadzony jest w pluralistycznej strukturze, w której jest kontrolowany przez systemy polityczny i moralno-kulturalny". I niezauważanie tego właśnie - pisze Reyerson - zarówno przez libertarianów na prawicy, jak i marksistów na lewicy, prowadzi musi do fetyszowania gospodarki i do powstania fałszywego ob- razu społeczeństwa zachodniego. "Tam, gdzie nasze samookreśle- nie jako społeczeństwa ustępuje miejsca prostackiemu terminowi 'kapitalista' /.../ trójdzielny model proponowany przez Mi- chaela Novaka w nieoceniony sposób podtrzymuje pogląd, że przedsiębiorcy są zwykłymi śmiertelnikami - nie świętymi, ale także nie diabłami. Podobnie jak wszyscy, powinni oni być ogra- niczeni prawem i etyką".

By zrozumieć kapitalizm - mówi Reyerson - "trzeba przekro- czyć łatwą opozycję egoizmu przeciw altruizmowi i odnaleźć trzecie wyjście lub trzecią drogę, opisać ethos kapitalizmu". Egoizm oznacza coś więcej niż tylko dążenie do zapewnienia so- bie maksymalnego zysku. Nikt nie nazwie zwycięzcy w zawodach sportowych egoistą tylko dlatego, że zwyciężając pozabawił suk- cesu swoich konkurentów /chyba, że w tym celu przekroczył prze- pisy gry/. Co jest oczywiste w sporcie, jest również oczywiste

w gospodarce. Oczekujemy, że przedsiębiorca włoży w swój produkt maksymalny wysiłek i nagradzamy to w twardych pieniądzach wybierając do kupienia jeden produkt spośród innych. Nikt poważnie nie traktuje przedsiębiorcy, który w przypływie współczucia dla konkurentów wypuści na rynek dobra gorzej lub droższe. Sprzeda swoje dobra ten, który produkuje najlepiej i najtaniej - pod warunkiem, że, podobnie jak sportowiec, przestrzega reguł gry. Bertrand Russel spytał kiedyś, co sądzi mamy o człowieku, który chce zdobyć miłość kobiety, lecz przyniocyony współczuciem dla rywala, w momencie pojawienia się na scenie męskiego współzawodnika natychmiast ustępuje pola?

W koncepcji autonomicznej jednostki ludzkiej mieści się możliwość swobodnego wyboru sposobu postępowania służącego osiągnięciu korzyści własnej, o ile oczywiście nie wykracza on poza normy postępowania określone przez prawo i moralność. Obowiązki lub zobowiązania zaciągnięte względem innych muszą być następstwem indywidualnego wyboru. I tak zwykle postępujemy w pracy, biznesie, polityce, w szkole i podczas zabawy, a nawet w miłości. Nazywanie takiego zachowania egoizmem jest poważnym spaceniem rzeczywistości. Dążenie do osiągnięcia korzyści własnych nie tylko nie jest tym samym, co egoizm, jest nawet, jak twierdzili Arystoteles i Hume, *wartością pozytywną*. "Rozważa, powściągliwość, oszczędność, pracowitość, wytrwałość, przedsiębiorczość, sprawność są wystawiane równie wysoko, jak wspaniałomyślność czy humanitaryzm - pisał Hume w *Traktacie o naturze ludzkiej*. Społeczeństwo słusznie krytykuje tych, którzy nie dbają odpowiednio o siebie określeniami takimi, jak: leniwy, nieudolny, rozrzutny, niezapobiegliwy. Osoby, które zaniedbują własne dobro, stają się w końcu ciężarem dla innych. Człowiek pragnący pomóc innym powinien najpierw zatroszczyć się o siebie. "Przeto człowiek hojny, podobnie jak inni ludzie cnotliwi, zanim przez wzgląd na szlachetność i prawość zechce innego obdarować, też nie może zaniedbać swojego własnego posiadania, jako że dzięki niemu pragnie pomóc innym" - mówił Arystoteles, a podobne opinie wygłaszali również Luter i Hume. Także Biblia obfituje, obok napomnień, by występować w obronie biednych i wspomagać ich, gdy są w potrzebie, w nakazy ciężkiej i uczciwej pracy dla osiągnięcia dobrego życia. "Ponieważ zaspokojenie własnych potrzeb - pisze Reyerson - jest warunkiem koniecznym, aby móc wspomagać innych, równie ważne jest bycie prawdziwie dobrym dla siebie, jak i dla innych".

Paradoksalne jest to - z żalem stwierdza Reyerson - że własna elita sfery moralno-kulturalnej wykazuje najmniej zrozumienia dla wolnej przedsiębiorczości, która przecież przez sprzyjanie duchowi wynalazczości i inicjatywy leży u źródła dobrobytu, który jest fundamentem swobodnego rozwoju właśnie sfery moralno-kulturalnej. Zamiast popierać ten filar społeczeństwa, jakim jest wolny rynek, "zachodni moralisci pracują niezmordowanie dla zdyskredytowania go. Żądają ducha altruizmu tam, gdzie nie należy, a nie doceniają go tam, gdzie jest". Człowiek z racji swej omyślności, zawsze, tak jak i dzisiaj, będzie popełniał czyny zasługujące na krytykę, a jego intencjom będziemy mogli zarzucić moralne braki. Jednak pogląd, że całe jego postępowanie wynika albo tylko z egoizmu, albo z altruizmu pomija największą przestrzeń zachowań przyzwoitych, samowystarczalnych ludzi. Postawą ich dobrowolnej współpracy jest niezależność - równie ważna kategoria moralna jak egoizm i altruizm. "Zachodni moralisci - mówi Reyerson - nader rzadko zastanawiają się nad pytaniem, czy my sami dokładamy wystarczających starań

by pomóc narodom słabszym w obronie przed despotyzmem ZSRR i jego pełnomocników. Pomoc sprawie wolności na świecie jest jednym z tych długofalowych celów, w centrum którego - mógłby powiedzieć Tocqueville - interes własny i altruizm zbiegają się".

Nad perspektywami konserwatyzmu w Stanach Zjednoczonych zastanawia się George H. Nash w artykule zatytułowanym *Dokończenie rewolucji*, zamieszczonym na łamach POLICY REVIEW. Oczywiście słowo "rewolucja" w tytule użyte zostało w znaczeniu przenośnym; Nash odwołuje się tutaj do znanych słów Giuseppe Mazziniego: "Rewolucja jest przejściem idei od teorii do praktyki. Cokolwiek ludzie mówią, warunki materialne nigdy nie były i nigdy nie będą przyczyną rewolucji". A w Stanach Zjednoczonych - zdaniem Nasha - począwszy od 1981 roku jesteśmy świadkami przejścia idei z teorii do praktyki. Tą ideą jest konserwatyzm rozumiany przez Amerykanów w nieco innym od europejskiego sensie, bliższym naszemu pojęciu "liberalizm". Amerykańscy konserwatyści po II wojnie światowej uznali, podobnie jak Mazzini, że to idee, a nie interesy materialne, rządzą światem i jego losami. Aby zrozumieć więc "rewolucję reaganowską" przekładającą idee konserwatywne na praktykę politycznego działania, trzeba rozważyć współczesny amerykański konserwatyzm jako fenomen intelektualny - pisze Nash.

W obecnej konserwatywnej koalicji w Stanach Zjednoczonych Nash dostrzega pięć oddzielnych składników o odmiennych tradycjach i rodowodach ideowych.

Pierwszym jest ugrupowanie składające się z libertarianów i klasycznych liberałów. U jego źródeł leży wzrost już w latach czterdziestych poczucia zagrożenia, jakie stanowiło stale rozszerzające się państwo dla wolności indywidualnej, wolnorynkowej gospodarki i jednostkowej inicjatywy. Reprezentanci tego nurtu, przekonani, że Ameryka szybko zmierza w kierunku państwowego planowania i w konsekwencji socjalizmu /co Friedrich Hayek w tytule jednej ze swych najgłośniejszych książek nazwał "drogą do poddaństwa"/ przede wszystkim kładli nacisk na obronę gospodarki wolnorynkowej. Hayek, Ludwig von Mises i Henry Hazlitt, a później Milton Friedman i ekonomiści szkoły chicagowskiej oraz już w ostatnich latach George Gilder i ekonomiści "strony podaży", a także wielu innych - wszyscy oni wywarli przemożny wpływ na amerykańską prawicę. Takie elementy polityki administracji Reagana, jak obniżenie podatków, deregulacja czy zaczęty do rozwijania prywatnego sektora gospodarki, są w prostej linii produktami tego bogatego intelektualnego dziedzictwa.

Niezależnie i w tym samym czasie pojawił się drugi składnik dzisiejszej koalicji konserwatywnej: tradycjonalizm. Wstrząśnięci totalitaryzmem, groźbą wojny totalnej i rozwojem świeckiego, pozbawionego korzeni społeczeństwa tradycjoniści tacy jak Richard Weaver, Peter Viereck, Robert Nisbet czy Russel Kirk, zalecali powrót do tradycji religijnych i wartości etycznych oraz odrzucali relatywizm moralny, który według nich korodował zachodnie wartości i powodował powstanie próżni wypełnianej przez demoniczne ideologie i pseudo-religie. Bardziej niż klasyczni liberałowie zorientowani na Europę nowi konserwatyści dążyli do ożywienia tradycji chrześcijańskiej, klasycznej filozofii politycznej, prawa naturalnego i instytucji pośredniczących między obywatelem a państwem.

Trzeci nurt - wojujący antykomunizm - kształtowali dawni komuniści i trockiści lat trzydziestych wzmocnieni licznymi

uczonymi emigrującymi po wojnie z krajów komunistycznych. Ludzie ci wnieśli do powojennej prawicy głębokie przekonanie, że Zachód musi zaangażować się w tytaniczną walkę z nieugiętym przeciwnikiem - komunizmem - który dąży ni mniej, ni więcej, tylko do zawiadnięcia światem.

Każdy z tych trzech nurtów podzielał głęboką antypatię do dwudziestowiecznego amerykańskiego liberalizmu. Dla libertariańców był on ideologią rozrastającego się biurokratycznego państwa dobrobytu, grożąca przekształceniem się w totalitaryzm; dla tradycjonalistów był filozofią rozpadu, niszcząca fundamenty tradycyjnego społeczeństwa, kreującą rozległą duchową próżnię wewnętrzną, którą chciał zapełnić totalitaryzm; dla antykomunistów wreszcie był on ze swojej natury - racjonalistycznej, świeckiej i quasisocjalistycznej - niezdolny do stawienia zdecydowanego oporu wobec komunistycznego zagrożenia. Liberalizm był - wedle słów Jamesa Burnhama - środkiem pogodzenia się Zachodu z własnym rozkładem, ideologią zachodniego samobójstwa.

W połowie lat sześćdziesiątych na intelektualno-politycznej scenie pojawił się czwarty obecnie składnik konserwatywnej koalicji: neokonserwatyzm. "Neokonserwatyści - powiedział Irving Kristol - to liberałowie zgwałceni przez rzeczywistość". Częściowo neokonserwatyzm można zinterpretować jako uznanie dobrych intencji jedynie, lecz nie gwarancji właściwej polityki rządu; obecne konsekwencje aktywizmu społecznego liberałów z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych okazują się być niszczycielskimi. Neokonserwatyzm - pisze Nash - jest również reakcją umiarkowanych liberałów na polaryzujące wrzenie lat sześćdziesiątych, w szczególności zaś na powstanie Nowej Lewicy z jej tendencją do obwiniania Stanów Zjednoczonych jako pierwszych za światowe napięcia, i jej wrogością do amerykańskiej obecności militarnej za granicą.

Te cztery, różne i nie zawsze spójne nurty stanowią intelektualny zrąb rewolucji reaganowskiej. Obrazu dopełnia piąty składnik koalicji: szeroki, w jakimś sensie populistyczny ruch Nowej Prawicy. "Choć aktywiści Nowej Prawicy - pisze Nash - zazwyczaj podzielały w odniesieniu do polityki zagranicznej i perspektyw gospodarczych oceny innych konserwatystów, ich podstawowe zainteresowania leżą w rozwiązaniach społecznych i moralnych takich kwestii, jak: usuwanie ciąży, pornografia, modlitwa w szkołach publicznych, równouprawnienie płci, busing szkolny, nadużywanie narkotyków, przestępczość. Przekonani, że amerykańskie społeczeństwo jest w stanie moralnego upadku i świecki humanizm - czyli współczesny liberalizm - jest tego upadku przyczyną, populiści Nowej Prawicy dążą do wykorzystania siły państwa dla ochrony swoich rodzin, otoczenia i tradycyjnych wartości moralnych".

Sukces Ronalda Reagana wywodzi się stąd, że ousabia on wszystkie pięć nurtów. Właśnie w kontekście połączenia się tych pięciu odmiennych elementów w jedną polityczną całość, należy rozpatrywać perspektywy konserwatyzmu w Stanach Zjednoczonych oraz jego współczesną próbę realizacji w praktyce politycznego działania, jaką jest "rewolucja reaganowska" - pisze Nash.

Jakie więc trendy w i wokół współczesnego amerykańskiego konserwatyzmu uważa Nash za najistotniejsze dla jego przyszłości? Najbardziej zasługującym według niego na uwagę rysem intelektualnej aktywności konserwatystów w ciągu ostatnich pięciu lat jest lawinowy wręcz wzrost wszelkiego rodzaju publikacji konser-

watynnych: książek, esejów, artykułów, stałych kolumn w czasopiśmie itp. Ta kaskada konserwatywnej literatury jest blisko związana z drugim ważnym współczesnym trendem: szybkim rozwojem sieci konserwatywnych ośrodków, fundacji i centrów badawczych. Począwszy od połowy lat siedemdziesiątych prawica amerykańska zrodziła także szereg firm prawniczych zajmujących się sprawami publicznymi oraz liczne nowe czasopisma konserwatywne, często na wysokim poziomie intelektualnym.

"Nie tak dawno jeszcze - pisze Nash - byli konserwatywni intelektualiści godną litości, rozproszoną grupką, pariasami akademickiego świata". Skala obecnego fenomenu konserwatyzmu pozwala oczekiwać, że wnieśli on również znaczący udział do przyszłych publicznych dyskusji. Konserwatyzm nie jest tylko okresowym spazmem, jego wpływ na amerykańskie społeczeństwo nie zniknie wraz z odejściem Reagana, o czym może choćby świadczyć dokonanie reorientacji tak powoli zmieniającej swe poglądy instytucji amerykańskiej, jaką jest sądownictwo.

Wraz z intelektualną dojrzałością konserwatyzm amerykański staje się mniej teoretyczny i introspektywny, a bardziej zainteresowany w konkretnej realizacji polityki publicznej. "Skoro sieć instytucji konserwatywnych rozwija się i łączy, skoro trzecia już 'generacja' młodych aktywistów odnajduje swoje miejsce na terenie waszyngtońskim, jesteśmy świadkami powstania ledwie możliwej do pomyślenia dziesięć lat temu konserwatywnej klasy rządzącej. Jest to jeszcze jedna oznaka, że amerykańska prawica może tu przetrwać".

Innym bardzo istotnym rysem jest przymierze między konserwatywnymi intelektualistami a instytucjami tworzonymi przez polityków podzielaających ich ideową orientację. Dzisiejsza Partia Republikańska wytrwale zjednuje sobie teoretyków i filozofów, a wielu jej kandydatów w wyborach w 1988 roku publikowało artykuły w pismach konserwatywnych.

Po połowie lat osiemdziesiątych trendy te dochodzą do punktu kulminacyjnego, a jednak - pisze Nash - wśród niektórych konserwatystów wyraźnie dostrzega się pewien niepokój. "Świętość status quo została podkopana, ale czy mamy jego wyobrażenie po zmianie?" Czy utrzymujące się stale wewnątrz samego ruchu pewne taktyczne, a nawet filozoficzne kontrowersje, nie zagrażą z czasem rozpadem koalicji? Istnieje wreszcie najważniejsze zagrożenie: że konserwatyzm lat osiemdziesiątych zredukuje się do polityki, utraci swą etyczną wizję i odstąpi od swej najważniejszej misji odnowy kultury". Idee konserwatywne nie są przecież jedynymi w amerykańskim obiegu. W obecnym pokoleniu znaczące grupy Amerykanów przesunęły się nie na prawo, lecz na lewo, właśnie gdy konserwatyzm osiągnął rozpęd. Właścucha w dziedzinie kultury kształtującej styl życia popularne postawy przesunęły się wyraźnie w stronę przyzwolenia i współczesne oznaki odwrotu od tego trendu wydają się marginalne. W wielu jeszcze częściach Ameryki, szczególnie wśród twórców kultury, w instytucjach kształtujących wartości w społeczeństwie - w mass-mediach, głównych kościołach, w popularnych czasopiśmie, organach sztuki i rozrywki - głos konserwatyzmu pozostaje słaby.

Dwa wnioski wyciąga Nash na zakończenie swoich rozważań. Pierwszy, że choć ruch konserwatywny jest ruchem przede wszystkim intelektualnym, nie jest to intelektualizm zamknięty w klasztorze akademizmu. Jego celem - parafrazuje Nash słowa Marksa - jest nie tylko zrozumienie świata, lecz jego zmiana.

Po drugie, konserwatyzm musi wciąż od nowa starać się odpowiedzieć na szereg pytań. "Co jest słuszne i wspaniałe w cywilizacji Zachodu? Dlaczego ta cywilizacja jest warta obrony? Dlaczego porządek wolności przewyższa tyranie? Odpowiedź na te pytania może być dla niektórych oczywista, ale dla daleko większej ilości ludzi - w tym wielu Amerykanów - tak nie jest. Powodzenie obrony naszej cywilizacji nie jest wyłącznie sprawą polityki. Polityka jest tylko sztuką osiągnięcia tego co możliwe. Zależy ono od innych konserwatystów /intelektualistów, duchownych i innych formujących opinie/ dążących do poszerzenia sfery możliwości politycznych i wysubtelnienia publicznych sympatii, które mogłyby uczynić konserwatywną umiejętność kierowania państwem bliższą sukcesu".

JACEK KOZŁOWSKI

Wraz z intelektualną dojrzałością konserwatywny amerykański staje się mniej teoretyczny i introspektywny, a bardziej taktyczny w kontekście realizacji polityki publicznej. Skoro nie ma idealnych konserwatywnych rozwiązań, to należy szukać ich w rzeczywistości, w tym w tym, co jest możliwe. Wskazywać na to należy nie tylko w kontekście polityki, ale także w kontekście kultury. Wskazywać na to należy nie tylko w kontekście polityki, ale także w kontekście kultury. Wskazywać na to należy nie tylko w kontekście polityki, ale także w kontekście kultury.

Innym bardzo istotnym pytaniem jest pytanie o rolę konserwatywnego intelektualisty w społeczeństwie. Wskazywać na to należy nie tylko w kontekście polityki, ale także w kontekście kultury. Wskazywać na to należy nie tylko w kontekście polityki, ale także w kontekście kultury.

Po powrocie do podstawowych trendów teoretycznych do punktu kulminacyjnego, a jednak - pisze Nash - "wśród intelektualnych konserwatystów wykształcił się pewien niepokój". "Wskazywać na to należy nie tylko w kontekście polityki, ale także w kontekście kultury. Wskazywać na to należy nie tylko w kontekście polityki, ale także w kontekście kultury. Wskazywać na to należy nie tylko w kontekście polityki, ale także w kontekście kultury."

Dwa wnioski wywodzi Nash na zakończenie swoich rozważań. Pierwszy, że choć konserwatywny jest ruchem przede wszystkim intelektualnym, nie jest to intelektualizm w sensie klasycznym. Drugi, że konserwatywny ruch jest przede wszystkim ruchem politycznym, a nie intelektualnym.

Stanisław Iranek

CZY POLACY SA GŁUPI, BRUDNI I LENIWI?

Opinia pana Władzia zaskoczyła mnie i dotknęła. Przed naszymi oczami roztaczała się właśnie wspaniała panorama uniwersyteckiego Oxfordu. Zabułgotałem jak indor i poczułem, że nie wiem, co odpowiedzieć. Pan Władzio miał jasny pogląd na sprawę. Był niedawno w Polsce /a wszystko działo się niedługo po zniesieniu stanu wojennego/ i widział wszystko na własne oczy. Narzekania Polaków na reżim są przesadne. Nie chodzi o to, żeby przyznać Jaruzelskiemu rację, ani że komunizm jest dobry, o nie. Wszyscy są przeciwko komunizmowi i nonsensom gospodarki upaństwowionej, przeciwko dominacji Związku Radzieckiego w Polsce, przeciwko brakowi demokracji i wolności słowa. Ale to przesada, żeby za wszystko winić Jaruzelskiego i komunistów. "Byłem i widziałem - rzekł pan Władzio - wszędzie brudno, nikomu się nie chce robić, to wszystko jest skutkiem wad narodowych. Wystarczyłoby trochę więcej rozsądku, żeby pomyśleć na co dzień, trochę więcej obowiązkowości, pracowitości i nawet w komunizmie inaczej wyglądałaby ta Polska. Po prostu, powiem Panu, Polacy są głupi, brudni i leniwi."

Przykłady mój rozmówca dobrał starannie. "Czy na przykład - wywodził złośliwie - Jaruzelski winien jest temu, że w żadnym prywatnym sklepie w Poznaniu nie było porządnie umytych okien? Albo co ma komunizm do tego, że nikomu nie chce się pozamiatać chodnika na ulicy? Czy tak trudno wyjść przed dom i przynajmniej kawałek chodnika zamieść? Widział pan, że tu wszyscy tak robią. Nikt się nie ogląda na miejskie sprzątanie. Dlaczego w Polsce nikt tak nie postępuje? Albo jak w sklepach i w ogóle wszędzie ludzie się do siebie odnoszą? Czy to Jaruzelski każe sklepowej wrzeszczeć na ludzi i sprzedawać byle jak, niestarannie i w brudzie? Wszyscy są niegrzeczni wobec siebie, zwłaszcza urzędnicy i sprzedawcy wobec klientów. Klienci zresztą są nielepsi" - zakończył pan Władek.

Znalazłem się w trudnej sytuacji. Szczególnie wtedy, w Anglii, widząc przedsiębiorczość, pracowitość i umiejętność współpracy ludzi ze sobą. Życie w Anglii sprawia wrażenie, że wszystko działa jak w zegarku, chociaż nigdzie nie widać zegarmistrza. Wszyscy postępują tak, jakby się umówili

co i jak mają robić, aby było to dla wszystkich najkorzystniejsze. Nie widać nikogo, kto by musiał "kierować całością" i zmuszać opornych.

Socjologowie trudno jednak przyjąć takie proste wyjaśnienie. Takie wyjaśnienia tak naprawdę nic nie wyjaśniają. I nie pozwalają nam zrozumieć prawdziwych przyczyn ludzkich zachowań i postaw. Lecz pogląd, który wygłosił w Oxfordzie pan Władek, wcale nie jest taki odosobniony i rzadki. Wraz z "liberalizacją" sytuacji politycznej coraz więcej ludzi z zewnątrz, zarówno gości zagranicznych, jak i Polaków żyjących na emigracji, może zacząć spoglądać z niechęcią nie tylko na komunistów i niedemokratyczne państwo, ale również i na tzw. społeczeństwo. Czy więc można obronić pogląd, że za brud, lenistwo i głupotę ludzi na co dzień jednak jakoś jest winien "system"?

Osobiście sędzę, że tak właśnie jest. I że zarzuty pana Władka i podobne są niesprawiedliwe. Spójrzmy na to bardziej szczegółowo. Zaczniemy od pytania pierwszego: czy jesteśmy leniwi?

Pan Władek dobrze podejrział to, że się nikomu nic nie chce robić. Zwłaszcza - nie ceni się pracy. Nie chce się ludziom wykonać nawet tego, co - wydawałoby się - należy do koniecznych obowiązków. Nawet więcej: nie chce się zrobić tego, bez czego nie można się spodziewać zysków i zadowolenia z pracy. Jak to jest, że właścicielom sklepów nie chce się umyć okien?

Znaieźliśmy się obecnie w Polsce w tragicznej sytuacji. Sądę, że jeśli nie większość, to znaczna część ludzi straciła wiarę w sens pracy. W wartość uczciwej pracy. Mało kto sądzi, że dobra praca przyniesie dostrzegalne i w miarę trwałe efekty dla nas samych i dla innych ludzi. Tutaj chyba ma rację pan Władek, chociaż inne są tego stanu przyczyny. To nie wady ludzi są "winne". Stan wojenny w pierwszych miesiącach przyniósł jakby poprawę działania instytucji, poczynając od tych podstawowych - od sklepów. Rygor i poczucie zagrożenia z jednej strony, z drugiej - obecne wtedy i nie zniszczone jeszcze - poczucie solidarności ludzi przeciwko wojskowemu rządowi wówczas dobre efekty. Złamanie wielkiego ruchu "Solidarności" oznaczało jednak załamanie się autentycznych, spontanicznych dążeń, aby poddać racjonalnej i społecznej kontroli pracę i jej efekty. Dążeń, aby pokierować gospodarką w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, interesami i potrzebami obywateli. Mimo deklaracji wprowadzenia reformy, na stanowiska masowo wracali wyrzuceni przez "Solidarność" kierownicy i dyrektorzy; ruch samorządowy, chociaż w różnych zakładach prowadzi dotąd ważną i sensowną działalność, stracił swój impet. Został zahamowany wysiłek w kierunku prawdziwej i zgodnej z wolą ludzi przebudowy gospodarki. Reforma została "odgórnie zarządzona".

Ruch "Solidarności" wyrażał między innymi pragnienie ludzi, aby poczuć się w kraju "jak u siebie". Oznaczało to przede wszystkim poczucie, że instytucje społeczne są powołane dla obywateli, że służą ludziom. W państwach tzw. realnego socjalizmu państwo poddaje kontroli wszelkie instytucje, a większość z nich staje się po prostu instytucjami państwowymi. Samo państwo, organizując władzę, przestaje być instytucją społeczeństwa. Państwo przeciwstawia się społeczeństwu, jest organizacją władzy nad społeczeństwem.

czeństwem. To nie ludzie kontrolują państwo - jak to jest w nowożytnych dziejach - ale państwo kontroluje obywateli, przez co przestają być oni obywatelami, a stają się poddanymi. Instytucje, które mają służyć ludziom, zaspokajając ich potrzeby, wyrażać ich aspiracje, podporządkowane są władzy państwowej, ta zaś jest władzą - jak to mówi socjolog Jan Strzelecki - partii-państwa. Nawet wtedy, gdy istnieją określone społeczne zadania instytucji, podporządkowane są one decyzjom partyjno-państwowej centrali. Instytucje mogą wypełniać swoje cele społeczne tylko w taki sposób, na który zgadza się lub który dopuszcza centralna władza. Na szczęście sposób, w jaki działają instytucje, i to zarówno fabryka jak i biuro nie jest zależny tylko od woli centrali i ludzi aparatu partii-państwa. W gruncie rzeczy, nieustannie toczy się walka o wpływy między siłami władzy i siłami społeczeństwa. Ale nawet, gdy ustępują pod naciskiem pracowników lub z obawy buntu, władze partii-państwa mają istotny wpływ na sposób działania instytucji.

Sposób działania instytucji zaś to przecież nic innego, jak nasza praca. Ruch "Solidarność" wyrastał w dużym stopniu z niezgody na marnotrawstwo, głupotę, pychę zarządzających instytucjami; wypływał z niezgody na to, aby zbiorowy i indywidualny wysiłek ludzi szedł na marne i nie przynosił pożytku. Chodziło więc o to, aby każda praca czy to robotnika, czy urzędnika, czy twórcy - przynosiła uchwytne efekty, aby jej owoce służyły ludziom.

Po 13 grudnia 1981 roku ludzie masowo podjęli bierny opór i bojkot nowych zarządzeń i zasad instytucji. Bezsilni wobec przemocy mogli zareagować tylko w jeden sposób: odmówić uczestnictwa w państwowych instytucjach. Niezliczone miejsca ludzkiej pracy mozolnie stawały się w ciągu półtora roku coraz bardziej "własne" dla tych, którzy w nich pracowali. Teraz wszystko stało się na powrót obce. 13 grudnia przyniósł poczucie, że muszę pracować w instytucji, na której działanie nie mam wpływu i muszę pracować, chociaż nie mam żadnego wpływu na efekty mojej pracy. Ledwo uzyskany wpływ na warunki i efekty pracy został teraz prawie całkowicie stracony. Czy można dobrze pracować i cieszyć się pracą, gdy ma się poczucie, że się pracuje "nie u siebie"? A nawet więcej: że się pracuje u zniechęconego wroga? Dobra praca wymaga praktycznego i emocjonalnego związku z instytucją. Wymaga i prowadzi do zaangażowania się w sprawy instytucji. Ale przecież nie można angażować się prawdziwie w sprawy instytucji, która zasadniczo jest "nienasza", której działanie nastawione jest raczej na dominowanie nad nami, a nie na zaspokojenie naszych potrzeb. I która działa według narzuconych reguł, nie takich jakie chciałaby przyjąć większość pracowników. "Odmowa uczestnictwa" stała się spontaniczną odpowiedzią ludzi na utratę wpływu na działanie instytucji.

Konsekwencje tego stanu rzeczy są jednak tragiczne. Odmowa odpowiedzialności za własną pracę i zanik - jak mówią psychologowie - identyfikacji z miejscem pracy, ze swą instytucją uderza teraz w nas samych; uderza w społeczeństwo i w każdego z ludzi. Praca nie cieszy, bo jest rodzajem pańszczyzny; praca nie cieszy, bo nie można radować się jej owocami, nawet wtedy, gdy zdobywa się duże pieniądze, bo nie ma się poczucia, że są to dobrze i uczciwie zarobione pieniądze. Pracować się zaczyna coraz bardziej "byle jak".

"Odmowa uczestnictwa", wycofanie się ludzi ze spraw instytucji i własnej pracy było ważnym gestem moralnym. Rząd generała Jaruzelskiego okazał się całkowicie bezsilny wobec tego oporu. Nie udało się przez cały miniony okres uruchomić władzom partii- państwa żadnego żywszego strumienia energii społecznej. Nikt nie zamierzał i nie zamierza teraz "pomagać". Ale ta właśnie sytuacja ma swoje bardzo negatywne konsekwencje. Odmowa zaangażowania oznacza w praktyce demoralizację, załamanie się wzorców dobrej pracy i wartości pracy jako takiej. Jednakże nie można wierzyć w wartość pracy kiedy nasze indywidualne wysiłki nie przynoszą efektów. Nie można rzetelnie i uczciwie pracować, kiedy wiadomo, że efekty pracy będą zmarnowane lub użyte niezgodnie z potrzebami i pragnieniami ludzi. Wreszcie - jakże można dobrze pracować, gdy przez lata doświadczają się, że indywidualne wysiłki albo nie przynoszą efektów, albo efekty są nieproporcjonalnie małe?

Inną jeszcze reakcją na wprowadzenie stanu wojennego /szczególnie wśród młodzieży, co stwierdzono nawet w socjologicznych ankietach/ była chęć wycofania się z instytucji państwowych i podjęcia pracy "na swoim" lub w zakładach prywatnych. Ostatnie lata przyniosły wielki rozkwit tego, co nazwano po wojnie prywatną inicjatywą. Warsztaty, fabryczki, różne formy usług - byle tylko działać choćby częściowo na własną rękę i na własny rachunek. Prywatna inicjatywa w PRL też nie jest swobodną działalnością. Państwo poddaje drobiazgowej kontroli wszelkie poczynania gospodarcze i można śmiało powiedzieć, że stara się na nich pasożytować. Nie jest łatwo pokonać najpierw administracyjne, a potem finansowe bariery, jakie prywatnej inicjatywie są stawiane. Wielu ludzi jednak próbuje, zwłaszcza wśród młodych.

Lecz i to nie gwarantuje odzyskania przez pracę jej pełnej etycznej wartości. Jeden z ważniejszych powodów jest prosty. Nie można sobie wyobrazić dobrze prosperującej placówki prywatnej bez korupcji, choćby na niewielką skalę. Bez łapówek, prezentów, "załatwiania". Urzędnicy państwowi też przecież muszą z czegoś żyć... Co gorsza /i z czym bardzo trudno walczyć/, standardy złej pracy i brak szacunku do rzetelności i uczciwości w pracy przenoszą się niepostrzeżenie również do instytucji prywatnych. Zwłaszcza że ich posiadacze, którym na ogół powodzi się tylko trochę lepiej niż statystycznemu przeciętnemu Polakowi, zbierają dodatkowe razy. Wyzwoleni spod bezpośredniego państwowego przymusu w miejscu pracy, doznają innych negatywnych bodźców. Na nich oficjalna propaganda, nieustannie od lat czterdziestu, kieruje nienawiść, oczernia, budzi podejrzliwość. Choćby zyski i efekty gospodarcze osiągnięte były rzetelnym własnym wysiłkiem, pomysłowością i trudem, niełatwo się nimi cieszyć, gdy tak wielu ludzi patrzy na to zazdrośnie, podejrzliwie i z niechęcią.

Czy więc można łatwo powiedzieć, że Polacy to po prostu lenie, którym nie chce się pracować? Czy naprawdę w tym rozprężeniu, w bałaganie i złości płynącej z braku zaangażowania w pełnione role, w załamaniu się etyki pracy nie widać złego wpływu systemu?

To pytanie można co prawda odmiennie. I zapytać teraz inaczej: czy własnym wysiłkiem ludzi, siłą ich woli, można nie ulegać tym niekorzystnym okolicznościom, czy można - mimo to - dobrze pracować? Dobrze pracować, to znaczy pracować z wiarą, że warto to robić dla ludzi, choćby system naszej pracy pasożytował i jej prze-

adzał.

Socjologowi trudno odpowiedzieć na takie pytanie. Jest to bowiem pytanie, na które sami musimy codziennie odpowiadać. Na które mamy odpowiedzieć pozytywnie, jeśli nie zapomnimy, że dobrze uczując pomożemy być może wielu albo choćby nielicznym ludziom, że ten wysiłek przyniesie któregoś dnia solidarny użytek nam wszystkim.

CZY POLITYKA JEST RZECZĄ BRUDNĄ, ZŁĄ I NIEMORALNĄ?

Kiedy rok temu, a więc niecałe pięć lat po czasach "Solidarności" po raz pierwszy usłyszałem stanowcze oświadczenie, że polityka jest czymś brudnym, złym i niemoralnym, sądziłem, że to odosobniony pogląd grupki zgębionych młodych ludzi - studentów. Obecnie jednak sądzę, że taki sam lub podobny pogląd na sprawę polityki niebezpiecznie upowszechnia się wśród ludzi w Polsce. O ile łatwo było zrozumieć studentów, którzy tak twierdzili, o tyle podobny pogląd zdumiewa, gdy wypowiadają go starsi. Często usłyszeć go można od ludzi, którzy doświadczyli "Solidarności" i aktywnie uczestniczyli w ruchu związkowym. Mówię: budzi to zdumienie, bo przecież wielki ruch związkowy i reformatorski "Solidarności" wyrażał całkiem nowe rozumienie "polityki". A udziałowi w "polityce" przeciętnego człowieka przyznawał istotne znaczenie dla jego poczucia, że "żyje godnie", że jego życie indywidualne jest udane.

Bezpośrednio po II wojnie zdobywająca władzę w państwie partia komunistyczna starała się narzucić całemu społeczeństwu swoje rozumienie polityki. Robi to do dziś. Politykę traktuje jako grę sił. Ma być ona nieustającą konfrontacją i walką o wpływy, o przewagę, o narzucenie innym swojej woli i swoich koncepcji. Polityka to bezwzględna rozgrywka, w której liczy się siła, przemoc i dążenie do całkowitego podporządkowania sobie przeciwnika, bez względu na to, czy będzie nim jednostka, czy partia, czy wręcz większość społeczeństwa. Tak, jak to się dzieje na polu bitwy, przy zbrojnym starciu. Formowanie więc powojennego państwa polskiego - PRL-u - to zarazem poddawanie ludzi w Polsce szczególnemu treningowi: oduczanie ich polityki i odbieranie im praw politycznych. W ciągu powojennych lat polityka staje się czymś coraz bardziej tajemniczym, groźnym i obłożonym tabu. Polityką nie może się zajmować ot, pierwszy lepszy z ulicy. Polityka to dziedzina dla wtajemniczonych, dla wybrańców. Jest jednocześnie dziedziną niebezpieczną dla tych, którzy do niej przystępują. W późniejszych, już popaździernikowych latach oficjalna propaganda świadomie wykorzystywała doświadczenie stalinizmu, aby ludzi przestraszyć lub przypomnieć im, że sprawy polityki należą do uprzywilejowanych. Obraz polityki jako szczególnej, zasadniczo ważnej dziedziny, do której jednak dostęp mieć mogą tylko wybrani - to obraz, który długo i silnie zaciążył na świadomości społecznej. I który skutecznie pętał myślenie i działanie społeczne na szerszą skalę.

Doświadczenia lat powojennych i potem okresu stalinizmu istotnie mogły wywoływać dreszcz grozy na wspomnienie o "polityce". W doświadczeniu społecznym, w potocznej refleksji, w codziennej interpretacji świata kształtował się sens polityki jako sfery,

która nie jest poddana żadnym, a zwłaszcza moralnym, ograniczeniom. Bez pardonowa rozprawa z żołnierzami AK i przeciwnikami politycznymi po II wojnie, później budzące grozę rozprawy przeciwko własnym ludziom reżimu - doprawdy łatwo było dojść do wniosku, że polityka jest czymś z zasady obrzydliwym, niemoralnym, złym! Lepiej trzymać się od polityki z daleka, jeżeli człowiek chce pozostać w zgodzie z moralnymi wartościami i zasadami, w które wierzy.

W latach siedemdziesiątych pogląd ten również eksploatowany był przez oficjalną propagandę. Polityka wiąże się z władzą i jako taka, z założenia, jest czymś nie-moralnym, albo nawet czymś a-moralnym. Przedstawiciele władz partyjnych prezentowali czasami siebie jako tych, którzy "brudzą" sobie /moralnie/ ręce dla dobra społeczeństwa. Oni podejmują trudy uprawiania polityki, a więc dzięki nim większość społeczeństwa może pozostać nie zbrukana amoralnymi skutkami "polityki".

Z wielkim trudem i bardzo powoli ludzie otrząsali się z tego stereotypu. Właściwie - z całego stosu przewrotnych komunałów, których głównym zadaniem było właśnie odstraszyć jak najwięcej ludzi od polityki.

A przecież polityka w "realnym socjalizmie" podniesiona jest do podstawowej zasady życiowej. Propagandowe obrazy miały odstraszyć ludzi od niezależnego i samodzielnego myślenia o polityce, a przede wszystkim od działania politycznego na własną rękę. Z drugiej strony jednak miały skłonić wszystkich chętnych do działania, by włączyli się do działalności, którą oferował i którą kontrolował system partyjno-państwowy. "Polityka" rozumiana jako niezależne, swobodne i spontaniczne ryślenie i działanie społeczne była czymś karygodnym, niebezpiecznym i godnym moralnego potępienia. Ale zaangażowanie, które polegało na wstąpieniu do PZPR lub innych "gotowych" i "czekających na ludzi" organizacji - oto była prawdziwie "obywatelska" postawa.

Polityczne zaangażowanie we właściwej instytucji i po właściwej stronie, to znaczy po stronie postępowych ideałów socjalizmu było czymś moralnie wzniosłym. I - tak naprawdę - jedynie słusznym. PZPR niejako brał na siebie wszelkie zło strony politycznego zaangażowania. Jednostka w taki sposób włączona w politykę nie była już bezbronna, ani wydana na pastwę moralnych i policyjnych napaści. Wręcz odwrotnie: właściwe i szczerze zaangażowanie polityczne prowadziło do wyrozumiałej postawy władz partyjno-państwowych wobec aspiracji i słabości ludzkich. Co oznaczać zaczęło, za Gierka, po prostu zachętę do uczestniczenia w przywilejach. Tym samym "polityka" w latach siedemdziesiątych stała się naprawdę czymś społecznie brudnym i cokolwiek moralnie cuchnącym. Zaangażowanie polityczne, zwłaszcza umiarkowane i wyważone, prowadziło teraz do wymiernych przywilejów: większych premii, wyższych stanowisk, talonów na samochody itp., itd. Dla obserwatorów z zewnątrz "polityka" znowu więc pojawiła się jako coś niemoralnego.

Ukształtowanie się w 1976 roku demokratycznej opozycji zmieniło sytuację. Do działania przystąpili ludzie, którzy inaczej pojmowali politykę, jej społeczne i duchowe zadania. Dla nich "polityka" była sprawą moralności: niezgody na zło, na przemoc, na niesprawiedliwość, na marnotrawstwo sił indywidualnych i grupowych. Dla nich polityka była również walką, ale nie walką o władzę, o przewagę, o zwycięstwo "swego" i "swoich", lecz walką o lepszy stan świata, o lepsze życie dla ogółu i dla poszczególnych ludzi, o współdziałanie i solidarność.

Większość patrzyła na tę grupkę z uwagą, ale i długi czas z litościwym powątpiewaniem. Większość odczuwała bowiem lęk i wstręt do "polityki", a do demokratycznej opozycji - nieufność. Nieprzyjemna mieszanka uczuciowa, którą wywoływało hasło "polityka". Samo to słowo było niebezpieczne, nieprzyjemne, budziło nieufność.

W roku 1970 robotnicy stoczni Gdańska i Szczecina ociągali się z użyciem słowa "polityka". Bali się go prawie tak samo, jak pałek i pistoletów policyjnych. Postulaty formułowane przez robotników nawet już po dojściu do władzy Gierka z reguły odcinają się od "polityki". Nasze żądania nie są polityczne, mówią autorzy postulatów, chociaż ich sens polityczny, a więc związany z organizacją życia społecznego i stosunkami władzy, musiał być oczywisty dla większości zainteresowanych. Podobnie było w roku 1976. Nawet desperacko strajkujące robotnice zakładów włókienniczych Łodzi nie potrafiły do końca przełamać swojego lęku przed "polityką". Chociaż zdawały sobie sprawę, że żądają sprawiedliwości, odzyskania wpływu na swoje życie, kontroli poczynił władz państwowych i władz gospodarczych. Lecz uciekały na dźwięk słowa "polityka".

Z najwyższym trudem kształtowało się myślenie polityczne wśród szerszych grup społecznych.

Podobnie było jeszcze w roku 1980. Lęk przed "polityką" wyraźnie wpływał na treść wszystkich postulatów, które zgłaszano w czasie strajków gorącego lata 1980. A przecież wtedy wykluwała się powszechnie prawdziwie polityczna świadomość społeczna, świadomość o b y w a t e l s k a . Dlatego też postulaty Stoczni Gdańskiej z sierpnia 1980 były przełomem. Nazywały rzeczy po imieniu. Jeżeli chcemy stać się naprawdę sobą, jeśli chcemy wziąć odpowiedzialność za swój los i los kraju, jeżeli chcemy obronić robotniczą i pracowniczą godność - musimy myśleć jak obywatele. A to znaczy, że musimy myśleć i działać politycznie. Musimy sami wziąć odpowiedzialność za siebie i sprawę kraju.

Robotnicy i "zwykli ludzie" dojrżeli do polityki. Poczuli się o b y w a t e l a m i , uznali, że mają prawo i dostateczne umiejętności, by przystąpić do polityki. Oni - przeciętni, zwykli ludzie, mogą w niej brać udział i mają do tego prawo. Tak oto narodził się nowy sposób pojmowania "polityki", a tym samym - świadomość jej znaczenia dla godnego życia człowieka, przeciętnego człowieka, "szarego człowieka".

Polityka jest bowiem dziedziną aktywności obywatelskiej. Ten, kto chce być obywatelem, a więc kto chce czuć się odpowiedzialnym członkiem wspólnoty, ten, dla którego inni ludzie wokół nie są obojętni i ten, kto widzi związek pomiędzy jego osobistym powodzeniem a powodzeniem całej społeczności, w której żyje - ten nie może wycofać się z polityki. Taki człowiek nie może dłużej uznawać, że polityka to sprawa podejrzana. Albo sprawa tylko dla wybranych, szczególnie że polityka to dziedzina dla uprzywilejowanych. Ludzie różnią się poziomem swej wiedzy i wykształcenia, doświadczeniem życiowym, inteligencją. Nie każdy wszystko potrafi pojąć należycie i nie każdy może wszystko dokładnie rozważyć. Ale podstawowe sprawy własnego życia, swojego powodzenia i powodzenia swojej rodziny, pomyślnego życia wspólnoty, do której się należy - to potrafi i powinien rozważyć każdy człowiek. Każdy ma jakies zdanie na tematy, które dotyczą wspólnych spraw. Być może nie po-

winno się pozwalać decydować każdemu jednakowo, ale każdy powinien mieć prawo wypowiedzieć swoje zdanie. Każdy powinien wysłuchać argumentów innych i każdy ma prawo usłyszeć, dlaczego inni nie zgadzają się z jego poglądem. Polityka jest bowiem przede wszystkim sprawą wspólną d e b a t y . To wielka społeczna dyskusja. Dyskusja i przetarg, kłótnia i szukanie porozumienia. Każdy powinien mieć prawo uczestnictwa w niej. Władza, jakkolwiek władza, jeżeli naprawdę chce brać pod uwagę dobro ludzi i społecznej wspólnoty, nie może nie liczyć się z głosem opinii publicznej. Nie można sprawiedliwie rozstrzygnąć podstawowych spraw życiowych - spraw gospodarki i spraw wzajemnych stosunków - bez udziału zainteresowanej społeczności. Bez wysłuchania zdania tych wszystkich, a przynajmniej większości tych, których decyzje będą dotyczyć. Nie ma takiego ludzkiego rozumu, który mógłby "wiedzieć lepiej", co jest ludziom najbardziej potrzebne i co jest najszlachetniejszą decyzją w danej sytuacji, bez wysłuchania ich własnego zdania. To prawda, że ludzie mogą się mylić. Mogą ulegać różnym namowom, złudzeniom, słabościom, nierozważnym emocjom. Nawet większość może się mylić. Ale debata polityczna i swoboda wypowiedzi pozwala dostrzec i nazwać sprawy najważniejsze. Pozwala uzgodnić podstawowe wartości i hierarchie ważności spraw. W trakcie politycznej debaty okazuje się prawdziwie, co jest dla ludzi ważne, jakie zasady i jakie ideały życia im przyświecają. Dopiero dzięki uczestnictwu w debacie społecznej, debacie politycznej, ludzie mogą osiągnąć w pełni poczucie sensu i niepowtarzalności swego osobistego życia. Na forum publicznym mogą sprawdzić własne stanowisko, własne postawy i własne siły. Mogą zobaczyć jak ich widzą inni. Mogą się przekonać o swych niedostatkach, ale też muszą się zdobyć na wyrozumiałość wobec słabości innych. Tutaj mogą poznać, czym jest wspólnota poglądów i czym są różnice między ludźmi. Nade wszystko na forum polityki muszą się nauczyć wzajemnego szacunku, aby nabrać poczucia swojej osobistej, indywidualnej godności. Dopiero dzięki uczestnictwu w debacie na forum społecznym i we wspólnym działaniu człowiek może poznać w pełni wymiar swojej własnej osobistej wolności i niepowtarzalności swej sytuacji. Okazuje się, że polityka - decyzje, które się podejmuje, sposób myślenia, jaki się uzgadnia, stosunek do innych, jaki się przybiera - zależą przede wszystkim od naszej postawy etycznej, od naszych zasad moralnych. Poprzez publiczną debatę ludzie przekonują się, że działanie wspólnoty społecznej i działanie w jej obrębie nie może się obyć bez głębszych, m o r a l n y c h zasad. Polityka, która jest przeciwieństwem walki, kłótnią, konkurencją, grą argumentów i sił - musi jednak być u swych podstaw dążeniem do etycznego uregulowania życia. Chcąc nie chcąc, jeżeli polityka jest poszukiwaniem najlepszych i najbardziej przez ludzi pożądanym rozwiązań we wspólnym życiu - opierać się musi na ładzie moralnym. Każdy obywatel i każdy polityk musi więc ograniczać swoje działania, swoje apetyty, swoje emocje i swój rozum w imię zasad, które uznaje za cenne i niezmiennie. Polityka nie może być oderwana od swego etycznego korzenia. Bo życie ludzkie, życie każdego człowieka nie może się obyć bez aspektu moralnego, bez moralnych ocen i bez moralnej refleksji.

Nowe pojmowanie polityki w Polsce w 1980 i 1981 roku oznaczało również obowiązek podejmowania spraw, które dotyczą mnie i innych. Oznaczało to więc moralny obowiązek uczestnictwa w

życiu wspólnoty. Uczestniczyć w życiu wspólnoty, to wykazać się zarazem odpowiedzialnością i godną postawą wobec samego siebie, swego losu i innych ludzi. Lecz to właśnie oznacza obowiązek uczestnictwa w polityce.

Tak pojmowana polityka nie była już jakimś "dodatkiem" do indywidualnego życia. Stała się jednym z wymiarów życia każdego dorosłego człowieka. Oczywiście zasady polityki i polityczne myślenie nie jest tożsame z refleksją moralną. Ale to właśnie moralny namysł nad własnym i cudzym życiem prowadzi nas do koniecznego włączenia się w politykę. Niemoralność, siła i przemoc mogą opanować dziedzinę polityczną. Lecz tak stać się może z każdą dziedziną życia ludzkiego. Rodzina, która dla wielu jest wyspą szczęścia i pokoju staje się dla niektórych miejscem walki, konfliktu, niezgody. Polityka, którą pojmują podobnie, jak myślą i działają komuniści, zmienia się w coś niepokojącego i złego. Ale nie płynie to z faktu, że sama polityka, z założenia, jest niemoralna i zła.

To, jaki kształt przybierze życie polityczne i polityczny wymiar w naszym życiu - to znaczy dotyczący wspólnych spraw - zależy w dużym stopniu od naszej własnej postawy. Przede wszystkim zależy od niezgody na to, by "polityka" - a więc podejmowanie decyzji, które dotyczą nas wszystkich - regulowana była przez siłę fizyczną, przez przewagę i przemoc. Aby na powrót poczuć się obywatelami, nie możemy przekonywać się nawzajem, że polityka to sprawa brudna, zła i niemoralna, a każdy, który wchodzi do polityki musi być nieuczciwym szachrajem albo egoistą, który pragnie bezwzględnie zaspokoić swoje interesy.

Związkowe życie "Solidarności" było wielką lekcją dla większości ludzi w Polsce. Była to właśnie lekcja rozumienia polityki jako debaty i społecznej dyskusji, jako konieczności współpracy i szukania kompromisu; polityki, jako wprowadzania w życie naszych zróżnicowanych ideałów moralnych. Ale by je zrealizować, trzeba było być cierpliwym i wyrozumiałym. Była to nauka wzajemnej wyrozumiałości i szacunku dla inności drugich ludzi. Lekcja bogactwa życia, jego - jak to się mówiło - pluralizmu. Dopiero poprzez zgodę na różnorodność i na rozbieżność sądów, ocen, projektów działania utwierdzić możemy naprawdę naszą osobistą godność.

Dlatego, po tej wielkiej lekcji "Solidarności", smutno mi się zrobiło, gdy młodzi studenci ze stanowczością i niechęcią odzegli się od polityki. Bo wyrzekali się po trochu tego, co chciałoby się, aby było trwałą zdobyczą Polaków: poczucia, że ogół społeczeństwa, że zwykli ludzie mogą i powinni być obywatelami we własnym kraju.

STANISŁAW IRANEK

PRZEGLĄD POLITYCZNY 1 - 10

INDEKS ZAWARTOŚCI

- ADAMSKI PAWEŁ, Dzień wielki i te mniejsze, 3.
 Bitwa trwa, 4.
 Nie lękajcie się, 10
- ANDERMAN JANUSZ, Czarnołęka, 2.
 Dzień obłoku i mgły, 2.
- ANKA, Listy do przyjaciół, 1, 2, 3, 4.
- ARON RAYMOND, Historia a wolność, 3.
 Testament, 4.
 Nie pozwalajcie sobie na śmiech, 4.
- A. Z., Między Bugiem a prawdą, 6.
- BARYCZ ANNA, Widać tylko Wschód, 1.
 Refleksje nad liberalizmem, 3.
- BERLIN ISAIAH, Dwa pojęcia wolności, 8.
- BESANÇON ALAIN, Śmierć trupa, 4.
- BIERDIAJEW MIKOŁAJ, Myśli o Rosji, 5.
- BORUSEWICZ BOGDAN, Potrzebna jest wytrwałość, /wywiad/, 9.
- BRANECKI JĘDRZEJ, Hayek - dogmatyk wolnego społeczeństwa, 5.
 Ludwig von Mises - triumf po latach, 6.
 Polski liberał Ferdynand Zweig, 7.
 Ordoliberalizm i niemiecki cud gospodarczy, 8.
 Filozofia publiczna WALTERA LIPPMANNA, 9.
- BRODA JAROSŁAW, wiersze, 4.
- BRÖCK DANUTA, wiersze, 2.
- BRZEZIŃSKI ZBIGNIEW, Tragiczne dylematy sowieckiego mocarstwa, 4.
 Ewolucyjne zmiany są możliwe, /wywiad/, 10.
- BUDREWICZ LESZEK, Wasal, 4.
 wiersze, 4.
- CHAM, Nie czytać, 2.
 Profesor, pryncypia i uczniowie, 3.
- CHARLTON MICHAEL, SDI - czy "wojny gwiazdne" mogą przynieść pokój, 9.
- CHRAMIEC WITOLD, Właściwym uzdrowieniem cenzury byłoby jej

- zniesienie, 2.
 Moskwo, Moskwo, pluskwo miast, 3.
 wiersze, 3.
 Zsależństwo i metoda, 5.
- CIOLKOSZ ADAM, Od Marksa do Chruszczowa, 1.
- CONRAD JOSEPH, Przedmowa do "W oczach Zachodu", 8.
- CUSTINE ASTOLF, de, Wnioski z opisu podróży, 4.
- D. K., Opozycja jako "sumienie państwowe", 5.
- DOBOSZ HENRYKA, Chciałabym zrzucić tę suknię Kassandry, /rozmowa z Agnieszką Holland/, 5.
- DONECKI TADEUSZ, Chwałę Paryż, 7.
 Droga i wybór, 9.
- DRAUSS FRANCISZEK M., Raymond Aron, 3.
- FILAR DARIUSZ, Być liberałem, 10.
- GAJDA MIROSLAW, Lekcja miasta, 7.
 Sprawa Walickiego, 8.
- G. G., Pierwsze miesiące, 8.
- GÓRSKA EWA, Ewolucyjne zmiany są możliwe, /wywiad ze Zbigniewem Brzezińskim/, 10.
- GRASS GÜNTER, Istnieją granice siły..., /wywiad/, 3.
- GRUPA PUBLICYSTÓW POLITYCZNYCH, Trzy wystąpienia, 4.
- GWIAZDA ANDRZEJ, Z więzienia, 3.
- HAYEK FRIEDRICH A., von, O wykorzystywaniu wiedzy w społeczeństwie, 5.
 Konkurencja jako procedura odkrywania, 5.
 Wolność ekonomiczna i rząd reprezentatywny, 5.
 Socjalistyczne korzenie nazizmu, 5.
- HERBST LOTHAR, wiersze, 4.
- HOLLAND AGNIESZKA, Chciałabym zrzucić tę suknię Kassandry, /wywiad/, 5.
- IRANEK STANISŁAW, Czy Polacy są głupi, brudni i leniwi?, 10.
 Czy polityka jest rzeczą brudną, złą i niemoralną?, 10.
- J. M., Pluralizm?, 5.
- JOT., Na marginesie artykułu Charltona, 9.
- KACZYŃSKI JAROSŁAW, Mit "absolutyzmu oświeconego", 8.
- KACZYŃSKI LECH, Polityki znieść się nie da, /wywiad/, 8.
- KAPCZYŃSKI PIOTR, Gospodarka jako wyzwanie programowe dla opozycji, 9.
 Wszyscy mamy prawo do polityki, /rozmowa/, 10.
- K. M., RSA - neoanarchizm w Polsce?, 6.
- K. M. W., Ujednoczenie: zagrożenie i szanse, 5.
- KOŁAKOWSKI LESZEK, Ogólna teoria sowietyzmu, 3.
- KONWICKI TADEUSZ, Wschody i zachody księżycy, /fragmenty/, 1.
- KORWIN ALEK, Pacyfizm, 4.
- KOZŁOWSKI JACEK, Wszyscy mamy prawo do polityki, /rozmowa/, 10.
 O totalitarnym kłamstwie i kapitalistycznym egoizmie, 10.

- KRÓL MARCIN, O tradycji chrześcijańskiej w polskiej myśli politycznej, 5.
- KRZEMIŃSKI IRENEUSZ, Polska i "Solidarność" - sens ludzkiego doświadczenia, 6.
Świat zakorzeniony, 7.
Żyć w Polsce, /rozmowa/, 9.
Religia a ruch społeczny "Solidarność", 10.
- KULICKI JERZY, Zdziechowski i Rosja, 7.
- KWIATKOWSKA WIESŁAWA, Gdynia - czwartek, 17 grudnia 1970, 7.
- LEDERER JIŘI, Trzecia normalizacja, 2.
- LEM., Teoria nowego totalitaryzmu, czyli Leszka Nowaka dialektyka wolności i władzy, 6.
Między totalitarną groźbą a "zacną socjalistyczno-liberalno-konserwatywną kompanią", 8.
- LEWANDOWSKI JANUSZ, Historia gdańskiego ruchu samorządowego, 5.
Gdańskie aktywa /liberałowie i przedsiębiorcy/, 10.
- LINDE STANISŁAW, Wartość wolności czy racje siły, 1.
Oświecenia nie skończyło się w 1983 r., 3.
- MAREK S., wiersz, 3.
- MAŻEŃSKI LECH, Czy PRL jest nadal państwem totalitarnym?, 10.
- MERKEL JACEK, Pytania z przeszłości, /wywiad/, 2.
Jest reforma gospodarcza, czy jej nie ma?, /wywiad/, 7.
- MISES LUDWIG, von, Niemożność rachunku ekonomicznego w socjalizmie, 6.
- M. J., Kultura uspołeczniona, 5.
- M. K., Nowa racjonalność, 5.
- MOSKIT MARCIN, Szturm na bramy, 3.
- M. T., Pamięć, 6.
- NORA PIERRE, Ta podróż jest dramatem, 4.
- NOWAK JAN, Testament Adama Ciołkosza, 1.
- NOWAK LESZEK, O historiozofii, antropologii, utopii i gnozie, 8.
- OBIEDZIŃSKI SAMUEL, Rzeka podniebna i ptaki podziemne, 7.
- P. H., Przełamać blokadę, 5.
- PIPES RICHARD, Cerkiew w służbie państwa, 9.
- PLATONOW ANDRIEJ, Wykop, /fragment/, 6.
- PLAŻYŃSKI MACIEJ, Namiastka sensu, /wywiad/, 10.
- POPPER KARL R., Opinia publiczna a zasady liberalne, 9.
- PROCHOROWICZ MAREK, wiersze, 3, 4.
- REDAKCJA, Grupa Publicystów Politycznych - paradoksy ewolucjonizmu, 5.
- RICHERT ANDRZEJ, Pierwszy kryzys interwencyjny, 7.
- RUCH SPOŁECZEŃSTWA ALTERNATYWNEGO, Władza nie jest potrzebna, /rozmowa/, 6.
- RUSSELL BERTRAND, Okiełznanie władzy, 2.
- S. L., nieWielka Emigracja, 3.

- WYŃSKI ANDRZEJ, Gospodarka: realizm i umiarkowanie, 4.
- WYŃSKI MAREK, Chile: gospodarka i polityka, 8.
- MAN GUY, Projekt liberalny, 8.
- STANICKI ANDRZEJ, Życie w mieście, 6.
- STANISZKIS JADWIGA, Własność, racjonalność, dynamika, struktura, 4.
Forma myślenia jako ideologia, 6.
- STRZELECKI JERZY, Wizja Fryderyka von Hayeka, 5.
- SPIEWAK PAWEŁ, Życie w Polsce, /rozmowa/, 9.
- T. A., Skorumpowani, 10.
- TERLECKI MARIAN, Cztery pierwsze dni, 3.
- TAMAR MOHAMED, Afganistan wolny, /wywiad/, 6.
- TOFFLER ALVIN, "Trzecia fala" /fragmenty usunięte przez cenzurę/, 10.
- TUSK DONALD, Wszyscy mamy prawo do polityki, /rozmowa/, 10.
- URBAN GEORGE, O Urbanie Jerzym, 8.
Portret dysydenta sowieckiego, /rozmowa z Aleksandrem Zinowiewem/, 5.
- W. CH., Ręce precz od rocka, 3.
- WATSON GEORGE, Czy Hitler był marksistą, 7.
- WINTER PIOTR, Teoria i praktyka russelizmu, 2.
- WOLNY JAN, Krajobraz niewyraźny, 2.
- WOROSZYLSKI WIKTOR, Luźne kartki z drugiej połowy maja, 3.
Z dzienników węgierskich 1956-86, 9.
- ZAJĄKAŁA MAREK, Wszyscy mamy prawo do polityki, /rozmowa/, 10.
- ZAKRZEWSKI TADEUSZ, Wolne wybory w PRL?, 9.
"Poland after Solidarity" - idea społeczeństwa obywatelskiego, 9.
"Solidarność" a ruchy wewnątrzpartyjne, 9.
- ZARĘBSKI ANDRZEJ, Namiastka sensu, /wywiad z M. Płażyńskim/, 10.
- ZIELIŃSKI MAREK, Pytania z przeszłości, /wywiad z J. Merkelem/, 2.
- ZINOWIEW ALEKSANDER, Portret dysydenta sowieckiego, /rozmowa z G. Urbanem/, 5.

PODZIĘKOWANIA

Wilkowi dziękujemy za 500, Tadeuszowi Licowi za książki
i czasopisma, GOP za taśmy.

TRÓJMIASTO W DNIACH WIZYTY

OJCA ŚWIĘTEGO

10-11 czerwca 1987

Autorzy zdjęć:

Wioletta Gotaś

Andrzej Jodel

Jacek Kozłowski

Krzysztof Leszczyński

Marian Łazarewicz

Bogusław Nieznański

Jarostaw Rybicki

Jerzy Wiśniewski

NN



A PRACA OJCZYŹNIE

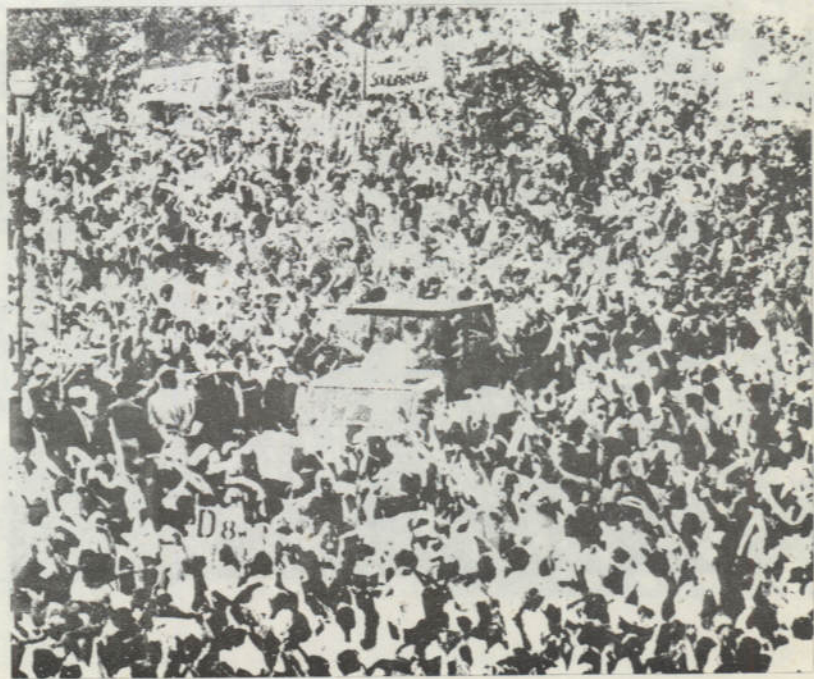
BOGU

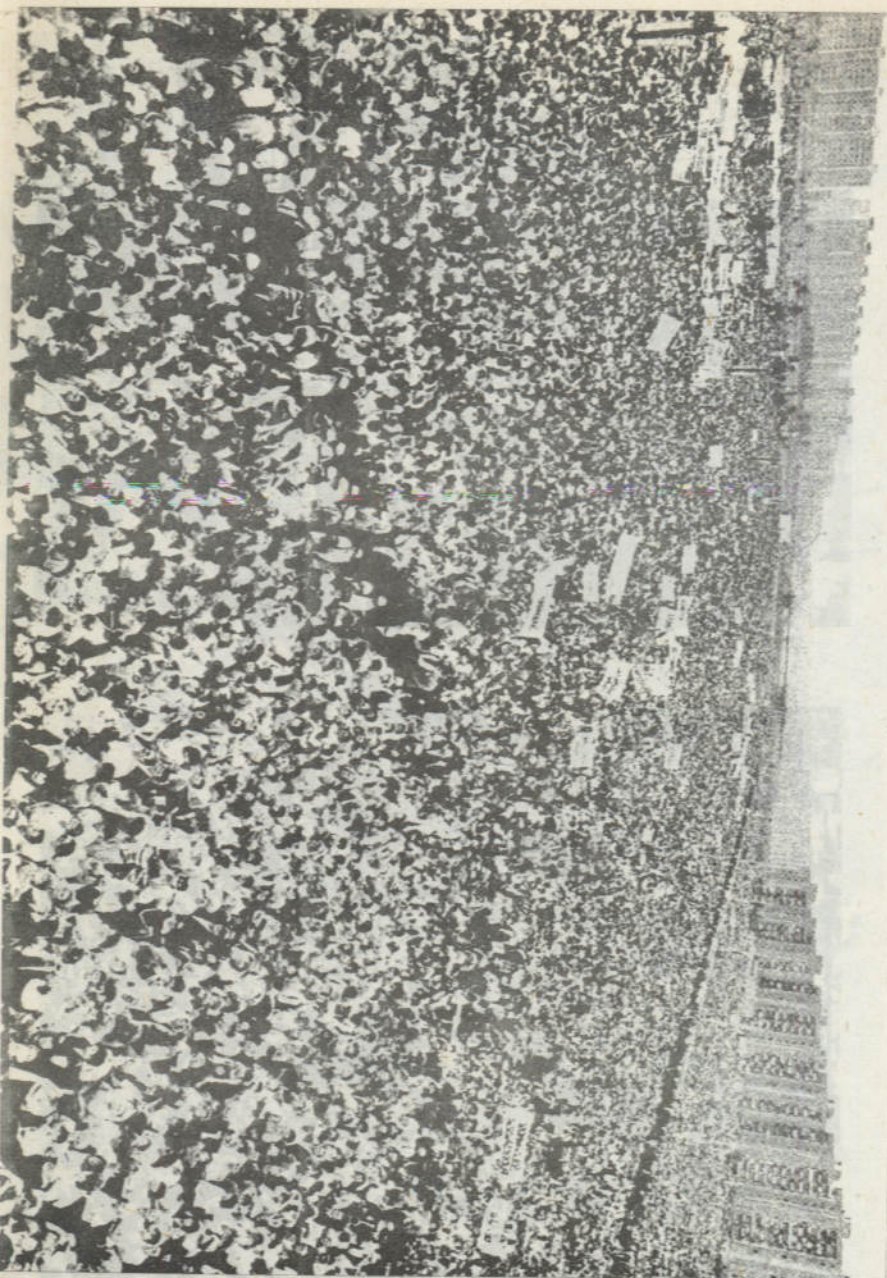














JEDYNIĘ 1956 1970 1981
PRAWDA 1981
WYWALA 193

966 1660 1791 1918 193
1987 **Wasilków** ARCHIDIECEZJA WILEŃSKA

OJCZE ŚWIĘTY CHRON,
PRZED PIJAŃSTWEM,
ATEIZMEM I KOMUNIZMEM.

SOLIDARNOŚĆ

†††

Ś

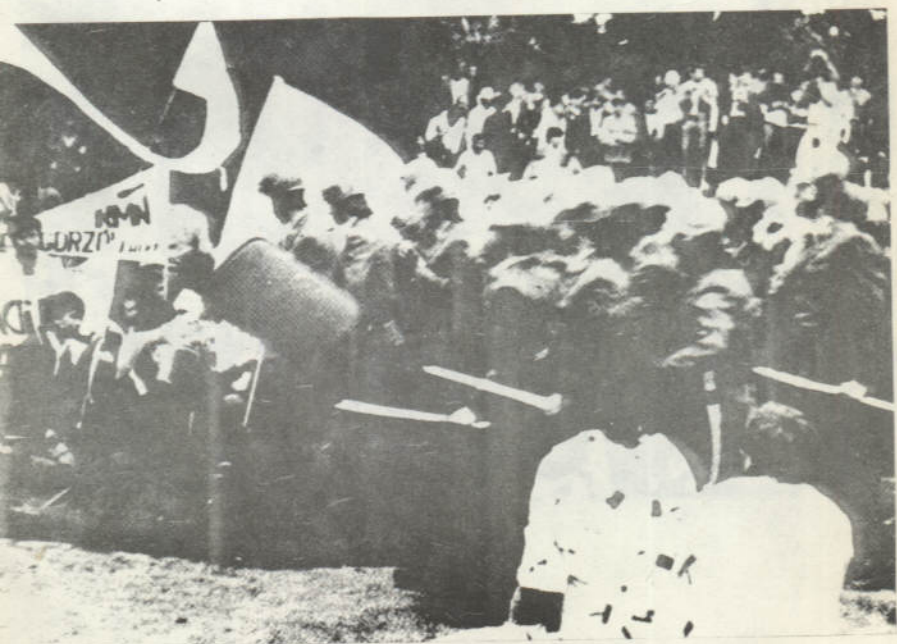
CHOROSZCZ.



ZADAMY UWOLNIENIA Wpł SB KRAMA KODYSZA
NSZZ Solidarność Reg. GDANSK









**GDAŃSK WIERNY
BOGU I OJCZYZNIE**



Cena 800 zł

Copyright by PRZEGLĄD POLITYCZNY

Gdańsk 1988